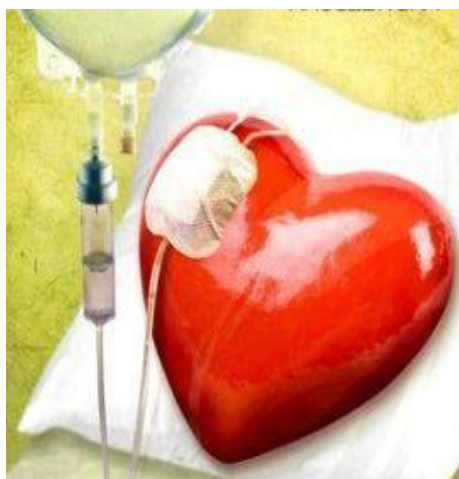


JK

***JOANNA
KRUSZEWSKA***



Awaria uczuć

„Swoj” lakier, szampon, fryzjer, krem do twarzy...

Jest cała lista rzeczy, które człowiek latami testuje i dopasowuje do własnych, najważniejszych wymagań. Testy dosyć często prowadzą do godnych pożałowania następstw. Na przykład do uczulenia na jakiś magiczny, gorąco polecany przez koleżanki preparat, który potrafi wszystko. Sprawia, że – jak głosi dołączona do niego ulotka – skóra stanie się bardziej odporna na stres, a zarazem delikatniejsza, zrelaksowana i promienna. Reklamowe banialuki i tyle. Banialuki, bo po zastosowaniu okazuje się zwykle, że wymienione w ulotce zalety nijak się mają do rzeczywistości. Kosmetyk zaś jedno potrafi na pewno: przyozdobić – twarz na ten przykład – fantazyjnymi plamami. We wszystkich odcieniach czerwieni i różu.

A oplakane w skutkach próby w tzw. salonach piękności? Zbyt rozpędzone nożyczki fryzjera albo kosmetyczka z ambicjami na charakteryzatorkę do najgorszych, czy może najlepszych – zależy, z której strony na to patrzeć – horrorów, gotowa wyregulować kobiecie brwi na wzór zombie, to tylko dwa z brzegu przykłady na potwierdzenie tezy o złudności obietnic.

No i wreszcie „swoj” facet.

Przy testowaniu kolejnych egzemplarzy tego gatunku również można się nabawić zmian wszelkiego rodzaju. Zdaje się nawet, że o wiele gorszych niż dwu lub trzydniowa pokrzywka. Uczuleniowa opuchlizna po jakimś czasie przecież schodzi.

Włosy odrastają.

Ale skrzywienie charakteru czasami zostaje do końca życia. Uboczny efekt ciągłego pochylania się nad wybrankiem serca, skłonność do postrzegania rzeczywistości przez pryzmat potrzeb drugiego człowieka.

Niekoniecznie tak bliskiego, jakim mógł się na początku wydawać.

Jedno jest pewne: w aptece antidotum na skrzywioną psychikę się nie znajdzie.

Matylda snuła rozważania na temat damsko – męskich relacji już od jakiegoś czasu, wpatrując się w tego, który je wywołał. Przesuwała kosmyk włosów za ucho i zastanawiała się, na ile ten tu osobnik jest w stanie ją skrzywić. No, odgiąć od normy, jej normy oczywiście. Byli w nieformalnym związku już od trzech lat, więc gdyby się miały pojawić jakieś skrzywienia, to chyba już by je zarejestrowała, prawda? Chociaż, Matylda podwinęła nogi pod siebie i usadowiła się wygodniej w fotelu, może takie zmiany przychodzą powoli, tak, że nie sposób ich zauważyć? W tym momencie jej myśli wprowadziły ją na tory, których zdecydowanie unikała. Unikała, bo nie lubiła. Matylda Bięcka była bowiem osobą przewidywalną, ściśle planującą wszystko i omijającą szerokim łukiem wszelkie przykre niespodzianki. Udawało jej się to w dużej mierze właśnie dzięki temu, że potrafiła – jak żartowali znajomi – sięgać wyobraźnią w kilku kierunkach. Po prostu nauczyła się opracowywać plany awaryjne w takiej ilości, aby nic nieoczekiwanego nie spowodowało jej z jasno wytyczonego kierunku jazdy. Zakręty, omijanie, owszem, ale żadne znaki stopu czy zakazu na życiowej drodze nie wchodziły w grę.

Paweł, rozsiadłszy się wygodnie na kanapie i położywszy długie nogi na stoliku, zdawał się nie zauważać rzucanych na niego spojrzeń, bo pochłoneły go całkowicie i bez reszty rozgrywki piłkarskie.

– Pawełku, przycisz odrobinę – rzuciła amatorka testów znad laptopa.

– Uhm – puszka z niedopitym piwem stanęła na stoliku i Paweł zaczął macać naokoło siebie w poszukiwaniu pilota, a nie znalazłszy go, przysunął się do telewizora i przyciszył ręcznie, ani razu nie spuszczając wzroku z

ekranu.

– Strzelaj, strzelaj, na co czekasz... – mruczał wyraźnie zniecierpliwiony brakiem postępów ulubionej drużyny.

Matylda porzuciła na chwilę pracę na rzecz konstruktywnych przemyśleń i podsumowań.

Egzystowali obok siebie i ze sobą już od dobrych paru lat. Hołdowali tym samym zasadom, dogadywali się zarówno w kwestii przyszłości, kryzysu gospodarczego, jak i wybranych dzieł kinematografii. Mieli także podobny stosunek do pracy.

I bardzo dobrze, bo to praca zajmowała w ich życiu miejsce pierwsze i najważniejsze. Ustalili, czy może samo się ustaliło, że dopóki nie zgromadzą odpowiednich funduszy, nie ma mowy o zalegalizowaniu związku. Wprawdzie bywały chwile, kiedy Matylda – dopatrzwszy się w lustrze kolejnej zmarszczki na swoim trzydziestotrzyletnim obliczu – wklepywała kolejny, cudowny preparat regenerujący skórę z napisem już (już!) „30 plus” i zaczynała się zastanawiać, co kryło się pod określeniem „odpowiednie fundusze”. I czy nie leży to czasami w sferze daleko przekraczającej ich fizyczne możliwości. Będąc jednak osobą twardo stającą po ziemi i daleką od snucia pesymistycznych wizji, rozpraszała wątpliwości jednym, małym machnięciem ręki. Gestowi temu towarzyszyło zazwyczaj pospieszne zerknięcie na zegarek. Wiadomo, czas...

Dzisiaj zrobiła podobnie.

Niech sobie baby w pracy gadają, że się zmieniła, że nie jest już taka, jak kiedyś, że to wszystko pod wpływem stałego związku traci siebie i inne takie tam pierdoły. A właśnie, że nie traci.

Jest taka jak zawsze. I kropka. Zapisz, zamknij, start, zamknij, enter. Dobranoc.

– Zostajesz dzisiaj? – odsunęła nogi Pawła i odłożyła w bezpiecznej odległości swój bezcenny sprzęt.

– Tiaa, już późno, obejrzę sobie do końca, ale ty idź spać, nie czekaj na mnie – cmoknąwszy Matyldę przelotnie w brodę, z powrotem wlepił oczy w ekran, na którym dwudziestu dwóch dorosłych facetów w krótkich spodenkach bezskutecznie próbowało posłać piłkę do bramki przeciwnika. Przecież to niepoważne – zauważyła w myślach Matylda – chociaż z drugiej strony może to najlepszy sposób na uwolnienie się od nadmiaru testosteronu? Kto wie? Ziewnęła ze zmęczenia i ruszyła do łazienki, magicznego miejsca, gdzie można było splukać trudy dnia i nakremować się odżywczo na spokojną i zazwyczaj krótką noc. Krótką, bo bladym świtem trzeba było podnieść raczej średnio wypoczęte członki i ruszyć znowu do wyścigu. W tym „wyścigu szczurów” – jak go z przekąsem nazywali zazdrośni – chętnie i z własnej nieprzymuszonej woli zaczęła uczestniczyć kilka lat temu. Zaczynała od miernie płatnej posadki szarego konsultanta, ale dzięki wytrwałości i niezliczonej ilości kursów wdrapywała się po szczeblach drabiny władzy coraz wyżej. Nie bez znaczenia był też fakt, że robiła to z uporem osła i pracowitością nie jednej, ale całego stada mrówek. Zadzieriała kusą spódniczkę i wyciągała długie nogi o wiele szybciej niż koledzy próbujący stanąć jej na drodze.

O nie, płeć nie miała najmniejszego znaczenia. A może właśnie miała...? Może właśnie dzięki temu, że na Matyldę przyjemnie było popatrzeć, jak pochylała małą głowę nad ważnymi papierzyskami, jak marszczyła w skupieniu czoło, jednocześnie mrużąc oczy zwyczajem krótkowidza. Nie da się ukryć, że jej osoba stanowiła o wiele przyjemniejszy widok niż przedstawiciele płci przeciwnej. Zwłaszcza, jeśli przełożony miał wyszukany gust i cenił wrażenia estetyczne. Jedynie

kwestią czasu było zauważenie przez szefa sporego potencjału, który kryło na dodatek to urocze opakowanie, i w efekcie właściwie samoistna redukcja konkurencji.

Matylda z namaszczeniem wklepywała krem przeciwzmarszczkowy, nowo nabyte чудо, które pozostawało na twarzy do rana, choćby nie wiadomo jak przewracała się po poduszce.

No, чудо po prostu.

Okolice oczu kolejną tubką z półki.

Jeszcze uda. Trzeba pamiętać. I wcierać specyfiki ze zdwojoną siłą, bo to już lato za pasem. A za niecałe dwa miesiące urlop. Sapnęła pod nosem, katując szczupłe nogi. Nie ma co, genetyczne obciążenie było zbyt duże, żeby mogła pozwolić sobie na ryzyko. Rodzice, oboje, przypominali wyglądem dobrodusze misie. Mama miś, była okrągła właściwie od zawsze, tata zmisał, gdy przeszedł na emeryturę. Ona nie zmisieje.

Co to, to nie.

Rzuciła krytycznym okiem na swoje odbicie w lustrze i skonstatowała z zadowoleniem, że nie jest źle.

* * *

Majowe słońce z uporem maniaka wciskało się już od jakiegoś czasu pod powieki. Kazało otwierać oczy i pod żadnym pozorem nie marnować świeżo obudzonego dnia. Kolejnego ciepłego dnia, który niósł ze sobą kolejne wyzwania. Matylda jednak, rzuciwszy okiem na okrągły budzik, stwierdziła, że nic się wyzwaniom nie stanie, jeśli sobie jeszcze ze dwadzieścia minut poczekają. Bo co? Że niby na mocy tracą? Niiiee. A dzisiaj pościel była wyjątkowo przytulna, jakiś sen jeszcze ostatkami wspomnień majaczył jej w głowie niewyraźnie, ale na tyle przyjemnie, że zaczęła się bezwiednie uśmiechać.

– Przeciągnij się jeszcze ze dwa razy i wstawaj, robię tosty
– w drzwiach stanął Paweł. Jeden ręcznik opasywał mu biodra, drugim wycierał zdecydowanymi ruchami włosy – chociaż tak apetycznie wyglądasz, że mam ochotę zamiast tostów zjeść... coś innego.

– Uaaa – przeciągnęła się posłusznie, jednocześnie odsuwając go kategorycznie od siebie – mokry jesteś. Rano nie jadam tostów. Pamiętasz?

– Mmm, lubię cię rano, taką zaspaną, mięciutką – mruzczał jej do ucha.

– Ja też cię lubię rano. Zimnego, mokrego i w ogóle – odepchnęła go znowu, po czym wyskoczyła z łóżka – czas, czas goni, Pawełku.

Matylda codziennie rano wmawiała sobie (skutecznie – trzeba przyznać) że sucharki z sezamem to coś, co uwielbia. A jeszcze sucharki posmarowane serkiem o zerowej zawartości tłuszczu, obłożone jednym plasterkiem przezroczystej wędliny i gorą warzyw były po prostu spełnieniem marzeń.

Tyle, że tym marzeniom poważnie zagrażały śniadania z Pawłem. Mizerne dwa sucharki plus zielona herbata stawały w opozycji do jajecznicy na boczku albo tostów z żółtym serem, roztopionym do granic możliwości. I uczciwie trzeba przyznać, że przegrywały sromotnie. Albowiem Matylda łykając swój niskokaloryczny posiłek, dostawała jednocześnie potężnego ślinotoku, a nie znajdując na to żadnej rady, bo niby jak zawładnąć odruchem bezwarunkowym, wpadała we wściekłość. A tę z kolei wyładowywała na zadowolonym z siebie i objadającym się bezwstydnie Pawełku.

Może dlatego, że ciężko im było pogodzić niektóre przyzwyczajenia, wciąż odkładali decyzję o zamieszkaniu razem?

A może powodem było to, że każde z nich miało mieszkanie blisko miejsca swojej pracy i dojeżdżanie z drugiego końca miasta w godzinach

szczytu żadnemu z nich się nie uśmiechało?

Trudno rozstrzygnąć.

W każdym razie mieli po dwa komplety szczoteczek, golarek i najbardziej niezbędnych akcesoriów toaletowych.

– Matyldaaaaa! Czekaaj, gdzie pędzisz? Uf, uf, uuufff, tak ci się pali do pracy, czy jest... uff... jakiś inny powód twojego pośpiechu? – do windy wpadła zdyszana, filigranowa postać.

– Może powiesz mi, dlaczego faceci mogą zjeść konia z kopytami, popić to hektolitrami piwa, na deser wchłonąć tryliony kalorii i wyglądać jak z żurnala? – sapnęła Matylda w odpowiedzi na powitanie, mocując się jednocześnie z teczką i torebką. W tej ostatniej wybrzmiewały właśnie takty *Dawnej dziewczyny*

– No, co tam, Pawełku? Czego nie wzięłam? Zadzwoń za chwilę, bo jestem w windzie. Nic nie słyszę.

– Paweł nocował u ciebie – zawyrokowała Weronika – i znowu się zastanawiasz nad niesprawiedliwością losu.

– Jakbyś zgadła, czasami po prostu szlag mnie trafia. A zwłaszcza w tych dniach, kiedy zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju pyszności mam o wiele większe. Uch.

– Moja droga, nie przejmuj się tym, z czym walczyć nie możesz. Zresztą to nieważne. Słuchaj – rozejrzała się po pustej windzie i szepnęła konspiracyjnie – awansik ci się szykuje.

– Co ty wygadujesz? Skąd wiesz?

– Skąd wiem?! Wstydzilibyś się kochana, ja wiem wszystko, a na pozyskiwanie informacji mam swoje sposoby... – Weronika założyła obie ręce i z uśmiechem wyższości czekała na pytania.

– No to mów.

– Dyrektor administracyjny wyleciał – Weronika wypaliła wreszcie, zadowolona, że może podzielić się cudowną wiadomością – zwalnia się stanowisko. No i kto jest brany pod uwagę? Kto ukończył ekonomię z wyróżnieniem, kto jest jedną z najbardziej twórczych jednostek w tej firmie? Ha.

– Nie mów? – Matyllda uniosła brwi w wyrazie zdziwienia, nie zauważając nawet, że dotarły już na właściwe piętro.

– Oj, Matyllda, to mów, czy nie mów? Może entuzjazmu trochę? Dzień dobry, pani Danuto.

– Dobry, dobry, telefony się urywają od samego rana. Ja tu sobie na centrali nie daję rady sama o tej porze. Pani Matyllda to mogłaby trochę ciała nabrać, bo jeszcze trochę, a cień z niej zostanie.

– Pani Danusiu, kocham panią – rzuciła portierce Matyllda, po czym pociągnęła za sobą poinformowaną koleżankę.

– A co do entuzjazmu... okażę go więcej, kiedy już będę wiedziała, co i jak. A może mi powiesz?

– Hm, tak od razu? – Weronika założyła nogę na nogę i rozsiadła się w fotelu, po czym ziewnęła – A może kawy byśmy się najpierw napiły, ledwo na oczy patrzę.

– Och, ty podła – krzyknęło coś w Matyldzie, która dobrze wiedziała, że niczego więcej na razie nie dowie się od przyjaciółki. Zrzucić plotkarską bombę, zasiać spustoszenie i... kazać czekać na ewentualne skutki promieniowania – taka była z grubsza taktyka Weroniki. Niewykluczone, że resztę szczegółów wyjawি dopiero po zaproszeniu na jakiś obiad, ewentualnie drinka. Może zażyczy też sobie bardziej materialnej pamiątki w zamian za tak cenną informację. Och, udusiłaby ją najchętniej.

Lata pracy z ludźmi beczelnie wykorzystującymi wrażliwość

Matyldy, jej szczerość i otwartość, uzbroiły ją w charakterystyczny pancerz. Nie pozwalała już sobie na okazywanie jakichkolwiek emocji, jej niewzruszona, pokerowa twarz potrafiła zamaskować wszystko. Od złości, przez wściekłość, wzruszenie, aż do skrajnej euforii. Początkowo nieprzenikniona maska, za którą mogła skryć swoje uczucia, pojawiała się wyłącznie na wyraźne życzenie Matyldy. Panowała nad nią i zakładała dopiero po przeprowadzeniu błyskawicznej analizy sytuacji. Zagroża, nie zagroża, człowiek obcy czy bliski, życzliwy czy nie. Plusy sumowały się po jednej stronie, minusy po drugiej. Szybki bilans i – w zależności od wyniku – albo decydowała się na ujawnienie prawdziwej twarzy, albo chowała za maską obojętności.

Teraz też opanowała się błyskawicznie i nic w jej twarzy nie wskazywało na zdenerwowanie. Dla ułatwienia wyobraziła sobie zieloną łąkę pełną pachnącego kwiecica i małego baranka... a może właściwie owieczkę...? No, w każdym razie uroczo sobie to zwierzę brykało, kąsając to tu, to tam roślinki.

Po chwili wściekłość na Weronikę osłabła, a Matylda jak gdyby nigdy nic zasiadła naprzeciwko koleżanki, sięgając po swój ulubiony kubek z Garfieldem. Obracała go chwilę w dłoniach, po czym wyjrzała przez okno.

– Ech, dzisiaj będzie piękny dzień, lato już właściwie się zaczęło... nie uważasz, moja droga? A co do kawy, masz rację, chodź, uzupełnimy braki. Paweł wczoraj do późnej nocy, czy może wczesnego ranka – sama straciłam rachubę – oglądał piłkę, a ja nie mogłam zasnąć i prawdę powiedziawszy, przydadzą mi się dodatkowe litry kofeiny. Chodź. O, czekaj znowu dzwoni.

– Odebrała telefon, przyglądając się wiercącej na krześle Weronice, po której było widać, że nieoczekiwanie dojrzała do podzielenia się wszelkimi posiadanymi informacjami, najlepiej teraz, zaraz, bo za chwilę gotowa

ekspłodować. – Co chciałeś? Kanapek? Jakich kanapek... a nie, najwyżej w pracy sobie coś kupię. Aha, Pawełku, dzisiaj wieczorem chyba nie będę miała zbyt wiele czasu, jutro się widzimy, dobrze? Mecz? Aaa, więc mam spokojne sumienie. Buziak. Tobie też.

W kuchni pełnej zaspanych grafików, informatyków i asystentów wszelkiego rodzaju, Weronika nie wytrzymała. Owszem, nie lubiła zdradzać wszystkich szczegółów od razu, ale jeszcze bardziej nie cierpiała, kiedy ktoś nie był nimi w ogóle zainteresowany.

– To jest manipulacja, czysta, bezczelna manipulacja. I to na kim, na najserdeczniejszej przyjaciółce – wbiła wskazujący palec w dekolt Matyldy.

– O czym ty mówisz, kochana? Nie rozumiem.

– Ty dobrze wiesz, o czym mówię, już, już przez chwilę myślałam, że mi się uda, że się choć trochę ugniesz, bo złamać to pewnie nie miałabym najmniejszej szansy, ale dupa.

– Kogo chciałaś ugiąć? – zainteresował się Marcin, niekwestionowana kopalnia pomysłów na to, jak najlepiej sprzedać wychodzący, świeżutki produkt na rynek, potencjalny konkurent na stanowisko administracyjnego – naszą nieugiętą?

Nikommu się jeszcze nie udało, więc nie łudź się, Nika, że tobie przypadnie palma pierwszeństwa. – Po czym mrugnął do Matyldy i oddalił się szybko, nie wdając w dyskusje. Wiadomo, czas to pieniądz.

– Boże, jak on tak mruga, to mnie się robi... ech, lepiej nie będę mówić co mi się robi, ale jedno jest pewne, dla tego faceta jestem w stanie zrobić wszystko – Weronika wpatrzyła się w plecy, czy raczej zakończenie pleców, odchodzącego – wszyściutko. A ty...

– Weroniś, obudź się kobieto i powiedz mi, czy nie masz czasami niczego do zrobienia?

– A ty w ogóle nie jesteś ciekawa, co i jak? – odparowała zapytana.

– Jestem, oczywiście, że jestem, ale tak czy siak dowiem się wszystkiego we właściwym czasie, czyż nie? – Matylda wzruszyła ramionami i zaopatrzywszy się w pełny już kubek, ruszyła do siebie.

Zdażyła usiąść przed biurkiem, poprawić nieskazitelny makijaż, przejechać delikatnie po ustach błyszcznikiem i właściwy czas nadszedł, czy raczej wparował z pretensją na przesadnie wykrzywionej twarzy.

– Ty manipulorko jedna, ty – zasyczał czas, po czym z prędkością karabinu zaczął wypływać z siebie informacje: – papiery odchodzącego już leżą u mnie na biurku, prawie skompletowane, zasili szeregi konkurencji, skubaniec. Wszystko ma się rozegrać w przeciągu tygodnia, może dwóch, wiadomo, da się ogłoszenie dla formalności, ale ty jesteś najbardziej pożądana i właściwie już masz ciepłą posadę w łapach. Dzisiaj, najdalej jutro przyjdzie info, że masz się zjawić przed obliczem najwyższego, który przedstawi ci propozycję nie do odrzucenia. Oczywiście nie powie ci, że tylko ty jesteś brana pod uwagę, ale będzie namawiał, żebyś złożyła papiery. Gwoli formalności. A ty masz udawać wielce zaskoczoną i wdzięczną, że o tobie pomyślał. Poza tym powiedz jak ty to robisz?

– Co kochanie? – Matylda zamrugła rzęsami z udawanym zdziwieniem.

– Już ty dobrze wiesz, co. Manipulujesz ludźmi, ot co. Też tak chcę. Naucz mnie wreszcie, co?

– Ja nie manipuluję, tylko biorę na wstrzymanie, odrobina cierpliwości i dowiem się, czego chcę. A z tobą, Weronik, jest jak z wulkanem. Chodzisz i dymisz, trzeba tylko poczekać aż nastąpi erupcja. Oto cała filozofia. Siłownia? Po pracy?

– Taaaak, rozgryzę cię, zobaczysz – pomachała ręką i już jej nie było.

Faktycznie, chwilami trzeba wziąć na wstrzymanie i pomyśleć, zanim coś się palnie. Matylda opanowała to do perfekcji. Przynajmniej na gruncie zawodowym. Im chłodniejsze relacje utrzymywała z jakąś osobą, tym łatwiej szło. Dzisiaj niewiele brakowało, a zaproponowałyby Weronice w ramach przekupstwa choćby i cały wagon złotej biżuterii, w której ta od lat się kochała.

Co się ze mną dzieje? Zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim porwał ją codzienny rytm pracy.

No i doczekała się. Nie minęły dwa tygodnie, maj przeszedł niepostrzeżenie w czerwiec, kiedy odebrała „ten” telefon.

Wezwana przed oblicze szefa szefów zrobiła pokorną, ale nie za bardzo, i zdziwioną, to już bardzo, minę. Wysłuchiwała posłusznie tyrady, że na takie stanowisko jest cała masa chętnych i na dobrą sprawę czeka ich porządny przesiew. Ale, niech próbuje. Nie zaszkodzi. Przy czym dyrektor dwa razy powtórzył, żeby raczej nie zwlekała ze składaniem dokumentów.

Po wyjściu z gabinetu wycięła wzorowego, na ile tylko pozwalała jej wąska spódnica i wysokoobcasowane buty, hołubca, po czym wpadła na Weronikę, jakby nigdy nic przeczesującą włosy.

– Czyżbym widziała jakieś emocje, moja miła? – zagadnęła Matyldę niewinnie.

– Nie podejmę się ustalenia, co widzisz, ale jeśli chodzi o słuch... powiedz mi proszę, czy ty się przemieszczasz z dyżurnym zestawem szklanek? – zrewanżowała się ironicznie.

– Och, od razu szklanki... drzwi były niedomknięte, więc słyszałam to i owo, przechodząc oczywiście zupełnie przypadkiem – Weronika niezrażona wzruszyła ramionami.

– Oczywiście. Ty zawsze wiesz, kiedy pojawić się we właściwym

miejscu... Skoro jesteś tak domyślna... dzisiaj jest piątek, jutro sobota. Jakieś skojarzenia?

– Jasne. Spijemy się na umór za twój awans. Ha, nawet mam propozycję – odciągnęła Matyldę pod ścianę i zaczęła szeptać z powoli wypływającym na twarz rumieńcem. – Wybieramy się dzisiaj na występ. Bez gadania się dołączasz, bo przewidująco kupiłam bilet i dla ciebie.

– Na jaki występ? – odszepnęła Matylda, z zainteresowaniem obserwując zmianę kolorytu przyjaciółki.

– Chippendalesów – zaszemrała Weronika z rozmarzeniem – na dwudziestą drugą, dogadamy się później.

Matylda pozwoliła sobie na chwilę refleksji. Czy może być jeszcze piękniej? Za oknami cudowny dzień, ciepło, mnóstwo ludzi paradowało już w koszulkach z krótkim rękawem, czerwiec kwitnie po prostu. Z Pawełkiem układa się jak marzenie, co prawda mało czasu spędzają razem, ale jeśli już spędzają, to bezkonfliktowo, słodko i nader przyjemnie.

W połowie sierpnia urlop. Długo wyczekiwany, ale na pewno warto było czekać. Doszli oboje do wniosku, że darują sobie Grecję, Egipt i wszystkie gorące o tej porze roku kraje na rzecz Wenecji Północy.

Ugryzła ze smakiem czekoladowy batonik kupiony wyjątkowo, w ramach świętowania awansu. Taaak, co prawda zawsze marzyła o tym, żeby trafić do Sankt Petersburga właśnie teraz, na osławione „białe noce”, ale trudno. Ermitaż czy Carskie Sioło pozostaną tak czy siak; w sierpniu miasto, zaliczane do najbardziej atrakcyjnych turystycznie miejsc na świecie, wciąż będzie miało swój urok. A że planują spędzić tam prawie dwa tygodnie, może uda się wszystko obejrzeć dokładnie, a nie na łapu capu.

No i teraz jeszcze ten awans... zdjęła buty i ostrożnie postawiła bosc stopy na miękkiej wykładzinie.

Jestem szczęściarą.

Dzwonek telefonu przerwał jej zachwyty.

Mama.

– Cześć mamo misiowa, stało się coś? – zapytała z niepokojem w głosie, matka nigdy nie przeszkadzała jej w pracy.

– Cześć, Misiaczkę...

– No, no, tylko nie misiaczkę – nie mogła się nigdy powstrzymać przed poprawieniem.

– Dla mnie będziesz zawsze Misiaczkę. Nic się nie stało, nie dzwonisz, ja do ciebie też się dodzwonić nie mogę. Tyle razy się nagrywałam, czy tobie się dziecko telefon w domu zepsuł, czy może zmieniłaś numer? A może już u Pawełka mieszkasz?

– Nie, mamo, nie przeprowadziłam się, to czas, czasu ciągle mi brakuje.

– A masz teraz chwilę, czy przeszkadzam ci w czymś? – taktowna jak zawsze, nie narzucająca się w niczym i nikomu... Tkliwość zalała serce Matyldy.

– Nie mamuś, nie przeszkadzasz. Opowiadaj, co tam u was słyhać. Jak Karolina?

Karolina była młodszą siostrą Matyldy i pojawiła się na świecie w najbardziej nieoczekiwanym momencie, kiedy to Matylda zaczęła już zdradzać dość poważne oznaki dorosłości. Przejawiało się to między innymi w postrzeganiu siebie jako grubasa i rozpoczęciu testowania wszelkiego rodzaju diet. Mama natomiast była pewna, że właśnie wkracza w charakterystyczną dla kobiet w wieku dojrzałym fazę przekwitania. Brak comiesięcznej przypadłości oraz napady złego humoru składała przez pierwsze cztery miesiące na karb klimakterium właśnie. Lekarz, do którego

wybrała się wreszcie po rodzinnej naradzie, oznajmił jej – usadowiwszy uprzednio wygodnie w fotelu – że jest w dwudziestym tygodniu... ciąży. Dobrze, że poprosił, aby usiadła, bo po usłyszeniu radosnej nowiny pani Zofii zrobiło się słabo, pobladła z lekka i ani chybi runęłaby jak długa na podłogę. Ale wystarczyło unieść jej nogi, poklepać delikatnie po twarzy i naturalny koloryt wrócił.

Karolina przyszła na świat, krzycząc na całe gardło i, jak pamiętała Matylda, krzyk ten, a właściwie ryk, towarzyszył jej nieustannie przez pierwsze lata życia. Jeśli czegoś nie mogła dostać, a pragnęła nade wszystko, wystarczyło włączyć naturalną syrenę alarmową i problem błyskawicznie się rozwiązywał. Pojętne dziecko nauczyło się bardzo szybko, szybciej chyba niż odróżniania biologicznej matki od Matyldy, że dziki wrzask o nateżeniu przekraczającym dopuszczalne normy decybeli nie jest tolerowany przez najbliższe otoczenie, a jego umiejętne dawkowanie doskonale usprawnia życie.

Tak więc Karolina krzyczała wniebogłosy, jeśli chciała lizaka, lalkę w sklepie, bluzkę siostry i wszystko dostawała. Wyrosła na niezłą egoistkę, przekonaną o tym, że należy jej się każde dobro świata.

A teraz ten pępek świata zdawał właśnie maturę i cała rodzina zamartwiała się, co będzie, jeśli zawali nie daj Boże choć jeden przedmiot albo otrzyma ocenę inną niż pragnęła.

– No nie wiem, twierdzi, że poszło jej dobrze, ale wyników jeszcze nie ma. Teraz są same procenty, wiesz, trzeba to wszystko przeliczać, sprawdzać, na którą uczelnię wystarczy... Na razie się pakuje i twierdzi, że musi odreagować. Nad morzem. Z kolegą. Czy ja cię puszczałam nad morze z kolegą, jak byłaś w jej wieku, bo nie pamiętam, a przyznam szczerze, że gryzie mnie to trochę.

– Co cię gryzie, niepamięć, czy to, że masz ją puścić? – zapytała Matyllda, śmiejąc się w duchu na samą myśl o tym, że młoda mogłaby nie postawić na swoim.

– Co masz, co masz, ja nic nie mam – zaperzyła się mama.

– A jak ci się rozwrzeszczy?

– To dostanie w tyłek – oświadczyła kategorycznie mama

– tak, dostaniesz – to było już do Karoliny, która widać pojawiła się niespodziewanie po drugiej stronie słuchawki. – Nie patrz tak na mnie, zobaczymy, kto postawi na swoim. Misiaczk, siostra pozdrawia cię właśnie i wywraca oczami. Nie śmieście się baby jedne, bo zrobię z wami porządek. Idź, pomóż ojcu i daj mi porozmawiać.

W tym momencie Matyllda zauważyła, że przy jej biurku wyrósł nagle Marcin i zaczął uprawiać jakąś dziwną ekwilibrystykę z zakładaniem rąk i zawziętym tupaniem nogami na przemian. Rozbawiona Matyllda na migi pokazała mu, że za chwilę skończy, na co on wywrócił oczami i puknął parę razy w zegarek na monitorze. Kiedy i to nie poskutkowało, syknął:

– Zebranie...

– Mamo, zadzwonię do ciebie wieczorkiem, muszę kończyć, uściskaj wszystkich – rzuciła do słuchawki.

– Ej, dziecko, przepracowujesz się, nie masz nawet czasu porozmawiać. Pa. Zadzwon.

– No pa, pa.

– Uścisków sto dwa – dokończył Marcin, prawie wlokąc ją po korytarzu. – Nie poznaję koleżanki, prywatne rozmowy w trakcie pracy, hm, hm, czyżby awans cię tak rozpieścił?

– Jaki awans? – zapytała, sięgając po telefon i włączając wyciszenie.

– A wiesz, trąbią tu i ówdzie, że wylatujesz nieco wyżej, może w tym

trąbieniu jest trochę prawdy.

– Nie słuchaj. Chociaż... – zerknęła na niego – ty też zdaje się składasz papiery, hę? Przyznaj się, konkurencjo.

– Niech ci będzie, jedziemy na tym samym wózku, a kto do – jedzie, to się okaże. A teraz szaaa, najwyższy będzie przemawiał i mam wrażenie, że jego przemowa odbierze nam znowu trochę chęci do życia.

* * *

Przed klubem roiło się od spragnionych wrażeń niewiast. Mimo tego, że dochodziła dopiero dwudziesta pierwsza i pozostała jeszcze godzina do występu, tutaj wrzało jak w ulu. Matylda rozejrzała się wśród tłumów, wyłuskując znajomą gromadkę, w której zdecydowanie pierwsze skrzypce grała Weronika i jej blond czupryna. Podskakiwała entuzjastycznie, co chwila wydając z siebie nieartykułowane piski. Właścicielka czupryny znać. Przy jednym z podskoków dostrzegła Matyldę i zamachała do niej szaleńczo.

– Matiiiiiiii! Tu jesteśmy, helooooouuu!

– Widzę przecież – Matylda mruknęła cicho i ruszyła do nich przez rozstępujące się niechętnie i taksujące ją morze spojrzeń.

– No to mamy komplet. Ruszamy, tu mam bilety – Weronika pomachała czarnymi arkusikami. – Ruszamy dziewczyny, bo nam zajmą najlepsze miejsca. No, Katie – tu bezceremonialnie klepnęła po tyłku najbliższej stojącą Kasię z recepcji i nie zważając na jej protesty, popchnęła ją do wejścia.

Oczywiście wieść o awansie Matyldy rozniosła się lotem błyskawicy. Gdy już zasiadły wygodnie w kącie, jak najbliższej sceny, wszystkie naraz zaczęły składać jej gratulacje i na wyścigi zapewniać o swojej radości z tego powodu. Wiadomość sama się nie rozniosła, Weronika nie tylko nie

próbowała udawać, że to nie jej sprawka, ale sprawiała wrażenie, jakby to ona awansowała.

– A ile będziesz zarabiała, wiesz już?

– Gabinet już pewnie szykują...

– Oho, to teraz nie wiadomo, jak do ciebie trzeba będzie mówić, per „pani dyrektor” czy...

Wielbicielki męskiego striptizu zapomniały na chwilę o celu swojej wizyty i zaczęły z ożywieniem dyskutować nad właściwą formą zwracania się do przyszłej pani dyrektor.

– Dziewczyny – wydusiła oszołomiona Matylda – ja jeszcze nie byłam na żadnej rozmowie, dopiero złożyłam papiery, jeszcze nic nie wiadomo, dajcie spokój.

– Eh, Mati, już zaczynasz dyrektorować – podsumowała Zuzanna wyraźniej niż zazwyczaj artykułując głoski, każdy dźwięk wypowiedziany był z przesadną starannością. Zuzannie wydawało się to szczytem elegancji.

– Nie zaczyna dyrektorować, tylko włączyło jej się pesymistyczne myślenie – Weronika położyła Matyldzie dłonie na ramionach, po czym potrząsnęła nią mocno. – Obudź się, nie ma nic gorszego niż takie właśnie podejście do życia. Ale nie przejmuj się, kochana, pomożemy ci, prawda dziewczyny? Pomóżmy Mati!

Ze wszystkich stron posypały się zgodne pomruki, po czym jedna przez drugą zaczęły ją przekonywać o istocie pozytywnego myślenia i wyższości tegoż nad negatywnym podejściem do sprawy. Jakiegokolwiek sprawy, a tu przecież chodziło o awans, na Boga.

– Yyy, czy oznacza to, że w twoim domu, cicho moje panie

– Zuza podniosła drobną dłoń monarszym ruchem – trzeba zacząć od podstaw? Czy w twoim, yyy, domu, moja droga układ był planowany przesz

specjalistę?

– Eeee, układ czego? – zainteresowała się Matylda.

– No jak to czego? – krzyknęły wszystkie ze zgrozą. – Jak to czego?

Układ mebli, kwiatów, no wszystkiego?

– Nie, to na nic, jak ty przetrwałaś w ogóle, dlaczego do tej pory nam się nie zgadało, pomogłabym ci przecież... – Weronika złapała się za czoło w wyrazie niedowierzania.

– Nie, spokojnie, od początku: chodzi o feng shui, moja droga – Zuza położyła jej na ramieniu swoją małą dłoń.

– Aaaa, rozumiem.

– No widzisz.

– No widzę, ale specjaliści nie było, po co właściwie ten cały specjalista?

– Jak to po co? Żeby osiągnąć harmonię, szeroko rozumianą harmonię własnego jestestwa z otoczeniem. Można to naprawić. Nie ma najmniejszego problemu, yyy, masz tutaj wizytówkę, to mój dobry znajomy, wprowadzie na termin trzeba czekać tygodniami, ale powołaj się na mnie, pamiętaj. I musisz zrobić to niezwłocznie – Zuzanna podała jej mały kartonik, opatrzony jakimiś chińskimi, na pierwszy rzut oka, znakami. – Kolejna sprawa to pozytywne myślenie. Odmienne stany świadomości, samokontrola umysłu. Mówi ci to coś?

– No, tak jakby. Trochę parapsychologicznie brzmi...?

– zgadywała Matylda, myśląc jednocześnie, że przejęta wagą swojej instruktorskiej funkcji Zuzanna wygląda w tym momencie jakby rzeczywiście znajdowała się w odmiennym stanie świadomości.

– Bardzo, ale to bardzo parapsychologicznie, kochanie, skoro dobrze ci się kojarzy, to jeszcze nie jest z tobą tak źle. Przecież na tym bazuje cały

dzisiejszy świat, bez tego ludzie sobie nie radzą...

Matylda z ciężkim westchnieniem poddała się tyradzie, która trwałaby pewnie do ostatniego drinka, tyle że zmieniałaby charakter na bardziej bełkotliwy. Przyszła pani dyrektor na chwilę wyłączyła się więc, dla niepoznaki rzucając od czasu do czasu: uhm, tak, aaa na dowód głębokiego namysłu nad kolejnymi propozycjami zmian. Myślała zaś o trunkowych możliwościach swoich towarzyszek.

Dziewczyny umiały w siebie wlać, o czym niejednokrotnie miała okazję się przekonać. Czemu niby służyły wszelkie firmowe wyjazdy integracyjne, żeby o szkoleniach nie wspominać? Poza szeroko, najszerszej jak się tylko da, pojętą integracją i szkoleniem... hm, równie szeroko pojętym, służyły testowaniu możliwości indywidualnych jednostki. A właściwie jednego organu tejże jednostki. Wątroby.

Tymczasem perora uczonej Zuzanny trwała nadal, przybierając nawet charakter wyraźnie ofensywny. Matylda poczuła, że dłużej nie zdzierży, zaczęła nawet rozglądać się za jakimś ciężkim przedmiotem w celu ostatecznego ucieszenia koleżanki, ale na szczęście w tym samym momencie rozbrzmiały gromkie brawa i piski podekscytowanych pań. Wszystkie koleżanki jak na komendę odwróciły się w stronę sceny.

I słusznie, bo zaczynał się występ.

Światło przygasło, co sprawiło, że kobiety zachłysnęły się powietrzem, jakby w oczekiwaniu na jakiś cud. Te, którym ciężko było się opanować, podskakiwały nerwowo na kanapach, to biorąc do ręki, to odstawiając z powrotem szklanki z drinkami. Zaciągały się papierosami, Matylda miała wrażenie, że wystarczył im jeden raz i już dochodziły do filtra. Wzruszyła ramionami. Owszem, ciekawa była, jak się panowie zaprezentują, no i co pokażą przede wszystkim. Czy wystąpią tak, jak ich Pan Bóg stworzył, czy

zostawiają sobie jakieś sznureczki w strategicznych miejscach. Niech będzie, czekała, z nieco mniejszą niecierpliwością niż dajmy na to Weronika, która w tej chwili nie odrywała wzroku od sceny i wstrzymywała oddech w najwyższym napięciu. Matylda na wszelki wypadek trąciła ją delikatnie łokciem.

– Hyyym – odszepnęła w odpowiedzi zaczepiona i zaczerpnęła przy okazji potężny haust powietrza. Rzuciła jeszcze niewyraźnie: *Ćśśś* i powróciła do kontemplacji pustej sceny. Znudzona Matylda nie miała jednak zamiaru się poddać:

– Co *ćsss*? Sprawdzam, czy żyjesz.

– Żyję, ale już pewnie niedługo, zamknij się wreszcie, Matylda, i daj mi się ponapawać tym wszystkim.

– Co ci z napawania, skoro nic z tego nie będziesz miała?

– Wiesz co? – Weronika na sekundę oderwała wzrok od sceny, tylko po to, żeby obrzucić przyjaciółkę wzrokiem pełnym nagany i oburzenia. – Ty się czasami zachowujesz jak facet, wiesz.

– A czemu?

– Dziewczyny! – Zuza również nie wytrzymała i ryknęła gromko.

– Już, już się zamykam, ale dopiero teraz zaczyna się coś dziać – Matylda cofnęła się na swoje miejsce, biorąc do ręki drinka.

W wyjątkowo odpowiednim momencie, bo zaczęły się rozlegać dźwięki gitary elektrycznej. Solo. No do tego miała słabość, może będzie nieźle. Poprawiła się w fotelu i wzorem koleżanek wbiła wzrok w rozjaśniającą się powoli scenę.

Jeden po drugim pojawiali się panowie. Wymuskani, w pełnym makijażu, gdzieniegdzie ciut zbyt widocznym, jak na Matyldowy gust, no i odziani w niekoniecznie kompletne garnitury. Po gitarze nie zostało nawet

śladu, zastąpiły ją dźwięki jakby discopolowe.

O nie.

Po pierwszych kilku minutach występu zerknęła na zegarek i nie mogła dać wiary, że minęło ich dopiero pięć.

Po kolejnych pięciu, nie zważając na syki towarzyszek, ruszyła w długą wędrówkę do toalety.

Cholera, zajęło tylko dziesięć minut.

Ileż oni się jeszcze będą wyginać? Oj, niedobrze, zarejestrowała kątem oka, zabierają do zabawy najbliższe sceny egzemplarze z... naszego stolika...

Stała więc spokojnie przy samych drzwiach i czekała, kiedy ten cyrk się zakończy. Po paru chwilach nawet zrobiło się jej odrobinę niedobrze i postanowiła odetchnąć świeżym powietrzem.

Weronika dopadła do niej zarumieniona i zdumiona od małych stopek począwszy, a na blond czuprynie zakończywszy. Wszystko w niej wydawało się zarumienione i zdumione.

– Nienormalna jesteś, wiesz, uciekać jak cnotliwa panienka w trakcie występu takich atrakcyjnych, mmmm – zarumieniła się jeszcze bardziej – ciasteczka, no prawdziwe ciasteczka. A widziałaś, jak mi założył przepaskę na szyję? Widziałaś?

– Widziałam – rzuciła Matylda krótko, rozglądając się po parkingu w poszukiwaniu taksówki – widziałam, a jakże, widziałam też, że wcześniej tą samą przepaską jeździł sobie po tyłku. Dokładniej rzecz ujmując: centralnie.

– Ale po jakim, jakim tyłku... – Weroniki nic nie mogło wytrącić ze stanu upojenia.

– Wracam do domu, niedobrze mi.

– Bo wytrąbiłaś cztery malibu, mnie też po nich niedobrze. Wódkę trzeba pić. To do poniedziałku... Ja zostaję. A z tobą... faktycznie coś trzeba

zrobić, Mati, no nic, lecę. Pa.

– Pa.

Była więcej niż pewna, że nieźle ją obsmarowują w tej chwili, zaczynając pewnie od tego, że zachowuje się czasami jak facet, no bo skąd ta jej oziębłość? Nie jest przecież tak serdeczna, tak otwarta jak reszta „normalnych” kobiet. Poza tym żeby uciekać w najdalszy kąt sali, w momencie kiedy takie cudowne ciacha się produkują, tak blisko, to przecież niedopuszczalne. Powinna siedzieć i czekać, aż ją któryś z pięknych panów omota skrawkiem lichej garderoby... No właśnie, pięknych. Matyllda wpatrywała się w światła – pulsującego życiem o tej porze – miasta i stwierdziła, że facet nie powinien być piękny. Przystojny, a i owszem. Ale nie piękny. Nie taki wymuskany. Ma mieć w sobie to bliżej nieokreślone coś.

Taksówka stanęła na światłach, a przez przejście przedefilował właśnie taki facet, jak trzeba. Ramiona ściągnięte do tyłu, ręce rozłożone swobodnie po bokach, ale tak, jakby sobie czegoś napakował pod pachy. Niewiele, wystarczająco jednak, żeby unieść ręce parę centymetrów w górę. W pewnym momencie niespiesznie sięgnął do kieszeni i zdecydowanym ruchem odebrał telefon. A przyklejonej do taksówkowej szyby twarzy rzucił półgębkiem uśmiech. Taki pewny siebie, ale sympatyczny.

Matylldę cofnęło z powrotem na siedzenie, po czym uśmiechnęła się sama do siebie. Niech gadają, na zdrowie. Ona wiedziała swoje, a że chwilami nieco odstawała od towarzystwa, trudno. W tej chwili najbardziej obchodziły ją oczy: wyjąć soczewki, przemyć twarz i paść czym prędzej w wygodne łóżko, postawione w najlepszym według niej miejscu. Według niej, a nie jakiegoś specjalisty od feng shui.

– Oszalałeś, Marcin, to miało być na wczoraj, jeżeli nie na ubiegły

tydzień, co ja mam z tym teraz zrobić? – patrzyła z niedowierzaniem na nową koncepcję Marcina. Która była, nie da się ukryć, w rozsypce zupełnej.

– Dasz sobie radę. W końcu masz szansę się wykazać do awansu – błysnął zębami w jednym ze swoich uwodzicielskich uśmiechów i zniknął.

A razem z nim zniknęła też szansa na spędzenie wieczoru w towarzystwie Pawła. Jednego z ostatnich wieczorów. Okazało się bowiem, że wysoce cenionego specjalistę wysyłano na kontrakt. Roczny kontrakt. Do Berlina.

– Kochanie, Berlin to nie Sydney. Będziemy się widywać co drugi tydzień. To najrzadziej – przekonywał ją wczoraj, całując po rękach.

– Jak to, co drugi tydzień? – Matylda wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Normalnie, przecież to żadna odległość i wiesz co? – dodał tajemniczo – myślę, że dzięki temu kontraktowi nasz status się nieznacznie polepszy.

– I?

– I myślę już poważnie o tym, że moglibyśmy... naprawdę...

– No wyduś wreszcie, Paweł, nie mam siły na zgadywanki

– czekała z zapartym tchem. Oświadczy mi się teraz, na pewno się oświadczy. I co ja mu powiem?

– Moglibyśmy zamieszkać razem.

Powiedział to wreszcie. Tylko nie to, co chciała. A może to taki wstęp? Może najpierw trzeba będzie pomieszkać ze sobą jakieś parę lat, dotrzeć to, co niedotarte, uzupełnić się, a później dopiero.. Nie, chwileczkę. Dokonała błyskawicznej kalkulacji. Paweł pojedzie na roczny kontrakt, zanim znajdą odpowiednie lokum minie kolejnych parę miesięcy. Następnie będą się docierać przez lat, powiedzmy, trzy, cztery.

Wyprostowała się gwałtownie. Będzie dobiegać czterdziestki. Jak nic. Stanie na ślubnym kobiercu, przechodząc już klimakterium. Chociaż nie, mama urodziła Karolinę, gdy miała czterdzieści dwa lata.

Mimo wszystko!

– Pawełku, a co z nami? – zapytała cicho.

– Jak to, co z nami? Matuś, czy ty nie dramatyzujesz troszeczkę? Wszystko się odrobinę przeciągnie w czasie, ale pomyśl tylko, nareszcie będziemy ustawieni finansowo tak, jak chcieliśmy. Czy to nie wspaniałe? Dodaj do tego twój awans, cud, miód – świat przed nami otworem.

– Tylko czy nie za późno stanie przed nami tym otworem? – zapytała z przekąsem, pozwalając się przytulić. Jakaś jej część krzyczała, głośno protestując, ale za chwilę dołączyła się druga z kuszącymi podszeptami. Dłużej będziemy młodzi, dłużej sobie pożyję sama i nacieszę się samodzielnością i wszystkim, co z tym związane. Może i racja. Poza tym droga awansu praktycznie nigdy się nie zamyka... spocząć dopiero w miejscu, z którego nikt nie będzie mnie w stanie wyrzucić. Roześmiała się głośno. Pytanie tylko, czy jest dzisiaj takie miejsce.

– Nie za późno! Ja ci to mówię! A co cię tak rozradowało?

– Paweł dolał szampana do kieliszków.

– Hm, wizja mnie samej w fotelu dyrektorskim, stamtąd chyba mogę już mieć bezpieczne widoki na przyszłość, nie sądzisz?

– podwinęła nogi pod siebie i wpatrzyła się w okno. – Paweł?

– Hm?

– Czy ty wiesz, jak ja widzę światła latarni?

– Nie rozumiem – spojrzał na nią z góry.

– Wiesz, tak bez okularów i szkieł.

– Jak?

– Wyglądają jak wielkie kule, jednolite, tylko takie trochę jakby rozmyte – nieudolnie próbowała mu wytłumaczyć.

– A te które stoją dalej? – taki był Paweł, nie machał ręką, tylko pytał. I za to go najbardziej kochała. Wszystko, co dotyczyło Matyldy, było ciekawe, niepowtarzalne i warte każdego pytania i każdej odpowiedzi.

– A te które stoją dalej, są takiej samej wielkości, tylko mają odrobinę mniej intensywny kolor. A jak przymrużę oczy, to dzielą się na dwie części, taką poziomą – pomogła sobie dłońmi – kreseczką.

– Świat widziany oczami krótkowidza. Kocham cię, zobaczysz, ułoży się nam wszystko tak, jak chcieliśmy – Paweł cmoknął ją w głowę.

Tak było wczoraj.

A dzisiaj na biurku miała całą stertę spraw do załatwienia i nie miała pojęcia, od czego zacząć. Koleżeństwo najwyraźniej uparło się, żeby miała szansę zejścia z tego padołu łąz tuż przed awansem, a tym samym zredukowania potencjalnej konkurencji do minimum.

I wycieczka też odchodzi w niepamięć.

Nie, przepraszam, jak to pięknie ujął Paweł, odchodzi w dalszą, chociaż nieokreśloną przyszłość. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Tak powiedział. A jak uciecze...?

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu, tłukącego się wściekle po biurku. Zerknęła na wyświetlacz, po czym przybrała służbowy ton głosu.

– Matylda Bięcka, słucham.

– Ohoho, jak poważnie zabrzmiało – z drugiej strony popłynął przyjemny dla ucha barytonik – więc nie mniej poważnie, Patryk Kuźmowski.

– ... yyy? – grzebała w zakamarkach pamięci, bezskutecznie jednak – czy ja... bardzo przepraszam, nie kojarzę nazwiska, w czym mogę pomóc?

– Oj, Matylda, pomyśl jeszcze chwilę, ja tymczasem podrzucę kilka faktów, które powinny odświeżyć ci pamięć: Park Branickich, pierwszy dzień wiosny i nasza kąpiel w lodowatej jeszcze wodzie...? Jakies szesnaście lat wcześniej... i co – pomogło?

Wraz z wizją zamrożonego jeszcze częściowo stawu, nadpłynęła druga, sympatycznej twarzy Patryka, wpatzonego w nią jak w najpiękniejsze dzieło sztuki malarskiej.

Niemożliwe. Niemożliwe!

– Patryk! – wrzasnęła na pół piętra, podrywając z krzesła pogrążoną w ciężkiej pracy kadrę. Po czym zganiona spojrzeniami, prawie szeptem, upewniła się jeszcze raz. – Patryk?

– No, już przez chwilę myślałem, że twoja mama podała mi numer do jakiejś innej Matyldy – odetchnął z wyraźną ulgą.

– Ale... mów, co u ciebie? – właściwie od czego zacząć rozmowę przerwana jakąś chwileczką, ile dokładnie? Trzyście lat wcześniej? Tak, bo widzieli się jeszcze ze dwa, trzy razy w trakcie studiów. No, ale mimo wszystko.

– A masz wolne dwie godziny? – zaśmiał się przyjemnie baryton. – Na to będzie czas, mam nadzieję. Słuchaj, organizowany jest wielki zjazd, pięćdziesięciolecie szkoły i ja, jako główny sprawca zamieszania, zebrałem lwią część naszej starej, poczciwej B. Ciebie też nie może zabraknąć.

– Kiedy, gdzie?

– Aaaaa, to już w tę sobotę – powiedział ostrożnie. – Mam nadzieję, że nie masz jeszcze żadnych planów, a jeśli masz, to natychmiast wszystko poprzekładaj. Da się? Matylda, powiedz, proszę, że się da...

– Czekaj, czekaj – zerknęła na stertę papierów, rejestrując przy okazji w lusterku stan makijażu. Zdąży, zarwie najwyżej ze dwie, trzy noce. –

Mam, rozplanuję sobie wszystko tak, że będę miała. Na rękach stanę. “

Wymienili się jeszcze szybko adresami, Patryk przekazał szczegóły spotkania, po czym rozłączył się, nie zdając sobie sprawy, w jaki stan wprowadził Matyldę.

A był to stan, nie wiedzieć czemu, czystej euforii i głębokiego niedowierzania. Matylda chwyciła lusterko w obie dłonie i przysunęła blisko do twarzy.

Piętnaście lat. Większości z nich tyle czasu nie widziała. W sobotę, dzisiaj mamy wtorek. To tylko trzy dni! Przeczesała palcami włosy, przyglądając się kolorowi. Nie, tutaj niewiele widać, pod słońce trzeba... chociaż nie, wiedzieć się będą wieczorem. Nieważne, wszystko ma być doprowadzone do perfekcji. Podekscytowana, nie spostrzegła, że ostatnie zdania wypowiedziała na głos.

– Co wieczorem, co do perfekcji? – Zuzanna stanęła nie wiadomo kiedy obok niej. – Dlaczego tak wnikliwie analizujesz swój nieskazitelny wygląd?

– Bo ma być nieskazitelny, Zuza. Ma być i basta. Właśnie zadzwonił do mnie kolega ze szkoły. Średniej, rozumiesz?

– Rozumiem i co? – Zuzka wzruszyła ramionami, najwyraźniej nieporuszona rewelacją.

– Jak to co? Nie widzieliśmy się od lat, a teraz jest spotkanie klasowe. Czy ty wiesz, jak ja muszę wyglądać?! Właśnie nieskazitelnie – Matylda wróciła do jeżdżenia nosem po lusterku.

– Mania jakaś z tymi spotkaniami. Bez przerwy słyszę, że ktoś coś organizuje i podnieca się tak właśnie jak ty. Zupełnie nie wiem, dlaczego. Takie odgrzewane kotlety – Zuzanna wzruszyła ramionami.

– Jakie odgrzewane kotlety znowu?

– No takie znajomości po latach, na co to komu? Ludzie się zmieniają...

– Właśnie dlatego, że się zmieniają, całkiem przyjemnie będzie popatrzeć, co wyrosło na przykład z mojej pierwszej miłości, jak sobie radzi w życiu klasowy prymus, co robi ten czy tamten.

– Nie wiem. Mniejsza z tym – Zuza machnęła niecierpliwie ręką i zaświszczała ze zdwojoną mocą. – Do Luisa dzwoniłaś?

Armstrong. To było pierwsze, co przyszło Matyldzie do głowy, gdy oderwała nieprzytomne spojrzenie od swego odbicia.

Przecież on nie żyje, chyba zabrały go wczesne lata siedemdziesiąte ku rozpaczycy wszystkich jazzmanów.

– Jakiego Luisa?

– No jak to jakiego? Dałam ci wizytówkę, zrób porządek w tym swoim mieszkaniu, może nareszcie zaczniesz myśleć o tym, o czym powinnaś... – tu na chwilę przerwała dla wywołania właściwego efektu, po czym ciągnęła dalej, niezrażona miną Matyldy. – Porządek w mieszkaniu i porządek w sobie. Tak, Matyldo, tak. Nie patrz tak na mnie. A, do fryzjera też możesz pójść. Parę świeżych pasemek by się przydało.

Jak to nie ma się czym podniecać? No jak? Pomijając fakt, że była ciekawa, jak pozmieniali się ci wszyscy ludzie, którzy kiedyś stanowili dość zgraną paczkę, to na dodatek wiele razy przecież zastanawiała się, do czego doszła na przykład Monika. Jej serdeczna koleżanka ze szkolnej ławki. Moniki „marzenie na przyszłość” dobrze pamiętała, bo kiedyś napisały listy do siebie i miały je otworzyć tuż po przekroczeniu lat dwudziestu pięciu. Ot, takie sobie bzdurki nastolatek. Tak więc Monika za cel nadrzędny obrała sobie bogate zamążpójście i usidlenie męża za pomocą trójki, przynajmniej, rozbrykanych dzieciaków.

Albo Michał. Michał chciał być lekarzem. Na biologii jego twarz zawsze przybierała nieobecny wygląd. Mikroskopy ubóstwiał po prostu, a pływające w formalinie gady i płazy darzył wręcz macierzyńskim, czy ojcowskim raczej, uczuciem.

Wystukała natychmiast parę alarmowych numerów, a umówiwszy wizyty wróciła do pracy ze zdwojoną energią.

* * *

– Znowu schudłaś – mama wzięwszy się pod boki, zmierzyła Matyldę od stóp do głów.

– Hurra, hurra, a ty znowu przytyłaś, mamó miś – rzuciła się matce na szyję i ucałowała ją w ciepłe i pachnące policzki.

– Nie hurra, nie hurra. Czy ty wiesz, że ja prawie nic nie jem? Nic, nawet chleba białego już nie tykam, a to wszystko naokoło – tu pani Zofia złapała się za obfite boki – pasie się chyba tlenem. Niedługo przestanę oddychać.

– O, Matusi, cześć dziecko! – tata zamknął Matyldę w niedźwiedzim uścisku, po czym zwrócił się do żony. – A od kiedy to tlen, kochanie, występuje w postaci smażonych ziemniaczków, czy drożdżowych bułek z twoim boskim dżemem truskawkowym? Bo to zdaje się wczoraj wdychałaś potężnymi haustami.

– Bardzo śmieszne. Jem mniej, sam dobrze wiesz. Tylko lata już nie te. Ech, szkoda gadać, ale popatrz tylko na nasze dziecko. Zapracowuje się tam w tej stolicy na amen. Kosteczki wszystkie już można porachować. Chodź, bidulo, na maminią kolację, nie daruję i wykorzystam te dwa dni maksymalnie, żeby chociaż trochę cię podtuczyć.

– Stop, mamó! Ja jutro mam wyglądać jak... jak... no nie wiem jak, ale na pewno nie pozwolę, żeby mi twoje pyszności wypchały brzuch.

– Nie wypchną, nie ma siły. Najwyżej odrobinę wyrównają z tymi kośćmi, co tu ci wszędzie sterczą – po tych słowach pani Zofia bezceremonialnie poklepała Matyldę po biodrach.

Tę ostatnią w kuchni jak zwykle ogarnęło, zupełnie bezwiednie, poczucie winy. Widok szafek, które skrywały w sobie zawsze świeże ciasteczka, lodówki, którą po otwarciu można było studiować do woli, wybierać i przebierać w pysznościach, chlebaka zaopatrzonego zawsze w świeże pieczywo, najczęściej maminej produkcji – wszystko to przypominało jej o pierwszych walkach i porażkach w walce z chwilową i, prawdę powiedziawszy, nieco urojoną nadwagą. A obok poczucia winy pojawiło się jeszcze inne. Takie ciepłe, rozgrzewające i podsuwające przed oczy obraz siebie samej sprzed nastu lat, pogrążonej w cichej rozmowie z mamą nad kubkiem ciepłego kakao. Rozmawiały o ważnych sprawach, wtedy dla niej najważniejszych. Tutaj między innymi pani Zofia dowiedziała się o głębokim uczuciu, którym jej trzynastoletnia wtedy córka zaczęła darzyć pana od angielskiego. Następnie o równie gorącym w natężeniu uczuciu do Patryka, Marka i wreszcie Pawła. Matylda prosiła mamę o radę w ostateczności, zwierzała jej się, gdy emocje były już tak silne, że nie potrafiła nad nimi zapanować. Ze sprawami codziennymi dawała sobie radę sama.

I była z tego dumna.

Inaczej rzecz się przedstawiała z Karoliną. Ta wpadała do kuchni od razu po szkole, po czym wykonywała kilka czynności jednocześnie: stojąc na jednej nodze, posilała się i jednocześnie nakazywała, najlepiej wszystkim domownikom, słuchać. Musiała mieć pełne audytorium i rzadko zadowolala się towarzystwem tylko i wyłącznie matki. Najczęściej ściągała też wrzaskiem Matyldę z jej samotni, czyli ostatniego pokoju na górze.

Ech, dobrze być w domu.

W tej samej chwili do kuchni wpadł rozwrzeszczany tajfun w postaci młodszej siostrzyczki.

– Kochana moja, nareszcie przyjechałaś, musisz przyjść do mnie, pokażę ci coś – Karolina zawisała jej na szyi całym, sześćdziesięciokilogramowym ciężarem. Po chwili przytulania palnęła się w czoło, najwyraźniej coś sobie przypominając – kochana, a rodzice już ci mówili, prawda? Cieszysz się?! Bo ja już się nie mogę doczekać. Nareszcie będziemy we dwie, bez bezsensownej kontroli... Kocham cię, mamo, nie patrz tak na mnie, ale mam już przecież swoje lata i o wielu rzeczach mogę decydować sama, nie pytając was o zgodę. O! A Mati – tu znowu uwiesiła się na Matyldzie – Mati mnie rozumie, będzie cudownie, będziemy chodziły do teatru, robiły, co tylko nam się spodoba, prawda, prawda Mati? – spojrzenie Karoliny nie było błagalne, było natarczywe.

– O czym ty mówisz, Karolina i... tyle razy cię prosiłam, nie mów do mnie Mati. Mamo? – w związku z tym, że siostra ogłosiwszy tę bliżej niesprecyzowaną, a rewelacyjną wiadomość, ruszyła w kierunku dobrze zaopatrzonej lodówki, nucąc sobie coś beztrąsko pod nosem, Matylda zwróciła się do pani Zofii.

– Oj, dziecko, czy ty już nie potrafisz normalnie... – mama machnęła ręką na wzruszającą ramionami młodszą córkę. – Widzisz, Matyś, Karolina dostała się na ekonomię...

– No, brawo siostra!

– Błęk... dzięki – wymamrotała pochwalona, pochłaniając kolejnego pierożka.

– No tak, ale ona dostała się na tę ekonomię do Warszawy. Pomyśleliśmy, że skoro jest tam przecież mieszkanie, no i ty byś miała ją

pod okiem...

Matylda była mądrą kobietą, a właściwie wszelkie niedopowiedzenia chwyciła w lot, więc wszystko już było jasne. Karolina od października wprowadza się do niej.

A niech to szlag! Dlaczego nikt z nią tego nie uzgodnił?

Zacząła błyskawicznie analizować nową sytuację, dostrzegając same minusy. Po pierwsze, ograniczona swoboda w kontaktach z Pawłem. Przecież nie będą mieli chwili spokoju dla siebie. Skończą się wieczory spędzane we dwoje na beztróskich rozmowach, oglądaniu czego popadnie, albo po prostu wypełnione wspólną pracą. Nie, chwileczkę, przecież Paweł wyjeżdża...

Ale... – i tu drugi minus – mieszkanie? Zuzanna nie miała racji, zarzucając Matyldzie brak porządku. Jej lokum było wymuskane do granic możliwości, zawsze czyściutkie, zawsze ze wszystkim na swoim miejscu. Z osobą Karoliny zaś pojawiał się szeroko pojęty bajzel. Ubrania wrzucała jak popadnie do szafy, a w jej pokoju nieodmiennie królował zapach pleśni. Zapominała, albo po prostu jej się nie chciało, wynosić resztek jedzenia, po kątach rozstawiała kubki z kawą, do nich wrzucała ogryzki po jabłkach i kwitło sobie to wszystko beztrósko, dopóki mama nie zainterweniowała.

Brrr.

Oczywiście wyobraźni ujrzała swoje mieszkanie zaślane stertami brudnej bielizny siostry; stoliki i wszelkie powierzchnie, na których dało się ustawić kartoniki po jogurtach, kubeczki po kawie czy herbacie, pokryte dokładnie kólkami porozlewanych i zaschniętych substancji...

No, ale to przecież nie najważniejsze. Są i dobre strony... Karolinie się przykaże, żeby pilnowała porządku, poza tym przyjemniej będzie wracać po pracy. Nareszcie nie do pustego i ciemnego mieszkania.

Nagle Matyldę uderzyła cisza panująca w kuchni, przerywana tylko głośnym tykaniem zegara. Rodzina wpatrywała się w nią intensywnie. Mama i tato z wyrazem niepokoju w oczach, Karolina z niedowierzaniem. Tym razem bowiem maska zawiodła i na twarzy poinformowanej odmalowały się wszystkie wątpliwości.

Matylda przywołała się do porządku, heroicznym wysiłkiem zdobyła na uśmiech i podeszła do siostry.

– To kiedy się wprowadzasz? We wrześniu chyba, co? Daj pieroga, nie wytrzymam, niech się ten mój brzuch wala jutro po parkiecie – wyrwała Karolinie talerz. – Najlepiej przyjechać we wrześniu. Tak, żebyś zdążyła się przyzwyczaić i do nowego mieszkania i do miasta.

– Czekajcie, podgrzeję – pani Zofia z westchnieniem ulgi ruszyła do kuchenki, ściskając przelotnie i z wdzięcznością ramię starszej córki.

Wieczorem Matylda rozpakowała się, wykapała, po czym, ubrana tylko w bawełnianą koszulkę i krótkie szorty ruszyła, jak to miała w zwyczaju, do kuchni. Mama zagniałała właśnie ciasto drożdżowe, ciepły blask lampy oświetlał jej okrągłą twarz, gdy ze skupieniem wbijała raz za razem zaciśniętą pięść w miskę na stole. Nuciała sobie coś pod nosem.

– Mamo...

– No, co tam, chudzino? – pani Zofia na chwilę oderwała spojrzenie od ciasta, by obrzucić nim szybko szczupłą sylwetkę córki. – Nie śpisz jeszcze?

– Nie, przyszedłam na kakao – Matylda zakrzętnęła się przy lodówce, po czym naląła solidną porcję mleka do małego rondla – i popatrzeć, jak się zmagasz z drożdżową. Dlaczego dopiero teraz zaczynasz i w ogóle mnie nie uprzedziłaś? Mogłam się za to wziąć wcześniej. Przypilnuj mleka, ja zagniotę ciasto.

– Niczego nie przyspieszysz, kochana, musi i tak odstać swoje, żeby wyrosnąć, poza tym odzwyczaiłam się od pomocnika w kuchni.

– Powinnaś częściej zaprzęgać Karolinę do roboty.

– A później kuchni nie byłabym w stanie doprowadzić do ładu, nie, dziękuję.

– Niechby sama doprowadzała – Matylda wzruszyła ramionami, napełniając dwa kubki kakao. Odruchowo zapakowała rondel do zlewu i wyszorowała, starając się nie poparzyć.

– Inne jesteście. Córeczko...

– Hm?

– Wybacz, że tak to wyszło, chciałam cię najpierw zapytać o twoje plany, o to, czy czasami Paweł się nie zamierza przeprowadzić, w ogóle o wszystko. Ale ta mała jedza jak zwykle mnie ubiegła – mama potarła przegubem czoło. – Jakoś chyba w niej taktu nie ma za grosz.

– Co chcesz, nasz pępuszek, pępuszek właściwie całego świata.

– Wiem, że popełniłam kilka błędów w jej wychowaniu, tak czasem bywa z młodszym dzieckiem... Wydaje mi się, że potrzeba jej usamodzielnienia. Dlatego pchałam ją do Warszawy, byle dalej od domu, a jednak pod twoim czujnym okiem.

– Damy sobie radę. Co do Pawła... hm, wyjeżdża.

– Gdzie? Nic nie mówiłaś – mama obrzuciła Matyldę czujnym spojrzeniem, od którego ta przezornie uciekła w jasnobrązową otchłań parującą w kubku.

– A jakoś tak się nie złożyło. Dopiero niedawno się dowiedziałam. Jedzie na kontrakt do Niemiec. Roczny kontrakt.

– Cholera – miska z ciastem z hałasem wylądowała na blacie- co on sobie wyobraża? Że wiecznie będziesz na niego czekać? Że wiecznie

będziecie młodzi?

– Mamo, to nie tak. Jedzie tam, żeby nam szybciej stworzyć zaplecze materialne, poza tym przemyślałam to sobie i doszłam do wniosku, że to dobry pomysł. Musimy stanąć na nogi, tak żeby nie zaczynać od długów, kredytów i tego całego obciążenia, które, sama przyznasz, dobrze na młode małżeństwo nie działa.

Mama usiadła naprzeciw niej i wytarłszy dłonie o ściereczkę, łyknęła sobie solidnie z kubka.

– Pycha, zupełnie inaczej smakuje, jak ktoś ci podsunie pod nos. Może to i dobrze, że nie ma mnie komu zastąpić w kuchni, bo inaczej chodziłabym już kwadratowa – westchnęła. – Wiesz, że zawsze popierałam cię we wszystkim. Wiesz, prawda?

– Yhm.

– Masz poukładane w głowie – wzniosła rękę, żeby uciszyć bulgoty protestu dochodzące z drugiej strony stołu – chwałę cię, więc zamilcz. Rzadko mi się to zdarza. Doszłaś do wszystkiego zupełnie sama, ciężką pracą i wyrzeczeniami. Podziwiałam cię zawsze, zwłaszcza w okresie studiów, kiedy musiałaś sama się utrzymać...

– Ale...?

– Ale mam wrażenie, że trochę przesadzacie – pani Zofia przykryła swoją dłonią dłoń córki. – Czy wy w ogóle wiecie, jakiej wysokości ma być to zaplecze materialne, o którym wspomniałaś?

– Takie, żeby spokojnie nam na wszystko wystarczyło – odparła zwięźle Matylda, rozmowa zdecydowanie schodziła na dość niewygodnie tory.

– A co to właściwie znaczy, córeczko?

– Oj, mamo, no, żeby sobie na nic nie żałować, mieć pieniądze na

dzieci, przyjemności. Mieć jakiś kapitał, pozycję. To chyba przede wszystkim. Mamo, ja chcę coś znaczyć, wiesz. A teraz, właściwie nie wiem, czy mogę już o tym mówić, ale chyba szykuje mi się awans. Na dyrektora administracyjnego. Osiągam coś, własną pracą, ciężką trzeba dodać. I chyba dobrze mi z tym.

– Chyba – podkreśliła cicho pani Zofia, po czym spytała delikatnie. – A rodzina...? Myślisz o tym?

– No, przecież właśnie zarabiam na rodzinę. Na godne życie

– prychnęła Matylda zniecierpliwiona i okulary zjechały jej na czubek nosa. Poprawiła je szybko. Dlaczego mama jest taka monotematyczna, dlaczego nie potrafi zrozumieć, może to kwestia pokolenia?

– Mam jasno wytyczony cel i do niego dążę, zrozum proszę.

– Jasno wytyczony?

– Tak, bardzo jasno – ucięła krótko.

– Powiedziałaś, że chcecie stworzyć sobie zaplecze. Ale nie wiecie oboje, jak ono właściwie ma wyglądać. Proszę, nie przerywaj mi, pozwól, że dokończę i już cię nie będę męczyć, bo widzę przecież, że się męczysz. Nie wiecie. Mówisz, że musi wystarczyć wam na wszystko, że nie chcecie sobie na nic żałować. Że musicie zacząć coś znaczyć, zdobyć odpowiednie pozycje w świecie biznesu. Ale czy będziecie potrafili powiedzieć sobie w pewnym momencie: już, wystarczy? Wciśnięcie sygnał stop? Czy czasami za każdym zakrętem kariery nie będą się pojawiały nowe i bardziej pożądane stanowiska? Czy ten wasz pułap zaplecza finansowego nie będzie się co chwila podnosił? Mnie się zdaje, że ten pęd nigdy się nie kończy. O to się boję. Rozumiesz?

– Rozumiem – odparła cicho Matylda – i postaram się, żeby tak nie było.

– Są w życiu ważniejsze rzeczy niż kariera, córeczko. Są ludzie, przetrzyj, kochanie okulary zanim będzie za późno, bo mam wrażenie, że swoimi oczami krótkowidza tego nie dostrzegasz – pani Zofia podniosła się ciężko i cmoknęła córkę czule w czubek głowy, łagodząc tym ostre słowa. – A teraz możesz się na mnie nabzdyczyć, bo skończyłam. Ale możesz też wziąć sobie moje rady chociaż trochę do serca i chwilę się zastanowić. Wiesz, że mówię to dla twojego dobra.

– Wezmę, obiecuję. Kocham cię mamo.

* * *

Z przerażenia się obudziła. Otworzyła szeroko oczy. Zaraz biologia, klasówka, a ona ma pustkę w głowie. Omiotła nieprzytomnym spojrzeniem pokój i zaczęła macać stolik obok łóżka w poszukiwaniu okularów. Zasnęłam do szkoły, a w dodatku nic nie umiem.

Na stoliku jednak, zamiast dużego budzika, zobaczyła telefon komórkowy i byle jak rzuconą wczoraj książkę. Na fotelu zamiast plecaka leżała torebka. Ani śladu zeszytów czy podręczników. Po dłuższej chwili Matylda uświadomiła sobie, że co prawda znajduje się w rodzinnym domu, niezmiennym prawie od czasów szkolnych, w swoim pokoju, ale jest o kilkanaście lat starsza. Kiedy to do niej dotarło, opadła z chichotem na poduszki.

Uff. Co za ulga. Z całym szacunkiem dla młodości, szacownego grona pedagogicznego, jak i szkolnych znajomości, nie chciałaby jednak przeżywać tego wszystkiego ponownie.

Otworzyła szeroko okno, pozwalając wpłynąć rześkiemu powietrzu do środka, i wyjrzała na dwór. Przed domem krzątała się już mama, przestawiała donice i uzupełniała miski dla kotów. A naokoło było pięknie, zielono i wręcz sielankowo. Usłyszała dźwięk przychodzącej wiadomości.

„Czy moje kochanie już wstało? Jeśli wstało, to życzę cudownego dnia, jeśli nie, cudownych snów. Ze mną w roli głównej. Buziak”.

Paweł.

„Wstałam, a dzień musi być cudny, bo i tu jest cudnie. Dla ciebie też”.
Odstukała szybko.

I był.

Od początku do końca. Matylda zagoniła młodszą siostrę do pomocy rodzicom. Powoli zbliżał się sezon i trzeba było przygotować pensjonat na przyjazd letników. Część pokoi wprawdzie cały czas była utrzymywana w gotowości, lecz większość wymagała gruntownego wysprzątania. Począwszy od okien, poprzez pajęczyny w kątach, szorowanie podłóg i pastowanie powierzchni drewnianych.

– Nie, daj spokój, Matylda, proszę cię, jak to wygląda, przyjeżdżasz tak rzadko, a jak już jesteś, to co? Kąty będziesz szorować? Wypocznij, robota nie ucieknie, w następnym tygodniu już przychodzi pani Wiesia z córkami, damy radę.

– Właśnie, Mati... Matyś – gorąco popierała matkę Karolina – daj spokój, my to później wszystko poszorujemy, spokojna głowa, a ty musisz wypocząć, dzisiaj przecież impreza, zniszczysz sobie manicure...

– Milcz, młoda – Matylda już miała na sobie robocze, porwane tu i ówdzie džinsy, czerwoną chustkę na głowie, a pod pachą rękawice i ścierki.
– Zbieraj się lepiej, radzę po dobroci. Później nie poszorujesz, bo zdaje się, że wyciąga cię nad morze jakiś kolega. A o moje pazurki się nie martw. Jazda!

Rodzice otworzyli pensjonat trzy lata temu.

Wcześniej po prostu wynajmowali pokoje, zaczynając od tych na poddaszu domu. Nie chcieli ryzykować i mimo iż Matylda namawiała,

prosiła, przekonywała, nie zdecydowali się na wzięcie kredytu.

Stopniowo zaczęło się okazywać, że amatorów na spędzenie letnich urlopów na doskonałym wiksie pani Zofii i w uroczym zakątku nad podlaską rzeką jest coraz więcej. Po licznych debatach i kalkulacjach z rodzicami, Matylda przedstawiła sklecony naprędce biznesplan, trzymający się jednak kupy i przez członków rodziny przyjęty pomrukami aprobaty.

Niedaleko domu, na niegdysiejszym polu porzeczek, do których nikt już nie miał siły ani zdrowia, stanęły trzy drewniane domki. Przy czym pani Zofia przeforsowała decyzję o zakupie ogrzewanych. Jak stawiać, to od razu solidne, przekonywała męża. Zabrała się z energią do projektowania przyjemnego otoczenia. Własnymi rękami stworzyła cudny zakątek z małym stawem, ogródkiem skalnym i drewnianymi ławkami poustawianymi w pobliżu pachnących magnolii oraz złotokapów. Pan Włodzimierz zajął się pracami czysto męskimi i wodził rej wśród zaangażowanych do pomocy przyjaciół z okolicy.

Wkrótce okazało się, że i domki są niewystarczające dla gości. Znowu zwołano naradę rodzinną, tyle, że tym razem Matylda zjawiała się już z całym naręczem informacji o dotacjach unijnych.

Znowu pomruczano, podyskutowano i błyskawicznie podjęto kolejną decyzję.

Stanął pensjonat. I chociaż pani Zofia narzekała, że już nie da rady, że nie będzie w stanie wykarmić tylu osób – to w końcu 20 pokoi! – to w jej oku zabłysła iskierka. I błyszczała do tej pory. Tym bardziej, że pasja, z jaką rodzice oddali się nowemu zajęciu, zaczęła być bardzo dochodowa.

Na tyle dochodowa, że większość kosztów warszawskiego mieszkania Matyldy mogli pokryć bez problemu. Ona z kolei, kiedy tylko mogła, czuła się w obowiązku spieszyć im z pomocą.

Dzisiaj też nie było wyjątku od tej reguły. Zamiast wylegiwać się do wieczora i trawić czas na dyskusjach z mamą, nie daj Boże znowu na jakieś śliskie tematy, wolała pobiegać ze ścierką i przy okazji pozbyć się wyrzutów sumienia.

– Przeglądałaś się w którymś z pokojowych lusterek? – Karolina stanęła w drzwiach z rozczochranymi włosami i stosem ścierek w rękach.

– Nooo, w każdym. A co? – Matylda wylazła spod łóżka i zaczęła masować obolałe plecy.

– A to, że mamy już późne popołudnie i jeżeli chcesz się zrobić na bóstwo, to może ci zabraknąć czasu – uśmiechnęła się słodko.

– Cholera, która godzina?

– Dwie ci jeszcze zostały. Z małym haczykiem – sapnęła Karolina.

– Pozbieraj po mnie te szmaty, leczę. Niech to szlag, miałam wyglądać bosko, szlag, szlag, nie zdążę. Kąpiel, włosy...

O ile przez cały dzień nie miała czasu zastanawiać się nad wyglądem, o tyle tuż przed wejściem do małego, drewnianego domku, w którym klasa B miała się spotkać po tylu latach, zastanawiała się gorączkowo: czy podkład został równo nałożony i w ciągu kilku minut pospiesznego marszu nie rozmazał się zbyt, czy krótka, twarzowa fryzura w dalszym ciągu prezentuje się tak, jak tuż przed wyjściem, kiedy to rodzina zgodnie zapewniła ją, że jest nienaganna, czy czerwona torebka pasuje do sukienki, czy nie lepiej byłoby wziąć czarną, czy...

– Nie wierzę – dobiegł ją wesoły głos. – Matylda?

Odwróciła się w poszukiwaniu właścicielki głosu. Parę kroków dalej stała, przyglądając się Matyldzie, krągła postać, skądinąd wyglądająca znajomo.

– Aga! – rzuciły się sobie w ramiona niepomne już drobnych detali,

które zawracały im głowę tuż przed spotkaniem.

– Matko, nic się nie zmieniłaś – Agnieszka odsunęła się w końcu i przyglądała się wnikliwie Matyldzie. – Gdzie twoje zmarszczki, pytam? Gdzie zbędne kilogramy? Jakich czarów używasz, przyznaj się!

– Ej, bez pochlebstw, tu i tu, widzisz – Matylda podniosła wycieniowaną grzywkę – tu się lata u mnie piszą.

– U mnie się piszą wszędzie, chodź.

Weszły i zaczęły się rozglądać za znajomymi twarzami. Wchodzący do środka od razu spotykali się z wyczekującymi spojrzeniami z trzech stron sali.

– O matko, widzisz kogoś znajomego? – zaszemrała Agnieszka, chowając się za plecy dawnej koleżanki.

– Nie, ale ten pan z grupki przy oknie się szczyrzy... czy profesorowie też byli zaproszeni? – odszemrała Matylda. – Bo to chyba niemożliwe, żeby ktoś od nas tak się posunął.

W pewnym momencie, gdy ruszyły już zrezygnowane w stronę łysiejącego pana o szerokim uśmiechu, Agnieszka pociągnęła Matyldę w tył i wrzasnęła na cały lokal.

– Taaaam, patrz, Patryk i Magda, Sławek i Monika! – Matyldzie nie pozostało nic innego, jak ruszyć we wskazanym kierunku.

Towarzystwo na szczęście schodziło się powoli, więc mieli okazję obejrzeć się dokładnie od stóp do głów, zanim wyskokowe napoje spaczyły nieco obraz rzeczywistości. Bo o ile na pierwszy rzut oka Matyldzie wydało się, że po niektórych zdecydowanie widać upływ czasu, o tyle na drugi była gotowa przysiąc na wszystkie świętości, że ludzie się w ogóle nie zmieniają. Owszem, koleżanki bez mała wszystkie zaokrągliły się nieco tu i ówdzie, za sprawą kolejnych ciąż, panom też niczego nie brakowało, ale twarze i

charaktery uległy tylko nieznacznym zmianom. Powszechną uwagę zwracał tylko Patryś. Jej niegdysiejsza miłość, wtedy przywodząca na myśl drobne, indiańskie chłopię. Chłopię rozrosło się przez te parę lat, zapuściło długi włos i w chwili obecnej wyglądało jak król Skorpion we własnej osobie. Czy może raczej The Rock, mistrz wrestlingu.

Chociaż prawdę powiedziawszy, prawie na jedno wychodziło. Matylda co chwila rzucała mu ukradkowe spojrzenia i nie mogła się oprzeć porównaniu go z zespołem chippendalsów.

Całym zespołem, a nie pojedynczymi egzemplarzami.

Tacy jak on powinni wychodzić na scenę! Chociaż z drugiej strony, gdyby zaczął się poruszać tak wężowo i kręcić pięknie uformowanym tyłkiem, chyba by nie zdzierzyła...

Tymczasem mistrz sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z pełnych zachwyty spojrzeń, którymi obsypywały go koleżanki i rozparłszy się wygodnie, konwersował z kim popadnie.

Właściwie, gdy usiedli do suto zastawionego stolika, rozmowa potoczyła się tak, jakby była przerwana zaledwie wczoraj, no tydzień temu, a nie piętnaście lat wcześniej. Najpierw przelecieli cały cykl opowieści dziwnej treści, zaczynających się nieodmiennie od słów: „a pamiętasz/pamiętacie?”. Okazało się, że nie wszyscy pamiętali o tym albo owym, więc ten kto rzucił wątek, miał frajdę z przypominania całego zdarzenia reszcie towarzystwa. Ubarwiając przy tym opowieść aż do obrzydliwości.

Następnie zlokalizowali się wzajemnie na mapie kraju, gdzie kto wyemigrował i dlaczego, do cholery, skoro jesteśmy takimi bliskimi sąsiadkami, ani razu się nie widziałyśmy...?

– No nie żartuj, Matylda, przecież mieszkasz zaledwie parę bloków

dalej – Magda aż łomotnęła pięścią w stół.

– No nie żartuję, od dobrych paru lat, tyle, że ja, widzisz, rzadko bywam na osiedlu – Matylda wzruszyła ramionami, szukając łyżki do poprawienia talerza z faszerowanymi jajeczkami. Kilka sztuk po Magdowym grzmotnięciu postanowiło wypaść na obrus i potoczyć się elegancko w kierunku tataru.

– Bierz do łapy i wrzucaj z powrotem, co się czaisz – rzucił Matyldzie do ucha Patryk, niespodziewanie przysuwając się bliżej. Wyglądał, jakby za chwilę miał porwać ją do tańca.

– Spadaj, Skorpion, nie zabieraj jej, przynajmniej na razie

– Magda była gotowa w razie potrzeby uruchomić drugą pięść i tym razem bardziej precyzyjnie zlokalizować cel ataku. A celem miała być ni mniej ni więcej tylko piękna jak z obrazka twarz dawnego kolegi.

– A ja się tam nigdzie nie dam zabrać – zaproponowała Matylda, bo już jej się całkiem miło robiło na duszy i na sercu, na żołądku też. Właśnie, to dzięki cudownej żołądkowej. Złapała więc ochoczo za kieliszek i wygłosiła gromki toast: – Za świeżo odzyskanych przyjaciół i nowiutkich sąsiadów.

– Tak jest. No to gadaj, dlaczego rzadko bywasz? – zainteresowała się Magda, wychyliwszy w tempie przyspieszonym następny kieliszek.

– Praca, dom, praca, dom. O, tak to wygląda. Nawet w naszym osiedlowym sklepie nigdy nie byłam. Nie, przepraszam – podniosła palec do góry – dwa razy byłam. Ale po co... to już nie pamiętam.

– Jasne, czyli w piaskownicy raczej cię nie spotkam – Magda na widok wzniesionych wysoko w niemym zdumieniu brwi roześmiała się głośno. – Na placu zabaw znaczy.

– Aaaaa, nie, na pewno nie, przynajmniej na razie. A ty, masz już dzieci?

– Tu są moje pociechy, czy może utrapienia – Magda wyciągnęła z przepastnej torby plik zdjęć. – Patrz Matylda, tu Maciuś lat pięć, a to Ewa. Lat trzy. Podobne? Powiedz, że podobne.

– No pewnie, zwłaszcza Ewa, ma twoje dołeczki w policzkach i... – Matylda usiłowała dostrzec rozpaczliwie jeszcze jakieś podobieństwa, ale kiepsko jej szło. Może światło nie to.

– Taaak, tylko dołeczki po mnie odziedziczyła. Pokaż Aga swoje – Magda wyciągnęła rękę po kolejną porcję zdjęć potomków klasy B, krążących już od dobrych paru minut przy stole.

Nagle okazało się, że tylko Matylda nie może się pochwalić żadnymi zdjęciami. Nie, sprostujmy, pochwalić się może. Owszem. Tymi z Egiptu, z zeszłorocznego wyjazdu z Pawłem, albo z Tunezji czy Grecji. Tyle, że na żadnym z tych zdjęć nie było dzieci. No, chyba że przypadkowo sfotografowanych. Ale obcych. Nie swoich.

I co z tego, że figurę masz doskonałą? Co z tego, że masz kupę kasy i świetną posadę? Nie masz najważniejszego – zdawały się mówić przez chwilę oczy koleżanek. A gdy usiłowała się tłumaczyć, wyjaśniać swoje priorytety, spojrzenia zmieniły się w pełne politowania. Magda wyciągnęła ją z opresji, wypychając na parkiet.

– Chodź, zobaczymy, czy nasze stare kości da się rozruszać. – konspiracyjnie pochyliła się do jej ucha – Teraz przy stole rozpęta się istna licytacja. Które co umie, gdzie było leczone, na jakie choroby zapadało, na co uczulone i tak dalej, i tak dalej.

– To może zostać – zaoponowała cicho Matylda. – Też masz przecież dzieci...

– Co nie znaczy, że mam o nich dyskutować bez przerwy i z kim tylko popadnie. Oprócz dzieci mam także siebie. O, dobra muza leci. No, chodź!

Okazało się, że kości nie tylko da się rozruszać, ale można sprawić, żeby wyginały się pod niewyobrażalnym kątem. Na dziwnych płaszcach spędzili lwią część wieczoru, po czym rozstali o piątej nad ranem, całując się i szczerze obejmując. Oczywiście z każdej strony padały obietnice poprawki tak cudownej imprezy. Matylda pamiętała jak przez mgłę, że Patryk usadził ją i Magdę w taksówce, poinstruował kierowcę i zniknął. A razem z nim znikła świadomość bytu.

– Żyjesz? Matyldaaaa! Rusz się chociaż.

– Nie krzycz – miała wrażenie, jakby ktoś jej pozaklejał oczy. Inaczej nie dało się wytłumaczyć ciężkiego oporu, jaki stawiały powieki za każdym razem, gdy próbowała je uchylić. I to łomotanie, potęgowane przez donośny głos siostry. – Wody... masz gdzieś wodę?

– Masz, strąbiłaś się wczoraj na amen – Karolina odsunęła koldrę i przysiadła na łóżku.

– Nieee... jednak... nie chcę wody. Uciekaj! Zejdź mi z drogi! – rzuciła Matylda pospiesznie, po czym błyskawicznie wywiało ją do łazienki.

Wróciła bledsza, jakby bardziej zielona na twarzy. Po czym walnęła się znowu do łóżka.

– Nigdy więcej nie tknę alkoholu – wymamrotała w poduszkę. – Pamiętaj, biorę ciebie na świadka.

– Zawsze tak mówiłaś po imprezach – Karolina wzruszyła ramionami. – Warto chociaż było?

– Warto. Wiesz co sestro? Daj mi jeszcze chwilkę. Ja muszę to chyba odespać, jeszcze wcześniej, przyjdź za jakieś dwie godziny – wciąż z głową w poduszce machnęła ręką, odganiając siostrę.

– Hm, za dwie godziny to będzie już czwarta po południu...

– Coooo?

– Ano to, nie budziłabym cię, gdyby nie mama. Kazała przyjść i zobaczyć, w ogóle czy żyjesz, a tak przy okazji, zadzwoniła też do Pawła.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby po ciebie przyjechać. Na moje oko to jeszcze ze dwa dni nie powinnaś siadać za kółkiem. Za duże zagrożenie.

– Niech przyjeżdża – zgodziła się łaskawie Matylda, po czym podniosła nieznacznie na łokciu. – Czekaj, a co z moim samochodem, przecież dwoma nie pojedzie.

– Oj, siostró, z jakimś kolegą ma być. Doprowadź się do jako takiego stanu i złaż na rosółek, mama ci specjalnie ugotowała.

– Rosółek? – Matylda znowu straciła przed chwilą odzyskane kolory i w te pędy pognęła do łazienki, zakrywając sobie usta dłonią.

– Hm, jak na umęczenie ciała, masz niezły czas w biegach do kibelka – mruknęła do siebie Karolina i poszła zameldować rodzinie, że starsza córka żyje co prawda, ale wolałaby chyba nie żyć. Aha. No i lepiej nie mówić jej o jedzeniu. Źle to na nią działa, jeszcze gotowa nie dobiec tam, gdzie ją nosi na myśl o, na przykład, maminym rosole.

Wpatrując się w łazienkowe lustro, Matylda usiłowała sobie przypomnieć, ile właściwie alkoholu pochłonęła wczorajszego wieczora. Przezornie robiła to właśnie tam, bo na myśl o napełnianych kieliszkach żołądek zaczynał znowu wywracać się na lewą stronę. Myślała, myślała i darując sobie wreszcie szczegóły, wymyśliła. Dużo. Za dużo.

Mycie zębów, czy może raczej wibrowanie elektrycznej szczoteczki, też nie działało zbyt dobrze na samopoczucie. Ale przynajmniej pozbyła się smaku podeszwy... jak właściwie smakuje podeszwa i skąd takie durne powiedzenie?

Z przyzwyczajenia machnęła rzęsy i nałożyła na bladą twarz podkład.

Po czym weszła pod prysznic i wszystko to z siebie zmyła...

Szlag.

– Za dobrze nie wyglądasz, moja droga, chcesz... – pani Zofia zamilkła na widok podniesionej w odruchu protestu ręce.

Tym bardziej, że druga automatycznie zakryła usta. – Jak się' czujesz, lepiej już?

– Jakbym się nie czuła, mamó.

– Nic dziwnego, przez czysty przypadek widziałem, w jakim stanie wróciłaś – tata denerwująco głośno mieszał herbatę.

– W jakim, nie pamiętam – Matylda spłynęła na krzesło

– Jezu, wszystko mnie boli.

– Za to ja nie zapomnę długo. W dodatku maszerowałaś ze śpiewem na ustach, mówiąc szczerze, darłaś się na całą wieś.

– Taaa? A co śpiewałam?

– Że za rok zdajesz maturę, za rok caaaały – pan Włodzimierz parsknął w zamieszana już, dzięki Bogu, herbatę.

– Oszczędź mi, kochanie, na przyszłość takich widoków. Bo, prawdę powiedziawszy, nie wiedziałem, czy śmiać się czy płakać.

Podróż spędziła Matylda na tylnym siedzeniu, co chwila sygnalizując Pawłowi przystanek i zastanawiając się nad pojemnością swojego żołądka. Jak też nad tym, czy czasami dzisiaj właśnie nie jest ten dzień, kiedy pozbędzie się go na wieki wieków.

Jutro będzie lepiej. Musi być.

* * *

Jednakowoż nie było.

Pierwsze kroki rano skierowała do łazienki, jednak w zgoła odmiennym celu niż zazwyczaj.

– Musiałaś się czymś zatruć, innego wyjścia nie widzę. Matylda, zageszczaj ruchy, o ile to możliwe, to zawiozę cię do pracy, chyba że chcesz wziąć dzisiaj wolne – Paweł niańczył ją przez całą noc. Poił herbatą, wodą, robił wszystko, żeby... poczuła się lepiej.

– Nieee, nie mogę. Dzisiaj mam być u dyrektora, projekt Marcina... wiesz.... nie, nie mogę. Daj mi pięć minut – przekrzyczyła szum wody.

To był horror. Najczarniejszy z koszmarów.

Matylda stwierdziła z ogromnym przekonaniem, że nie ma nic gorszego niż nieposłuszeństwo i krnąbrność własnego ciała. Jeżeli człowiek parę razy musi opuszczać zwyczajowe zebrania, zwołane przez dyrektora, jeżeli każdy zapach potrafi wzbudzić skurcze zmaltretowanego żołądka, to nie można zrobić nic innego, jak się poddać. Do tej pory Matylda nie zdawała sobie sprawy z wielu rzeczy, a na pewno nie rejestrowała ich, nie chcąc obciążać umysłu zbędnymi banałami. Teraz jednak biurko było uprzątnięte. Oprócz laptopa nie leżało na nim nic. Bo wszystko jakoś pachniało. W dodatku ten zapach nie był taki, jak powinien.

Poza tym rozglądała się po całym biurze, usiłując zlokalizować pomarańcze. Ten aromat najbardziej wbijał jej się w nozdrza, a co najważniejsze, nie powodował wymiotów. Cel nadrzędny – zdobyć owoce. Może mój biedny organizm domaga się w ten sposób witamin. Nie, no, to niemożliwe, najwyraźniej ktoś wrzucił do kosza pod jej biurkiem skórki. Nurkując w poszukiwaniu źródła zapachu, nie zauważyła Weroniki, stojącej w drzwiach i przyglądającej jej się spod zmarszczonych brwi.

– Mati...

– Nie mów do mnie Mati, nienawidzę, jak się tak do mnie mówi. Dano mi na chrzcie, mało roztropnie, ale Matylda, Matylda, rozumiesz? – zafurczało spod biurka.

– Okej, spokojnie, nie denerwuj się tak. Przyszłam zobaczyć, co się z tobą właściwie dzieje, bo dzisiaj wyglądasz niekoniecznie dobrze – po czym dodała cichutko – zachowujesz też.

– Słyszałam. Wiem o tym. Wyglądam, jak wyglądam, bo się strułam, najzwyczajniej w świecie. Jestem w końcu człowiekiem, tak? Tak?

– Jesteś, niby jesteś, dobrze się przekonać, że chociaż ciało masz ludzkie i, hihhi, niekoniecznie posłuszne – Weronika w dalszym ciągu mówiła do biurka.

– Cholera, cholera, cholera, nie ma! – Matylda wypełzła na wierzch i przyjrzała się uważnie koleżance. – Jadłaś może dzisiaj pomarańcze?

– Nie, dlaczego?

– Nie wiem dlaczego, je się zazwyczaj, jak się jest głodnym. A kto jadł?

– Chryste, Mati... Iida, co się z tobą dzieje? Nie wiem, kto jadł, nie latam przecież po całym biurze, zaglądnając ludziom w zęby czy do torebek.

– Ale wiesz wszystko. Uchhh, chyba dojrzałam do... kawy? – powiedziała niepewnie Matylda, po czym wsłuchała się w brzmienie własnego głosu. Nic. Więc powtórzyła głośniej.

– Do kawy.

Dalej nic.

Huurrrra, koniec! Wcześniej sama myśl o kawie, nie mówiąc o aromacie, sterowała ją od razu na koniec korytarza, prościutko do łazienki. A teraz...? Dalej nic. Spojrzała z radością na Weronikę, złapała ją za ramię i ciągnąc do kuchni, zaczęła wyjaśniać.

– Strułam się po prostu. W sobotę na tej imprezie klasowej.

– A widzisz, podobnie jak Zuza też nie jestem za tym spędami po iluś tam latach. Człowiekowi organizm już nie służy.

– Co ty pleciesz – Matylda sięgnęła po swój kubek. – A na tańcach panów, którzy się tak ponętnie według was rozbierali, ile wypiałś?

– Och, kochanie, nieważne ile, ważne z kim, a o tym mi nawet nie przypominaj, bo... – Weronika zniżyła głos do szeptu – zostałam wykluczona z naszego grona, ale ja oczywiście nie miałam nic do gadania.

Tak, na pewno. Znając życie i układy firmowe, to właśnie Weronika grała pierwsze skrzypce. Matylda nalała świeżo zaparzonej kawy do kubka i dodała śmietanki. Po czym wciągnęła z zadowoleniem znajomy zapach.

– A dlaczego zostałam wykluczona? – zapytała, powoli łykając płyn. – Dlatego, że nie podobały mi się dziewczęce wygibasy grupy nagich facetów?

– No wiesz?! Wykonywali klasyczny numer, który normalne kobiety podnosi z siodeł.

– Mnie też podniosło – sprostowała Matylda, na co rozmówczyni tylko zamachała niecierpliwie rękami.

– Ty wiesz, o jakim podnoszeniu ja mówię. A dziewczyny... dziewczyny po prostu...

– Oj, nie katuj się, moja droga – do kuchni i do dyskusji weszła, cedząc po swojemu głoski, Zuzanna. Stała naprzeciwko Matyldy i wbiła w nią spojrzenie swoich czarnych oczu.

– Dziewczyny doszły do wniosku, że coś z tobą nie w porządku, że może powinnaś się wybrać na takie występy, ale w wykonaniu kobiet. To wszystko. Czy zadzwoniłaś do Luisa? Nie. Twoja podświadomość cię od tego odpycha. Twoja podświadomość ci szkodzi. To też ma swoje znaczenie, moja droga. Tyle ci mówiłyśmy o harmonii z samą sobą, z otoczeniem. Zamiast przyjąć wreszcie pomocną dłoń, ty ją... Chryste, Matylda!

– Obrzygujesz – dokończyła za nią Weronika. Albowiem świeżo wypita kawa nie zamierzała zbyt długo pozostać w jednym miejscu, żołądek doszedł do wniosku, że nie ma ochoty gościć tam niczego prócz wody i wyrzucił zawartość prościutko na elegancką garsonkę Zuzanny.

* * *

Pożegnali się z Pawłem telefonicznie. Opowiedziała mu o katastrofalnych skutkach picia kawy i o tym, jak sam dyrektor interweniował i właściwie wyrzucał ją własnoręcznie za drzwi, trzymając się cały czas w odpowiedniej odległości. Przez dwa dni ma się nie pokazywać w biurze.

– Odpoczniesz sobie przynajmniej – podsumował Paweł.

– Obiecay mi jedno, jeżeli ci się nie poprawi, jutro idź do lekarza.

Ja jutro rano już wyjeżdżam, dzisiaj kupa spraw do załatwienia, w sobotę będę. Wytrzymasz, słońce?

– Wytrzymam, nie mam wyjścia. Wezmę sobie tylko kogoś do pomocy, żeby pot mi ścierał z czoła, przytulał, herbatę podawał...

– Matuniu droga, nie chcesz przecież, żebym jechał tam cały w nerwach, że zostajesz w objęciach jakiegoś pakera – nieopatrznie podczas drogi powrotnej z domu opowiedziała mu o Patryku i cudownej metamorfozie, jakiej uległ na przestrzeni lat.

– Nie jakiegoś, nie jakiegoś. Poza tym ja nie mówiłam o Patryku. On ma swoje centrum ogrodnicze i poza roślinkami niczego nie widzi. Mama mi mówiła, że dostarczał do jej skalniaków wszystkie kwiatki. Nawet pomagał dosadzać... Swoją drogą nie wyobrażam sobie w jego łapach drobniutkich bratków albo petunii, przecież to takie delikatne, nie...?

– Niieeee – zawarczało z drugiej strony.

– Pawełku, ty się denerwujesz?

– Skąd, nie interesuje mnie po prostu, czym zajmuje się twój były, no i byłbym wdzięczny, gdybyś się nim tak nie zachwycała. Muszę kończyć, zadzwonię już stamtąd. Kocham.

Pik. Koniec rozmowy. Matylda westchnęła ciężko, odłożyła telefon i... stwierdziła, że nie wie, co ma robić. Rozejrzała się po pokoju. Wszystko było na swoim miejscu, odkurzone, czyściutkie, idealne. Może tylko zdjęcie Marylin krzywo wisi. Podeszła, poprawiła, z powrotem usiadła na kanapie. Zabębniła palcami o kolana, po czym wzięła do ręki pilota, przejechała paznokciem po cyferkach i odłożyła go na stolik.

Och, człowiek czynu musi sobie znaleźć jakieś twórcze zajęcie. Gorzej jeśli człowiekowi nagle się wszystkiego odechciewa. Lustrujące pokój spojrzenie na chwilę zawisło na torebce. Tak, nareszcie jest czas na zajęcie się drobiazgami wielce utrudniającymi życie.

Już jakiś czas temu Matylda sprawiła sobie małą, zgrabną torebkę, z tysiącem kieszonek i przegródek, tak, żeby właściwie każda rzecz miała swoje miejsce. Tymczasem torebki kobiece mają to do siebie, że jak małe by były i ile by miały przegródek i tak wszystko będzie w nich ginąć. Na czas jakiś. A później, w najmniej stosownym momencie, będzie się odnajdywać. Ile razy stali z Pawłem pod mieszkaniem, bo klucze nie chciały się znaleźć? Ile razy prawie cała zawartość torebki lądowała na wycieraczkę? Niezliczoną ilość.

Tak. Teraz jest dobry czas, żeby się tym zająć.

Postawiła sobie torebkę na kolanach i nagle znów się pojawił ten zapach. Zapach cytrusów. Machnęła ręką, przekonana że jednak w pracy ktoś się musiał obżerać, i wysypała wszystko na kanapę. O, proszę, Pawłowi chyba już niepotrzebny... pendrive wylądował na stoliku jako rzecz sklasyfikowana do tych mniej użytecznych, a tu... bilety z wampirowego

tańca, też można odłożyć albo i nawet wyrzucić, wizytówkę do tego przereklamowanego Luisa też, niech nie zawała miejsca. Guzik jakiś, won. Oooo, uszczelka, skąd ona tu właściwie? Za nic nie przyzna się Pawłowi, że znalazła ją w swojej torebce. Szału by dostał, swego czasu szukał tego drobiazgu godzinami. Też won. Kalendarzyk. Po co jej właściwie kalendarz? Wszystko i tak zapisuje sobie w telefonie. Łatwiejszy dostęp, a jak coś ważniejszego, to zapiszczy o ustalonej godzinie. No tak, ale w kalendarzu od wiek wieków notowała swoje cykle niewieście. Jakoś tak wygodniej przelecieć długopisem po cyferkach.

Automatycznie zerknęła na datę z zakreślonym kółeczkiem. Data z kółkiem znaczyła *ma być*, data zamazany znaczy *był*. Wyprostowała się nagle.

Chwilunia. Którego dzisiaj mamy? Rzuciła się do telefonu. Po chwili pobiegła jeszcze sprawdzić na kalendarzu ściennym.

Nieemożliwe.

Oba wskazywały drugi lipca, a to cholerne kółeczko widniało przy dacie z ubiegłego miesiąca.

Musiała coś przeoczyć.

Zapomniała zapisać. Na pewno.

Po czym wrzucając wszystko z powrotem jak popadnie, oznajmiła pani Marylin:

– Idę po pomarańcze. Do sklepu osiedlowego, żeby było szybciej.

W sklepie zdecydowała się dodatkowo na lody waniliowo – pistacjowe. Litr. Śledzia w śmietanie, z koperkiem. Wiaderko. Czekoladę z nadzieniem kokosowym. Dlaczego nie ma waniliowego nadzienia? Bo producent nie przewidział zapotrzebowania. To niedobrze, baaardzo niedobrze. Plus dwa litry soku pomidorowego. Przy czym z satysfakcją

stwierdziła, że jest głodna. I chce to wszystko pożreć. A żołądek nie ma nic do gadania, musi przyswoić.

W drodze powrotnej przypomniła sobie, że skończyły jej się witaminy, więc wstąpiła do apteki. A tam zupełnie przypadkowo zgarnęła jeszcze z półki test ciążowy.

– No i co tak patrzysz? Ty też się objadałaś, a i tak udało ci się przejść do historii jako seksbomba wszechczasów – mruknęła do zalotnie spoglądającej z plakatu Marylin i zaczęła wykladać wiktuały na stół. – Po pierwsze, nie idę jutro do pracy, więc mogę się obezreć do granic możliwości żołądka. Po drugie, jest puściuteńki jak wydmuszka, bęben, czy głowa Weroniki. Brzydko tak o niej mówić? Może i masz rację, ale chwilami doprowadza mnie do szewskiej pasji. Lody do lodówki na razie. Najpierw pomarańcze. Co to? Pytasz co to? – Matylda zaczęła obracać w dłoniach kartonik z testem ciążowym. – Właściwie nie wiem, jak się znalazło w moich zakupach. Pewnie promocja. Do witamin. Ale skoro już tu jest, jutro sprawdzimy. Precz do łazienki. Bo inaczej zapomnę.

Rozpakowała zakupy i podśpiewując pod nosem, nie masz nic nad przyjaźń z własnymi organami, stwierdziła beztróska.

– Rzuciło mi się coś na mózg. Gadam z plakatem.

W poczcie czekała ją miła niespodzianka. Mail od Magdy.

„No czołem, sąsiadko, odchorowałaś imprezę? Bo ja całą niedzielę przeleżałam u mamy, lecząc się tłustym rosołem. Po południu pojawił się mąż z potworami i zażądał mego zwrotu. Więc zwróciłam:)

Uhh, lepiej nie wspominać. Chociaż z drugiej strony warto było. A tak zupełnie przy okazji, bądź łaskawa mi powiedzieć, dlaczego puściłaś w trąbę Patryka?! Przecież takie ciacho z niego urosło, jakby na najlepszych drożdżach był pędzony... Dobra, kończę, bo młode włożą mi na głowę i

dopominają się przywilejów. Znaczą: mama, przeczytaj bajkę, zrób ducha (nie pytaj, jak się robi ducha), narysuj Kopciuszka (czy ty sobie wyobrażasz, jak wygląda w moim beztalenty wykonaniu Kopciuszek, figurujący w naszej rodzinie jako – uważaj bo fonetycznie będzie,

– Sindyrella?) i tym podobne rzeczy. Masz zdjęć parę, pośmiej się jako i ja się uśmiełam.

Buziak. No i stuknij coś czasem.

z

:))))))))”

„To mało powiedziane, uśmiełam się do łez. Madziul, masz talent... a powiedz mi, to chyba nie są wszystkie zdjęcia, co? Można by tak płytke jakąś gdzieś dostać? Przybędę niezwłocznie, tylko sygnał daj, kiedy będziesz miała, ok?

Co do samopoczucia, proszę nic nie mów, dzisiaj jeszcze dochodzę do siebie, powolutku, powolutku, po licznych przejściach i jeszcze bardziej licznych nieprzyjemnościach. Takich jak na przykład obhaftowanie koleżanki z pracy, stojącej ciut wyżej w hierarchii firmy. Czy raczej jej nowiuteńkiej garsonki... ech, szkoda słów. W każdym razie dzisiaj i jutro jeszcze dali mi wolne. Wręcz za drzwi wypchnęli... ciekawe dlaczego.

Czekam na info

Buziaki umęczone. ”

Ech, cudnie jest.

Przeciągnęła się, wyłączyła laptopa i niespiesznym krokiem ruszyła do stojaka z płytami. Wszystkie pokryły się kurzem, nie w sensie dosłownym, bo Matylda pilnowała, żeby w domu była minimalna ilość roztoczy. Pokryły się kurzem niepamięci. Ile czasu upłynęło, kiedy włączała sobie, ot tak, dla przyjemności jakąś płytke? Zbyt dużo. Wyszukanie muzyki korespondującej

w danej chwili z nastrojem, zastanowienie się nad wyborem, wyciągnięcie ze stojaka, wyjęcie, włożenie do szuflady wieży. O, a przedtem jeszcze wyjęcie poprzedniej, znalezienie odpowiedniego do niej opakowania i odłożenie na miejsce.

Nie, to zajmowało zdecydowanie za dużo czasu. A czasu przecież Matylda nigdy nie miała. Był zbyt cenny, żeby marnować go na takie drobiazgi. O wiele mniej zajmowało wciśnięcie jednego guzika i włączenie radia. Jedna piosenka pasuje, druga niekoniecznie, ale czas, czas przynajmniej nie upływa jej bezproduktywnie.

Wzruszyła ramionami, zjadła kolejną cząstkę pomarańczy i mimowolnie wytarła dłonie o spodnie, zupełnie nie uświadamiając sobie, że robi to w identyczny sposób jak pani Zofia.

Najpierw wewnątrz dłoni, dwa razy, z góry na dół, następnie dłonie od zewnątrz, z przodu do tyłu. Również obowiązkowe dwa.

Przejechała palcem po plastikowych grzbietach, a na wspomnienie sentymentalnych lat szczenięcych wybór padł na The Singles 81 – 85, no i obowiązkowe *Somebody*.

Jest cudnie. Bez dwóch zdań. Z lodówki wydobyła śledzie i sok pomidorowy, po czym skrupulatnie ułożyła sobie na talerzu tuzin koperkowych kawałków, dołożyła do tego sucharki z sezamem. Po chwili odłożyła jednak sucharki z powrotem na miejsce, krzywiąc się nieznacznie. Nie dzisiaj. Już lepiej w ogóle bez pieczywa, o ile te tekturki da się w ogóle ochrzcić mianem pieczywa. Nalała soku pomidorowego do wysokiej szklanki i zapadła się w fotelu.

To nawet dobrze, że ma chwilę oddechu. Żołądek przestał wywracać się na lewą stronę, skoro pomarańcza nie zaszkodziła, śledzie też raczej biedy nie narobią. Ma czas, żeby przemyśleć wyjazd Pawła.

Dobrze, że pojechał. Sprawdzą swoje uczucia. Ciekawe, jak się sprawa będzie przedstawiać po upływie tego roku. Hm, niewykluczone, że Paweł pojawi się z jakąś przystojną Niemką u boku, a ją... Matyldę, będzie obejmował równie czule... dajmy na to Patryk.

Prychnęła głośno do swoich wizji prosto w śmietanowo – koperkowy sos. Fuj, w nosie zdecydowanie nie powinien lądować.

No, w każdym razie, dobrze. Ona będzie miała czas, żeby się oswoić z nowym stanowiskiem, jeżeli oczywiście przypadnie jej w udziale. Skrzyżowała palce na samą myśl o tym, że mogłoby się coś nie udać. Zgiń, przepadnij! – jak mawia mama miś. A właśnie, powinna zadzwonić do domu, bo oni tam się pewnie martwią.

O, no i kolejna sprawa, przez ten rok jakoś oswoi tę swoją szaloną siostrunię. Oswoi przede wszystkim z miastem, ludźmi, no i w ogóle. Tak, żeby po powrocie Pawła mogła ze spokojnym sumieniem powiedzieć jej *do widzenia, zakładam rodzinę kochana siostró, radź sobie sama, nie zapuść mieszkania itp.*

Upiła odrobinę soku pomidorowego. Posmakowała i stwierdziła po raz kolejny, że wszystko jest w porządku. Mogłaby iść już jutro do pracy. Do pracy... właśnie. Coś się z Weroniką dziwnego działo od tej rozbieranej imprezy. Zmieniła się nieznacznie, fakt, ale wyczuwalnie. Rozmowy z Matyldą miały charakter służbowo – pouczająco – sondujący. Matylda wzruszyła ramionami, no tak, przyjaciółka najwyraźniej zawsze stawała po bezpiecznej stronie. Po stronie większości.

Przeciągnęła się znowu i tym razem ruszyła do półki z książkami.

Kazali odpoczywać? Więc będzie odpoczywać. Na całego.

Po prostu cudnie.

To niemożliwe.

To niemożliwe!

Ten obrzydliwy kawałek plastiku musi kłamać! Musi, nie ma innego wyjścia.

Matylda wpatrywała się w okienko testu ciążowego od paru minut i czekała aż druga, niebieska linia, zniknie. Wyparuje, wymaże się, cokolwiek, byle zniknąć z pola jej widzenia. Zamknęła oczy parę razy, mocno zaciskając zarazem powieki i pięści. Nic z tego. Dalej jest.

Zdecydowanym ruchem zgarnęła białe pudełeczko z szafki i pobiegła z nim do kosza. Nie, to jeszcze o niczym nie świadczy. Zabezpieczają się przecież. I to jak. Nie, to niemożliwe. Jutro zrobi następny, powiedziała sobie, następnie klasycznie zzieleniała na twarzy i wróciła pędem do łazienki, żeby ulżyć biednemu żołądkowi.

Gdyby spojrzała na siebie obiektywnie, odechciałoby jej się żyć, a na pewno patrzeć w lustro. Na szczęście Matylda nie widziała głębokich sińców pod oczami, widziała tylko nieco zmęczone spojrzenie. Nie widziała tego, że kości rysują jej się wyraźnie na ramionach, klatce piersiowej, biodrach. Subiektywne oko postrzegało siebie samą w kategorii umiarkowanie szczupłej kobiety, nieco umęczonej ostatnio przebytą niestrawnością.

Niestrawnością. Niczym innym.

Wmówiła sobie, że dwa, trzy dni i wszystko wróci do normy. Najprawdopodobniej wystarczy się tylko wyspać. A że wolnego ma już coraz mniej, więc szybko trzeba korzystać.

Ze snu wyrwał ją dzwonek domofonu. W nocy? W środku nocy? Zwlokła się jednak z łóżka i zdążyła jeszcze zarejestrować, że na zewnątrz świeci słońce, a i ludzi jakoś tak dużo na ulicy. Więc chyba jednak nie noc.

– Musiałam wpaść, żeby zobaczyć, co u ciebie – Weronika faktycznie

wpadła, rozglądając się swoim zwyczajem po wszystkich kątach.

– Powoli dochodzę do siebie, wiesz, woda, herbata litrami i jeszcze chwila, a poczuję się jak nowo narodzona.

– Hm, ośmielę się wątpić – zacmokała z dezaprobatą przybyła. – Wyglądasz raczej mało reprezentacyjnie. Mizernie.

– Oj, nie czepiaj się, spałam, nie mam na sobie ani deka makijażu, nie dziw się. Napijesz się czegoś? – Matylda ruszyła do kuchni, poprawiając koszulkę.

– Tak, kawy mi zrób, tylko ty nie pij – Weronika podniosła ostrzegawczo palec do góry – a jak już wypijesz, to z dala ode mnie, ok? Najpierw do łazienki, uch, szybko. A później ci opowiem, co nawyprawiałaś w firmie i jak się biedna Zuzka pozbierać nie może. Aaaaaa! – wrzasnęła przeraźliwie Weronika.

Matylda rzuciła się do łazienki, łapiąc po drodze nóż. Trochę bezmyślnie, ale najprawdopodobniej jakiś gryzoń się załagał znowu. Kiedyś już ganił z Pawłem biedną, małą myszkę, która zjawiała się na matyldowym trzecim piętrze nie wiadomo skąd. Zastanawiali się wtedy, czy to możliwe, żeby mysz wdrapała się po ścianie... Nie gryzoń jednak tak przeraził koleżankę. Stała, jedną ręką trzymając się za serce, a w drugiej ściskając opakowanie po... teście ciążowym.

Matylda w jednej chwili wyzwalała się od najgłupszych, najbardziej niechlujnych i leniwych idiotek, jakie ziemia kiedykolwiek miała wątpliwy zaszczyt na sobie nosić. Przecież wiadomość rozniesie się teraz lotem błyskawicy, nie tylko po firmie, ale i po całym wszechświecie. Zabiję ją, przeleciało jej przez głowę adekwatnie do trzymanego w ręku narzędzia. Uch, machnęła dłonią, tą bez noża, odpędzając głupawe myśli.

– Cccco to? – wydukała wreszcie Weronika.

– Croissant – odpaliła Matyllda, niewiele się zastanawiając.

– Opakowanie, nie widzisz? To ja w tym towarzystwie cierpię na krótkowzroczność.

– Pytam, co to tu robi?

– Leży – przez jedną króciutką chwilę Matyllda miała ogromną ochotę spreparować bajeczkę o znajomej, która właśnie u niej chciała sprawdzić, czy czasami nie zanoszą się na powiększenie rodziny.

Ale z mety ten pomysł odrzuciła. Weronika może i mało rozumu miała, ale wszelkie podstępny była w stanie wyczuć na kilometr. Taki zdaje się zmysł dodatkowy, rekompensujący brak szarych komórek.

– No, co mi się tak przyglądasz, przecież musiałam sprawdzić, czy nie jestem w ciąży. Lekarz zalecił – skłamała jednak.

– Jaki lekarz?

– A ty myślisz, że siedziałabym w domu, rzygając jak kot przez trzy dni? Odwodniłabym się, wiesz? Dawaj to, wyrzucę.

Ręka na Weronicy piersi jakby nieco opadła.

– To znaczy, że to tylko tak? Kontrolnie? – dopytywała się, wpatrując w Matylldę badawczo, czego ta już nie zdzierżyła, więc ruszyła do kuchni, kontynuując jednak bajkę.

– A jak myślisz, jaka jest pierwsza rzecz, o jaką pyta doktor, kiedy mówisz mu o codziennych mdłościach, co?

– O to, czy nie jesteś w ciąży?

– No właśnie. Kazał sprawdzić, więc sprawdziłam, a ty na drugi raz tak nie wrzeszcz, bo o zawał kogoś możesz przyprawić.

Kawa już jest, siadaj, pokażę ci parę zdjęć z imprezy.

– To znaczy, że nie jesteś w ciąży?

– Nie, kochanie, nie jestem i dajmy już temu spokój – faktycznie nie

było się nad czym rozwodzić, bo Matylda wiedziała, że cokolwiek by zostało powiedziane, na twarzy Weroniki malować się będzie jedno.

Niedowierzenie. Przez duże N.

Na chwilę w jej oczach zabłysło żywe zainteresowanie na – cholera, kolejny temat do plotek. – Na widok postaci Patryka na zdjęciach. Zwłaszcza Patryka obejmującego szczerze Matyldę, ale rozmowa szybko się urwała.

– To ja już lecę. Jutro się widzimy. Pa! – zaćwierkała podejrzenie radośnie Weronika i wypadła jak oparzona na korytarz.

– Nie opowiedziałas mi, co się dzieje w pracy – rzuciła Matylda do zatrzaśniętych drzwi wejściowych. Zerknęła na plakat: – widzisz, poszła w diabły. A jutro, z samego rana... chociaż nie wiadomo, może już teraz złapała za telefon... zaczną huczeć ploty. Na mój temat, w razie wątpliwości. Dobranoc, miła moja.

Marilyn nic nie odrzekła, ale jej uśmiech znad baletowej sukienki stał się jakby bardziej tajemniczy.

Rano obudziła się rześka i wypoczęta, wbrew wszelkim podejrzeniom, że jednak będzie zupełnie inaczej. Włączyła radio, popląsała chwilę radośnie po pokoju, przecież wszystkie zmary odeszły precz, czyż nie? Chwilowa niedyspozycja, ot co. A że chwila przeciągnęła się trochę dłużej... To nic takiego.

Matylda nie chciała w kwestii ewentualnej ciąży dopuszczać do głosu rozsądku, który przecież dyktował jej całe życie, jak postępować. Dla postronnego obserwatora jeden plus jeden dawało nieodmiennie dwa, miała mdłości, test wyszedł pozytywnie, więc najwyższy czas, żeby potwierdzić wynik u kompetentnej osoby. Zrobić USG, przebadać się gruntownie i przyjąć wszystko do wiadomości.

Ona przyjąć nie chciała.

Z wiadomych względów zresztą. Paweł wyjechał i raczej wątpliwe, żeby zechciał rzucić kontrakt z powodu zaciężonej kobiety. Nie związanej z nim notabene żadnym poważniejszym słowem. Awans odpłynie w siną dal, jeżeli w ogóle zatrzymaliby ją w pracy, mogłaby mówić o dużym farcie. Nie, Matyllda nie mogła w ogóle dopuszczać do siebie myśli o ciąży.

Z wyjątkową dokładnością nałożyła makijaż, z zadowoleniem stwierdziła, że cienie pod oczami w magiczny sposób zniknęły, a ona upodobniła się na powrót do profesjonalnie i schludnie wyglądającej pracownicy jednego z największych kolosów biznesowych w tym mieście.

– Jak samopoczucie dzisiaj? – Weronika zwróciła się bezpośrednio do brzucha Matylldy.

– Hola, zerknij ciut wyżej, będziesz miała wtedy okazję przekonać się na własne oczy.

– Aaaa, tak, dzisiaj rozmowy kwalifikacyjne, mówiłam ci? Około dziesiątej przychodzi pierwszy zainteresowany.

– Wiem, kochanie – Matyllda ukłoniła się pani Danusi, po czym z charakterystyczną dla siebie energią wparowała do pokoju.

– Ty też idziesz, prawda? – koleżanka w dalszym ciągu deptała jej po piętach.

– Idę, idę. Wiesz, moja droga, mam tu trochę zaległości, więc...

– No cóż, powodzenia, będę trzymać kciuki.

Zaległości jednak nie było. Dziwne.

Zawsze pocztę miała zawaloną, jej biurko pokrywała sterta karteluszków, a dzisiaj nic. Matyllda złożyła to na karb dwudniowej nieobecności, wzruszyła więc ramionami i udała się do kuchni.

Tam jednak nie dotarła, bo znów jej nozdrza wypełnił cytrusowy

zapach, a żołądek wykonał dobrze już znajomego fikołka.

Oparła się obiema roztrzęsionymi dłońmi o zimne kafelki glazury, pochyliła głowę do przodu i patrzyła na dwie kropelki spadające jedna po drugiej, systematycznie jak w niedokręconym kranie, na podłogę. Nie obchodziło jej w tej chwili, czy ktokolwiek wejdzie, nie interesowało jej, że ktoś może ją zobaczyć. Zobaczyć, jak pani twarda i niezłomna płacze.

Jakoś jej na tym nie zależało.

Zawsze natomiast zależało jej na posiadaniu pełnej kontroli, wręcz władzy, nad swoim ciałem. Tymczasem ono ostatnio wydawało się mieć wszelką kontrolę w głębokim poważaniu. Żyło własnym życiem. A to już oczywiście Matyldę, jako osobę potrafiącą mieć przecież wszystko pod kontrolą, przerastało. Łzy też potoczyły się zupełnie bez udziału jej wiedzy, no i woli. Oczywiście.

Rozsądek rozwrzeszczał się na dobre. Jesteś w ciąży, najprawdopodobniej, idź do lekarza! Dzisiaj najlepiej, bo inaczej oszalejesz.

Jesteś w ciąży. Na te słowa oczy wyprodukowały kolejną dawkę kropel.

Wreszcie z furkotem wydmuchała nos. Delikatnie przetarła oczy, żeby nie zetrzeć tego, co podobno nieścieralne i powiedziała do siebie:

– Najprawdopodobniej. Nie na pewno, ale najprawdopodobniej. Masz rację, umówię się dzisiaj. Zaraz. Bo faktycznie, jeszcze rozum gotów mi odmówić posłuszeństwa.

Z kuchni dobiegły ją podniesione głosy koleżanek, już, już miała przejść cichcem obok, gdy usłyszała w głośnej rozmowie swoje imię. Zwolniła kroku.

– To dlatego mnie w ten... w ten sposób potraktowała – za – syczała Zuza. Z wyraźnym obrzydzeniem.

– Wiecie, ona się zapiera, ale ja tam wiem swoje. Moja siostra niedawno rodziła jedno ze swoich czworga, czworga wyobrażacie sobie! – podkreśliła Weronika ze zgrozą – dzieci. Ja wiem, jak wygląda, jak się zachowuje kobieta w ciąży. Tylko co teraz z pracą, z jej awansem. Przecież ktoś musi powiedzieć, bo to straszne straty będą dla firmy.

– Dokładnie. Jak ją zatrudnią, to zaraz zaczną się zwolnienia, problemy zdrowotne, później urlop wychowawczy, czy na co tam idzie się po urodzeniu dziecka – tego głosu Matylda nie rozpoznała, pewnie ta nowa dziewczyna z kadr, jak jej tam było? Zresztą nieważne.

– Idzie się na macierzyński, na wychowawczy to później – poinstruowała Zuzanna – a do tego jeszcze jej niewykorzystany urlop, wiecie, ile tego się nabiera? To tak, jakby trzeba było zatrudnić dwie osoby na jedno stanowisko. I to za jakie pieniądze? Powiedzcie, moje drogie, czy kobieta w ciąży to przyszłościowy pracownik?

Odpowiedziały jej zgodne i pewne pomruki.

– Nie ma się co oszukiwać, powinna sama odejść. Z podniesionym czołem, a jeżeli nie odejdzie, bo z Matyldą to nigdy nic nie wiadomo, to trzeba jakoś górę poinformować.

– Ty, Zuza, ty przecież dzisiaj siedzisz w tej komisji rekrutacyjnej – coś plasnęło dźwięcznie i Matylda dałaby sobie rękę uciąć, że to wymanikiurowana dłoń Weroniki w bezpośrednim zderzeniu z jej, jakże inteligentnym, czołem. – No przecież możesz pokierować odpowiednio rozmowę.

– Mogę. Faktycznie, Nika, to dobry pomysł.

– Ha, pewnie! Myślisz, że dlaczego tu pracuję? Podpytasz o to, o co trzeba, a później z dyrekcją omówicie kwestię dziwnego zachowania nowej dyrektor administracyjnej. Bo reakcja będzie, ja się na ludziach znam.

Zasugerujesz co trzeba, a sama wiesz, że będzie wolał dmuchać na zimne.

– Z pewnością. Bardzo dobry pomysł.

– A nie przesadzacie trochę? – obcy głos próbował zastopować chociaż odrobinę ich zapędy. – Pogadajcie najpierw z Matyldą, nie sądzę, żeby pchała się gdziekolwiek, gdyby to przekraczało jej możliwości.

– Nie ma z kim gadać – Weronika zdusiła jakiekolwiek obawy w zarodku – zresztą, pytałam ją, zapierała się rękami i nogami...

– Ale... wiecie, to chyba świństwo na dużą skalę, co?

– Nauczysz się jeszcze, jak ty kogoś nie pożresz, to ciebie pożrą, poza tym to może mieć konsekwencje dla nas wszystkich. Aha, Zuza, daj jakoś do zrozumienia dyrekcji, że to właściwie ja wybadałam sprawę.

W tym momencie Matylda poczuła, jakby ktoś jej wsadzał dość tępy, ale długi nożyk w plecy. Mimo poczucia oszołomienia zdążyła dostrzec, że oprócz niej jeszcze jedna postać przysłuchuje się rozmowie jej przyjaciółek od siedmiu boleści. Okazało się, że to sam główny opuścił szczyty władzy, żeby sprawdzić, jak szare mróweczki oddają się pracy. Obrzucił ją spojrzeniem, mruknął „witam” albo jakoś tak i ulotnił się z prędkością gazu.

– Nareszcie jakaś znajoma twarz. Rekrutacja wewnętrzna ma swoje plusy, nieprawdaż? – najwyższy uśmiechnął się, gdy zasiadła naprzeciwko komisji w niewygodnym krześle. Być może było to odczucie subiektywne, a niewygodą brała się stąd, że Matylda siedziała na nim jak na rozżarzonych węglach. Co wie, co słyszał, czy Zuza poruszy wiadomą kwestię – tylko to kotłowało się w jej głowie. Uśmiechnęła się jednak półgębkiem w odpowiedzi, a szef rozpoczął indagację.

– Właściwie nie wiem, o co miałbym cię zapytać, twoje zasługi na rzecz firmy są wszystkim znane... długo by je wyliczać. Zapoznaliśmy się także z dokumentacją świadcząca o podnoszeniu kwalifikacji zawodowych.

Najbardziej mnie jednak ciekawi, jakie masz plany na przyszłość... jeśli chodzi o to stanowisko, a mianowicie, jakie działania będziesz podejmować w celu zwiększenia innowacyjności działu administracyjnego?

Matylda odetchnęła głęboko, po czym zaczęła rozwijać przed nim swoje wizje. Siedział, złożony rękę pod brodą i pomrukiwał co chwila aprobująco. Wreszcie, po wysłuchaniu całej litanii, podsumował.

– Świetnie. Wydaje mi się, że masz rację co do niektórych kwestii. A jeszcze jedno pytanie, rozumiesz, muszę wiedzieć, na ile przyszłościowy jest pracownik, którego awansuję. Powiedz mi, jakie są twoje plany prywatne – podkreślił ostatnie słowo, wpatrując się intensywnie w Matyldę. Jego wzrok przesunął się również dyskretnie po Zuzannie, a ta z miną niewiniątka złożyła usta w ciup i z niezmiernym zainteresowaniem zaczęła studiować sufit.

– Hm, na razie nie są zbyt skryzalizowane, ponieważ ewentualny kandydat do mojej przyszłości wyjechał na roczny kontrakt – zauważyła, że brwi podjechały mu wysoko. – Tak więc w chwili obecnej oddaję się całkowicie pracy. Bez reszty, rzec można.

– Bez reszty. Taaaak, rozumiem. W takim razie, to by było na tyle, czy państwo mają jeszcze jakieś pytania? Nie? – dyrektor zgarnął jej dokumenty, przeglądając je pobieżnie – więc dziękujemy ci, moja droga.

* * *

W poczekalni krzeselka zajmował spory tłumek kobiet, przejawiający wyraźne uwielbienie dla doktora Misiuczyńskiego. Kobieta w rejestracji powiadomiła Matyldę o wielkim szczęściu, jakie przypadło jej w udziale, akurat jedna pacjentka wypadła, więc może skorzystać z porady lekarskiej cenionego specjalisty. Bo zawsze na wizyty to przynajmniej z dwutygodniowym wyprzedzeniem, to tak na przyszłość, żeby pamiętać.

Mam nadzieję, że ta informacja ni cholery mi się nie przyda,

przynajmniej w najbliższej przyszłości – gotowa była odburknąć miłej pani.

Poza tym wcale nie czuła się szczęśliwa. Czuła się kompletnie nie na miejscu. Nie pasowała do tłumu roztrajkotanych kobiet, radosnych, szczęśliwych no i najwyraźniej skupionych jedynie na swoich brzuchach. No, może jeszcze na zasługach pana doktora i niezliczonych przypadkach, kiedy to okazał niesamowitą wprost intuicję; na tym, ile dzieci uratował i iluż to kobietom pomógł przetrwać ciężki okres ciąży. Cud człowiek. Nic dodać, nic ująć.

Nie chciała tu być, nie chciała wchodzić do gabinetu, prawdę powiedziawszy, najchętniej by stamtąd uciekła jak najdalej. Tymczasem uchylły się drzwi i tubalny głos wielbionego doktora ryknął – Proszę! Matyllda rozejrzała się w popłochu, to zdaje się jej kolej, ale gotowa była komuś odstąpić swoją wizytę.

– Szybciotko, szybciotko, nie będziemy tu czekać cały dzień, aż się pani namyśli! Teraz chyba pani kolej? – pogoniła ją wielgachna kobieta.

– Taaak, moja – Matyllda wstała z ociąganiem, wciąż nie – przekonana do wizyty, baba jednak popchnęła ją zdecydowanie w kierunku uchylonych drzwi gabinetu.

Doktor okazał się dobiegającym najwyżej czterdziestki, postawnym i przystojnym mężczyzną. Najpierw roztopił ją głębokim spojrzeniem intensywnie niebieskich oczu, później rozwiął jej wątpliwości szerokim, przyjaznym uśmiechem.

Dobrze, że przyszła akurat tutaj. Z każdego zdania doktora bił profesjonalizm i pełne zainteresowanie pacjentką. Przebrnął gładko przez formalności związane z uzupełnianiem karty, wypytał o ogólne samopoczucie, po czym wskazał fotel, na który Matyllda wysterowała już nieco spokojniejsza.

Wpatrywała się w mały ekranik, usiłując cokolwiek zrozumieć z szaro – białej masy przesuwającej w tę i z powrotem. Lekarz tymczasem mrucał coś niezrozumiale, wreszcie zrobił wydruk, polecił jej się ubrać i powiadomił ze szczęśliwym wyrazem twarzy:

– Moje gratulacje, będzie pani mamą!

– Taak? – Boże spraw, żeby jeszcze raz spojrzeć na to cholerne USG i powiedział, że się jednak myli, zacisnęła pięści, wpatrując się z natężeniem w zadowolone oblicze siedzącego naprzeciwko mężczyzny.

– Tak, tak – wziął karteluszki z wydrukiem – tutaj, proszę spojrzeć, jest pani maleństwo, widzi pani?

– Tak, widzę – szepnęła, czując, że oczy zaczynają jej się robić podejrzenie wilgotne.

– Wiem, wzruszenie, poza tym hormony zaczynają dochodzić do głosu, więc teraz trochę częściej niż zazwyczaj będzie pani ronić łzy. Śmiać się też, proszę się nie przejmować. Czy... proszę zrozumieć, mając na względzie dobro dziecka, jak również pani, muszę zapytać...

– Tak...? – skinęła słabo głową.

– Czy to jest odpowiedni czas na macierzyństwo w pani przypadku? Czy planowała pani teraz powiększenie rodziny?

– No właśnie raczej nie – palnęła bez zastanowienia, wbijając się w krzeselko – to znaczy, biologicznie to pewnie najlepszy moment, ale zupełnie nie jestem do tego przygotowana.

– Proszę mi wierzyć, cała masa kobiet nie jest. Wszystko przyjdzie z czasem, proszę się nie denerwować.

– Panie doktorze, ile... kiedy?

– Płód w tej chwili kwalifikuje się na mniej więcej czwarty tydzień, termin porodu można już wstępnie ustalić na... – przełożył w rękach jakieś

kolorowe kółeczko – na początek marca. Z kalendarzyka wychodzi tak, mniej więcej na ósmego, o widzi pani, akurat na Dzień Kobiet – ucieszył się – ale oczywiście możliwe są wahnięcia zarówno w jedną, jak i w drugą stronę. Tutaj ma pani skierowania na badania, trzeba zrobić morfologię, glukozę. Tutaj wszystko pani zapiszę. To dla pani kalendarzyk, tu karta ciąży...

Zasyłał ją informacjami i gdy wyszła z gabinetu, nie widziała niczego, czuła tylko, że nogi ma jak z drewna, patrzyła na półksiężycy paznokci odbite na dłoniach. I tylko dlatego nie zauważyła stojącej w drzwiach kliniki Weroniki, tym samym umknęło jej uwadze triumfujące spojrzenie, jakim ta obrzuciła plik trzymany w ręku Matyldy papierów.

Weronika zadała sobie dużo trudu, żeby potwierdzić podejrzenia. Najpierw sterczała przy drzwiach w nieskończoność, aż wreszcie usłyszała termin wizyty i miejsce. Po wyjściu z pracy odczekała chwilę, wypła jeszcze całkiem spokojnie ostatnią kawę i ruszyła za Matyldą. Oplacało się. Teraz nikt jej nie zarzuci, że rozsiewa plotki. Ona głosi prawdę. Poza tym ma przecucie jak żadna z kobiet. I tyle. Już miała przejść bokiem i ulotnić się niezauważona, ale wrodzona ciekawość jej nie pozwoliła.

– Matylda! – na widok zrezygnowanego wyrazu twarzy koleżanki zdjęła ją litość, podeszła więc i objęła ją mocno. Ta jednak wyślizgnęła się z jej uścisku.

– Co ty tu robisz? – spytała lodowato.

– Ja... ja przyszedłam na wizytę – skłamała Weronika gładko.

– A do jakiego lekarza? Zresztą... nie interesuje mnie to zbytnio.

– No i co?

– Co, no i co?

– No... wychodzi na to, że miałam rację. Jesteś w ciąży!

– Jestem. Daj mi spokój, Weronika, nie mam teraz ani siły, ani ochoty rozmawiać, muszę pomyśleć – westchnęła ciężko Matylda i ruszyła do samochodu.

– Poczekaj, chcę ci pomóc.

– Co, ty też mi zaoferujesz jakiegoś magika od układania życia? Od harmonii z samą sobą? Daj spokój, proszę.

– Który to tydzień? Na pewno jeszcze na tyle wcześnie, żebyś mogła spokojnie zrobić zabieg.

– Jaki zabieg? – Matylda stanęła jak wryta – o czym ty mówisz?

– Boże, Mati, ty jednak niezyciowa jesteś, usuniesz i będzie po problemie – Weronika w dramatycznym geście wzniosła dłonie ku niebu, po czym dodała widząc wyraz zdumienia na twarzy koleżanki. – Ciężę usuniesz.

– Oszalałaś?! Zdecydowanie oszalałaś. Zejdź mi z drogi, proszę cię po raz ostatni – rzuciła stanowczo, sięgając po kluczyki.

Kiedy zatrzaśniwała drzwiczki, dobiegło ją jeszcze:

– A twoja kariera? Opamiętaj się, Mati, ja chcę tylko pomóc.

– Więc nie mów do mnie Mati, bo tego nienawidzę! – ryknęła i ruszyła z piskiem opon.

Zamiast przyjaznej duszy, zamiast kogoś kto przytuli, pocieszy, powie, że wszystko się jakoś ułoży, ona miała do dyspozycji największą firmową plotkarę. To jeszcze by zniosła, ale bzdurnych rad, od których robiło się niedobrze, już strawić nie mogła. Całkiem bezwiednie skręciła do parku. O tej porze stolica już powoli się odkorkowywała, więc bez problemów i właściwie na pamięć jechała, cały Czas mając przed oczami rozmazany nieco obraz szarego ekraniku z pulsującym w jej wnętrzu życiem. Ktoś zatrąbił, ktoś rzucił przekleństwo pod jej adresem, ale nic do niej nie docierało.

Miała szczęście, że dojechała. Usiadłszy na ławce w pobliżu stawu, stwierdziła obiektywnie, że jednak kobiety są zbyt emocjonalne, żeby prowadzić samochód.

– Ludzie, życie mi się wali na łeb na szyję – krzyknęła bezgłośnie do tulących się w ciepłym, lipcowym popołudniu zakochanych. Co robić?

Co ja mam zrobić?

* * *

Praktycznie przy samym wejściu do biura została porwana i pociągnięta bezpośrednio do działu personalnego.

– Twoje papiery – Zuzanna przesunęła w jej kierunku plik dokumentów.

– Jakie papiery? – w pierwszej chwili Matyldzie przemknęło przez myśl, że to już te na dyrektorskie stanowisko, w następnej zaś, wpatrując się w twarz Zuzy, zrozumiała, że plotkarski meteoryt wpadł i tutaj... chyba jeszcze wczoraj. – Urlop? Mam iść na urlop Zuza?

– Nie na urlop, kazali mi przekazać, że masz dwa wyjścia. Nie protestować i podpisać rozwiązanie umowy o pracę za porozumieniem stron. Wtedy oczywiście będzie ci przysługiwał ekwiwalent za urlop, poza tym odprawa w wysokości... – tu Zuzanna zerknęła w dokumenty – a nie, odprawy tak czy siak nie będzie. Aha, no i do końca miesiąca będziesz na urlopie bezpłatnym, a z dniem pierwszym sierpnia rozwiązujemy umowę... Usiądź, bo strasznie zbladłaś.

– A druga opcja? – zapytała Matylda z głową między kolanami.

– No wiesz, zakładano, że możesz się nie zgodzić, i tutaj są również papiery na dyscyplinarne zwolnienie z pracy.

– Dyscyplinarka? A za co?

– Matylda, ja ci dobrze radzę, nie wnikaj, bo wypiszą ci wilczy bilet i

w znalezieniu pracy żadne wykształcenie ci nie pomoże. Podpisuj za porozumieniem, a te dokumenty wrzucam *na* twoich oczach do niszcarki i tyle.

– Zuza... ja chcę porozmawiać z kimś z zarządu – szepnęła cicho Matyllda.

– Teraz są na zebraniu, będą do jedenastej, a później mają poumawiane spotkania.

– Wszyscy?

– Matyllda, obudź się wreszcie, nikt nie chce z tobą rozmawiać, bo co właściwie mieliby ci powiedzieć? Że jesteś w ciąży i nie nadajesz się do pracy? W ich oczach ciąża to kalectwo, zagrożenie dla firmy, więc daj spokój, nie bądź dzieckiem i podpisuj.

Podpisała, zabrała kopię dla siebie i wyszła. Jeśli nie chcą z nią rozmawiać, to przynajmniej wystosuje maila pożegnalnego. Do wszystkich, nie oszczędzi nikogo, a po Weronice pojedzie jak po burej kobyle. Musi, po prostu musi coś zrobić.

Nie zrobiła jednak nic, bo hasło do jej poczty było już nieaktywne, a rzeczy osobiste, nie wyłączając kubka z Garfieldem, leżały ułożone porządnie na podłodze obok biurka. Wymazano ją z historii firmy jednym zamaszystym podpisem. Lata spędzone na ciężkiej pracy skreślono w ciągu – praktycznie – jednego dnia. Wczoraj jeszcze miała na horyzoncie możliwość awansu, dzisiaj odbierano jej nawet prawo porozmawiania z kimś władnym zmiany tej decyzji.

Dobrze chociaż, że zostawiła sobie swój prywatny telefon. Paweł niejednokrotnie się z niej naśmiewał, twierdząc, że w zupełności wystarczyłby jeden. Służbowy. Teraz jednak służbowy został oddany, razem z kluczykami do szafki i całym sercem Matylldy.

Ot tak, po prostu. *

Wyjechała z parkingu i bez zastanowienia skręciła na białostocką wylotówkę.

* * *

– Matys?! Dziecko, jak dobrze, że przyjechałaś – pani Zofia wpatrywała się intensywnie w twarz córki.

– Witaj piękna, nie widzieliśmy się przez piętnaście lat, a teraz, proszę, drugi raz w ciągu tygodnia – Patryk prezentował swoje mięśnie, dzierżąc w ogromnych łapach doniczki z żółtymi kwiatami i uśmiechał się szeroko.

– Witaj – ostatkiem sił Matylda powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć płaczem. Zauważyli to oboje, mama troszkę wcześniej niż Skorpion, ale i on po obrzuceniu Matyldy szybkim spojrzeniem, stwierdził:

– Ja jutro najwyżej przyjadę, pani Zofio, to może poczekać. Do zobaczenia.

Nie czekając aż biały pickup odjedzie z podwórka, Matylda rzuciła się z rykiem w matczyne objęcia. Płakała, nic nie mówiąc i moczyła pani Zofii to jedno, to drugie ramię. Robiła sobie przerwy na wydmuchanie nosa, po czym znowu przypadała do matki.

Ta łagodnie poprowadziła Matyldę do domu, posadziła przy kuchennym stole i zamknęła szczelnie drzwi, po czym usiadła naprzeciwko córki i zaczęła gładzić ją delikatnie po dłoniach.

– Mamuś, życie właśnie legło mi w gruzach... nie, nie, nie jestem chora – zaprzeczyła szybko Matylda, rejestrując przerażone spojrzenie matki – wszystko mi się zawaliło. Wszystko o czym marzyłam.

– Kochanie, wiem, że nie rozpaczasz z byle powodu. Może mi powiesz, co się stało, bo wierz albo nie wierz, ale ja też się denerwuję.

– Jestem w ciąży. Wyrzucili mnie z pracy. Paweł wyjechał. Nie jadę na urlop. Nie będę miała za co żyć – wyrzuciła w końcu na jednym wydechu.

– Co na to Paweł?

– Na co? – Matylda podniosła wreszcie zaczerwienione oczy na matkę.

– Jak to na co! Na to, że będzie ojcem. Bo to chyba on, tak?

– Tak, pewnie że on, tyle, że... jeszcze nic nie wie. Nie mówiłam mu. I nie wiem, czy jest sens.

– Jak to czy jest sens?

– Mamo, on ma swoją karierę, swoje życie, teraz bije mu zegar chwały, a ja co? Mam powiedzieć: wracaj, bo od marca będziesz zmieniał pieluchy zamiast trzepać kasę?

– W marcu?

– Lekarz powiedział, że na ósmego wstępnie wypada termin porodu... Boże, czy ty słyszysz, o czym ja mówię? Słyszysz? Mamo, dlaczego ty się uśmiechasz?! Nie uśmiechaj się, nie śmiej się z mojej osobistej tragedii, proszę cię.

Pani Zofia wstała, podeszła do córki i przytuliła ją mocno.

– Będę babcią – szepnęła cichutko do ucha Matyldy. Po czym obie, bardzo zgodnie, się popłakały.

A gdy już przyszła mamusia została nakarmiona, napojona i wylała z siebie całą gorycz i żal, pani Zofia zadysponowała.

– Jedziemy do Warszawy. Dasz radę jeszcze raz dzisiaj w tę i z powrotem?

– Nie wiem, chyba dam. A po co? – Matylda rzuciła matce zdziwione spojrzenie.

– Jak to po co? Po twoje rzeczy. Wpadasz z powrotem pod mamine skrzydła, kochanie. Przynajmniej do czasu, kiedy nie będziesz w stanie realnie spojrzeć na to wszystko i sobie nie poukładasz życia.

– No, mamulu, to może zająć mi trochę czasu. Nie wiem, czy tyle ze mną wytrzymasz.

– O, humor się poprawił. Dobrze. Wytrzymam, wytrzymam, nie bój się.

Pozostałym członkom rodziny, zaskoczonym obrotem sprawy, poleciła zająć się obiadem i obowiązkami domowymi. Protesty Karoliny zgromiła jednym spojrzeniem i cicho syknęła, że jeszcze będzie czas na wyjaśnianie sobie różnych rzeczy, a teraz ma się wziąć do roboty. Ojciec wyściskał tylko Matyldę i przykazał, żeby ostrożnie jechała.

Trochę wbrew sobie odetchnęła z wyraźną ulgą.

Zajmą się nią. Zaopiekują. Może jeszcze jakoś mi się to wszystko ułoży. Ma na kogo liczyć.

Przez pierwszy tydzień nie robiła nic, poza spaniem, jedzeniem, pozbywaniem się tego jedzenia w tempie błyskawicznym i czytaniem książek. Płakaniem też oczywiście.

A pod koniec tego pierwszego tygodnia w drzwiach rodzinnego domu stanął nie kto inny, jak przyszedł tatuś we własnej osobie. Nieco zdziwiony, że Matylda zamiast rozrywkowo spędzać wieczór z przyjaciółkami z pracy, znowu pojechała do rodziców. Prawdę powiedziawszy, przeczuwał konkurencję w postaci świeżo odzyskanego Skorpiona – Patryka. Bo po cóż w innym wypadku marnowałaby wieczór? Nie miał pojęcia.

Konkurencja tymczasem była, a i owszem, tylko na dobrą sprawę nie można było jeszcze ustalić jakiej płci. Rosła sobie grzecznie w maminym

brzuszkę, nie mogąc się tylko dogadać z żołądkiem.

Tak więc Matylda stanęła przed Pawłem jeszcze szczuplejsza i dużo bardziej wymizerowana niż dwa tygodnie wcześniej. Po przywitaniu z rodzicami nie pozwoliła mu na żadne pytania, tylko pociągnęła na spacer, łapiąc za plecami Pawła spojrzenie pani Zofii. Spojrzenie dodawało otuchy, a usta ułożyły się w bezgłośnie: „powiedz mu”. Kiwnęła tylko głową.

– Matylda, ślicznie wyglądasz – Paweł wpatrywał się w nią jak w obrazek.

– Yhm, dziękuję – uśmiechnęła się.

– Tylko... odnoszę niejasne wrażenie, że coś niedobrego się dzieje.

– Niedobrego? Czy ja wiem, powoli się już przyzwyczajam. Ale bardzo powoli – schyliła się i urwała dwa chabry.

– Słucham. Powiedz.

– Najprawdopodobniej ósmego marca przyjdzie na świat nasze dziecko – wyrzuciła z siebie wreszcie i jednocześnie poczuła, jak lawina kamyków turla jej się z serca do stóp, a później ginie gdzieś, miała nadzieję, bezpowrotnie w wysokiej trawie, przetykanej tu i ówdzie różnobarwnymi kwiatami.

– Coo?! – Paweł złapał ją za ramiona i zaczął zaglądać w twarz. – Ty żartujesz? Matyś, żartujesz, prawda?

– Nie, nie żartuję – westchnęła.

Wiele razy wyobrażała sobie tą chwilę. Układała sobie różne scenariusze zachowania. Najbardziej lubiła ten, w którym Paweł podskakuje z radości i zaczyna tańczyć na polnej ścieżce. Był też taki, w którym bierze ją na ręce i biegnie przez kwiecie, krzycząc z radości, że będzie tatą. Kolejny zakładał, że on po prostu ją przytula, a następnie, przygotowany nie wiedzieć jakim sposobem, może drogą telepatii, na taką wieść, wyciąga z

kieszeni małe puzderko z pierścionkiem. Z tym, że ten scenariusz uznała od razu na wstępie za zbyt mocno naciągany i raczej mało prawdopodobny.

Jako osoba praktyczna musiała też założyć, iż ta informacja wcale mu do gustu nie przypadnie. Więc może:

- ^{1.} Odwrócić się na pięcie i odejść bez słowa, zostawiając ją na pastwę losu.
- ^{2.} Obrzucić ją stekiem wyzwisk i obarczyć winą za złamaną karierę; niewykluczone, że porwie się do rękoczynów. Chociaż dwójka, z racji łagodnego charakteru Pawła, raczej nie wchodziła w rachubę.
- ^{3.} Kazać jej usunąć ciążę. Kazać to sobie może podwładnym, a do mojej... mojej ciąży niech się z pomysłami chirurgicznymi nie pakuje.
- ^{4.} Albo też nie wierząc w to wszystko, wzruszy ramionami i odejdzie w siną dal, tam, gdzie na horyzoncie majaczy sława...

Wyglądało na to, że w grę wchodziła czwórka. Matylda odsunęła się od Pawła, rozmasowując ramiona.

– Nie żartuję. Tak to wygląda. Czuję się w obowiązku poinformować cię o tym, bo jakby nie było masz z tym coś wspólnego. I tyle.

– Co teraz będzie? Ale jak to możliwe? Przecież zabezpieczaliśmy się, no tak czy nie?

– Tak, ale jak widzisz i jak mówią ogólnie dostępne źródła, stuprocentowej pewności nigdy mieć nie można. Mieliśmy akurat tego farta, że załapaliśmy się na jeden procent. Powiem ci szczerze, że dopiero teraz o tym w ten sposób myślę... – Matylda potarła w zamyśleniu brodę. – Może by zagrać w totka... jak się ma takie szczęście...

– Ty sobie żarty robisz?! Ty sobie po prostu żarty robisz!

Wreszcie i jej, mimo wszelkich starań, puściły nerwy.

– Ja sobie robię żarty? Ja, do ciężkiej cholery?! – ryknęła, wyciągając w jego kierunku palec, aż przerażony zaczął się cofać. – To sobie wyobraź, że od dwóch tygodni, nieprzerwanie prawie, rzygam, wyrzucono mnie z pracy, bez możliwości porozmawiania z przełożonym! Zuza po prostu rzuciła mi papiery przed nos, rozumiesz?! Nie pytając o nic, dając do wyboru dyscyplinarkę, jeżeli nie zamknę ust albo rozwiązanie za porozumieniem stron, jeśli nie będę im robić kłopotów! I ty mi mówisz o żartowaniu? Do jasnej niespodziewanej cholery, życie mi legło w gruzach, muszę sobie wszystko poukładać na nowo, a ty mi tu o żartach?!

Odwróciła się do niego plecami i... szlag by trafił hormony... znowu zapłakała. Paweł położył jej dłonie na ramionach i odwrócił do siebie.

– Przepraszam. Wybacz, po prostu nie wiedziałem... och Matyllda, co my teraz zrobimy, ja nie mogę wrócić. Nie ma takiej opcji, tam już wszystko zaczęliśmy, jestem po prostu niezbędny.

– Ok. Wrócisz, to się zastanowimy – wytarła twarz.

– Mówisz poważnie? Kochanie?

– Oczywiście, jak najbardziej poważnie. Dziecko poczeka, a jak się urodzi za dwa albo trzy lata w marcu, to może już będziemy wiedzieli, na czym stoimy, prawda? Ja sobie najwyżej pochodzę w ciąży tyle czasu co słońca. Albo troszkę dłużej. Obym tylko z żołądkiem doszła wreszcie do ładu. Poradzimy sobie – sarknęła w końcu – jedź już, Paweł. Przykro mi.

Nie zatrzymał jej, kiedy się odwróciła i ruszyła w przeciwną stronę.

Nie wszedł do domu, żeby się pożegnać z rodzicami.

Nie wiedział też, że odebrał Matylldzie ochotę do życia, przełączył ją niejako ze stanu aktywności w stan czuwania. Tego pani Zofia, obserwująca całą scenę zza kuchennej firanki, najbardziej nie mogła mu darować.

Wydawało się, że Matyllda regeneruje siły po długim okresie

morderczego wyścigu szczurów. Sprawiała wrażenie nieobecnej, mimo wykonywania niezbędnych życiowych czynności, mimo zmywania, krojenia, układania, wycierania. Rodzina patrzyła na nią jak na robota, któremu nie chcą się wyczerpać baterie, który co prawda udziela się marginalnie w życiu domowników, a jednak nie okazuje żadnych uczuć, do rozmowy raczej też nie jest skory. Ot, jest bo jest, tak jak kolejny mebel. Chudziutki, zmizerniały i z cierpkim wyrazem mechanicznej twarzy.

– Coś trzeba zrobić, Zosiu, przecież dziewczyna nam ginie w oczach – coraz częściej pan Włodzimierz tarł wosk i przemawiał do żony. – Ona tak nie może, jeszcze coś złego w głowę jej się stanie.

– Włodziu, poczekajmy – żona klepała go łagodnie po ramieniu – poczekajmy, ma dużo do pozbierania, więc trochę jej to zajmie, poza tym ona odpoczywa, nie widzisz?

– Ja tam widzę, że się męczy i tyle, a jeżeli to potrwa jeszcze trochę, to nie wytrzymam, boli mnie, jak widzę cierpienie swojego dziecka.

– Twoje dziecko, kochany, to już dorosła kobieta, niedługo będzie miała własne potomstwo, poza tym wierz mi, jeżeli będzie potrzebowała pomocy, to się po nią zwróci. Zobaczysz.

No i zobaczył.

Faktycznie, pewnego dnia Matylda doszła wreszcie do końca swoich przemyśleń i planów, o czym nie omieszkała powiadomić rodziców. Przy śniadaniu.

Na stole parowały świeżo wyjęte z piekarnika bułeczki z dżemem truskawkowym, w lipcowym upale rozpuszczało się masło i topniał stopiony już przez producenta serek.

– Wracam do Warszawy – oznajmiła Matylda, wgrzyzając się w bułkę. Wprawdzie świadomość, że ową bułeczkę pewnie za chwilę odda naturze,

odbierała nieco smaku, ale nie mogła się oprzeć słodkiemu zapachowi.

– Jak to wracasz, kochanie? Co ty tam będziesz robić? Sama... – ojciec najchętniej wziąłby ją pod swoje skrzydła i nie spuszczał z oka ani na chwilę. No chyba, że na mrugnięcie powieki.

– Na razie jeszcze pobędę u was, jeśli mo... – chór oburzonych głosów nie pozwolił jej nawet dokończyć, więc uśmiechnęła się miło i kontynuowała – a najpóźniej na początku sierpnia muszę wrócić.

– Dlaczego akurat na początku sierpnia? – zainteresowała się Karolina.

– Bo wtedy, słońce, przejdą mi już, mam przynajmniej taką nadzieję, te codzienne pawie. Mam również nadzieję, że dziecko pozwoli mi się jeszcze trochę poudzielać zawodowo – Matylda pogłaskała się bezwiednie po brzuchu i wyrwała do łazienki.

– Uff, całe szczęście! – rodzice spojrzeli pytająco na młodszą córkę pożerającą kolejną bułkę z widocznym ukontentowaniem.

– Już się bałam, że przez tę jej ciążę będą nici z mojego wyjazdu.

No, do Warszawy. Co tak patrzycie, dobrze, że wreszcie przejrzała na oczy, bo już się bałam, że nie daj Boże tu zostanie. No, nie wpatrujcie się tak we mnie, nie wiecie, o czym mówię?

– Nie – pani Zofia ze stoickim spokojem przyglądała się Karolinie – zastanawiam się, jak mogliśmy tak okaleczyć własne dziecko.

– Znaczący Matyldę? – dociekało dziecko.

– Nie, ciebie – po czym zerknęła w stronę schodów i na widok Matyldy poinformowała rodzinę zupełnie z innej beczki.

– Bidula, ja też się tak z wami męczyłam. Z każdą z was – pani Zofia pozwoliła sobie na chwilę wzruszeń i wspomnień, wzdychając do truskawkowego dżemu.

– Poważnie? – starsza córka zzieleniawszy nieco na twarzy, klapnęła z powrotem na krzesło – a jak ty to wytrzymałaś? Ja już wymiękam.

– Kwestia przyzwyczajenia. Poza tym warto było – poklepała córkę po policzku – zapomnisz o tym szybko. A co do powrotu, hm, jak uważasz, ale czym niby tam miałabyś się zająć? Wiesz, że będzie ciężko.

– Ha, wiem. Bardzo dobrze wiem. Na tyle dobrze, że przemyślenie wszystkiego zajęło mi całe dwa tygodnie, czy może nawet więcej...?

– Może trochę więcej, co planujesz kochanie? – mama potrafiła być nieugięta.

– Znaleźć sobie jakąś pracę. Nie wiem. Jestem dobra w... no, w wielu rzeczach jestem dobra, a jakby mi nie wyszło, to złożę aplikację u was, o!

– U nas, albo... wiesz – mina mamy nie wróżyła niczego dobrego, taka lisio – chytro – przebiegła – u Patryka cały czas jest rotacja, ostatnio mi się skarżył... ale czekaj, powiedz mi, po co właściwie ty już tak od razu chcesz ruszać do pracy?

– Bo oszaleję w domu, mamo. Zbyt intensywnie żyłam, żeby teraz mogła siedzieć beczynn timer. Na głowę mi się rzuci i taki będzie finał tej historii. Do porodu mam ponad pół roku, rozumiesz? Pół roku. Jak dla mnie trochę dużo. Aha, miałam cię o coś spytać.

– Tak? – mama zabrała spod jej nosa talerz, patrząc pytająco.

– Nie, nie będę już nic jeść. Dziękuję. O Patryka. On od dawna tak często tu bywa?

– Na dobrą sprawę... hm, czekaj niech się zastanowię... – pani Zofia stanęła w przelocie między kuchenką a stołem i zaczęła w zamyśleniu pocierać nos – staw obsadzałam sama, później te rabatki przy domkach też... tak, zaczął nam pomagać jakiś czas po ruszeniu pensjonatu.

– Czyli to już około czterech lat, a dlaczego nigdy nie mówiłaś, że mój

serdeczny przyjaciel ze szkolnej ławy z wami współpracuje? Przecież o takich rzeczach na ogół mówi się... w stylu: a czy ty wiesz, kto do nas przyjechał...? Z taką, no, jakby sensacją trochę. A ty nigdy ani słóweczkiem! Dlaczego?

– Matylda wpatrzyła się intensywnie w matkę. Ta natychmiast podeszła, pogłaskała ją po włosach i zaczęła kręcić głową z niedowierzaniem.

– Kochanie, przecież ja nie raz, nie dwa, ale za każdym razem jak tutaj byłaś, wspominałam o nim.

– Niemożliwe. Pamiętałabym przecież.

– A pamiętałaś o urodzinach Karoliny? O dniu matki? O pogrzebie babci Stasi? Nie, kochanie, to nie wyrzut – pani Zofia podniosła opuszczoną nagle z zawstydzeniem głowę córki – tylko uświadamiam ci właśnie, że całą sobą oddałaś się pracy. Nie pamiętałaś o niczym, co nie byłoby związane z twoją firmą, nie słuchałaś, czy raczej nie słyszałaś w ogóle tego, co ci opowiadam. Wpadałaś tu z nieobecny wyrazem twarzy, uśmiechałaś się niby do mnie, ale miałam wrażenie, że patrzysz przeze mnie. Pierwszy raz od bardzo dawna w twoich oczach pojawiło się jakieś uczucie. Wiesz kiedy?

– No kiedy, dobij mnie już do reszty.

– Jak przyjechałaś powiedzieć o dziecku. Tak mi się skojarzyło z Kajem, któremu nareszcie wypadł kawałek szkła z oka.

Poza tym, nie chcę cię dobić, próbuję tylko uświadomić, w jakim zapętleniu żyłaś. I cieszę się, że już po wszystkim.

– A ja jeszcze nie wiem, mamó. Jeszcze nie wiem.

Mama miała rację. Matylda musiała to przyznać, chociaż bardzo jej z tym było niewygodnie. Bo przyznawać się do własnych błędów jest ponoć zawsze niewygodnie. Wróciła do siebie na górę i po raz pierwszy od dwóch

tygodni odpaliła laptopa.

Trwa wyszukiwanie sieci bezprzewodowych będących w zasięgu. „Wybierz sieć bezprzewodową”.

Hm, kiedyś taka ilość wiadomości przychodziła do niej w ciągu piętnastu minut, a nie dwóch tygodni. Gdyby nie czyściła skrzynki pocztowej regularnie, na pewno by się zapchała. Ale to było kiedyś. Teraz jest inaczej.

Faktycznie inaczej, prócz informacji o aktualnych promocjach we wszystkich sieciach komórkowych, cenników usług najlepszych gabinetów kosmetycznych, porad jak się pozbyć nadmiaru tłuszczu w dwa tygodnie, za sprawą tylko jednej magicznej tabletki, tylko trzy wiadomości były zaadresowane do niej.

Do niej osobiście. Nie klienta, nie pacjenta, nie zdesperowanej kobiety na gwałt potrzebującej diety cud. Dwie od Magdy, jedna od Marcina.

Na tę ostatnią zareagowała lekkimi drgawkami, więc zostawiła ją sobie na koniec.

Temat: RE: cześć]]

„Śpisz kochana, czy tak cię ta praca pochłonęła znowu, że nie masz czasu odpowiedzieć starej koleżance?

Zdjęcia czekają, znaczy płytka czeka, kawa też i ciacho jakieś się znajdzie... o swoim bezcennym towarzystwie nie wspominam, bo po cóż mówić o rzeczach oczywistych?:)))

Daj znać, kiedy będziesz miała chwilę, żeby wpaść. Całymi dniami siedzę w domu, ups, w pobliskiej piaskownicy, ale ogólnie rzecz biorąc, jestem dostępna.

Cokolwiek by to stwierdzenie oznaczało.

Buziak”

Matylda uśmiechnęła się szeroko i otworzyła kolejną wiadomość.

„No wybacz, że tak cię molestuję, ale gotowam się obrazić śmiertelnie albo wysłać kogoś na zwiady, żeby sprawdził, czy żyjesz w ogóle.

Słowo jedno, please...”

Ta ostatnia była sprzed czterech dni, stosunkowo świeża. Oszacowała i zabrała się za odpisywanie.

„Żyję, żyję, ale wszystko mi się, Madziula, zważyło na głowę. Czy może raczej świat mi stanął na głowie? Czy to nie wychodzi na jedno?

Nie wiem.

Siedzę u rodziców. I chyba powoli budzę się z dwutygodniowego odrętwienia. Tak to w wielkim skrócie wygląda, co do szczegółów, hm, hm, hm... od czego zacząć?

Może od testu ciążowego, który wyszedł pozytywnie? A może od tego, że zaczęłam odstawać od przyjaciółek, bo nie podobali mi się faceci odstawiający rozbieranki na scenie? Sama nie wiem.

Wychodzi też na to, że przez ostatnie parę lat byłam o wiele bardziej ślepa, niż na to wskazywały wszelkie badania okulistyczne.

Aha, no i pracę straciłam. I sama nie wiem co jeszcze...

Na początku sierpnia wracam. Przyjadę. Buzia.”

Wyślij. Poszło.

Od Pawła nie było żadnych wiadomości. Żadnych.

Wyjrzała przez okno, wzdychając głośno. Matko jedyna, skąd tu tyle ludzi? Przed pensjonatem stało kilka zaparkowanych samochodów, reszta porzrzucana była tu i ówdzie na niegdysiejszym polu porzeczek.

Fakt, zdawała sobie sprawę z dość dużej rotacji wczasowiczów, bo pojawiali się od czasu do czasu w domu, poszukując a to worków na śmieci, a to podpałki do grilla – może u państwa jest, bo u nas akurat wyszła? –

siebie.

– Pochwaliłam się tobą.

– Widziałam, nawet pomachałam tej kobiecie. A ona od dawna?

– Hm, jutro wyjeżdża, była równiutkie siedem dni.

– Nie widziałam jej. Dobra, dobra, wiem – Matylda podniosła obie ręce do góry – widziałam, ale nie za bardzo kojarzę. Dobrze?

– Niedobrze. Ja wiem, to może przesady, ale babcia zawsze mnie tłukła po łapach, jak je podnosiłam do góry, mając którąś z was tutaj – poklepała się po brzuchu – więc zrób mi tę przyjemność i pójdź w ślady matki.

– Znaczy co, mam podnosić i czekać, aż mnie po nich zdzielisz?

– Nie, masz ich w ogóle nie podnosić – zażądała pani Zofia i zaczęła się mocować z marchewką.

– A do mycia?

– A do mycia możesz, aby nie za długo.

– Oj mamuś, to bujdy – Matylda doszła właśnie do wniosku, że przecież na każdym kroku podnosi ręce, znaczy przy każdej prawie czynności.

– Bujdy nie bujdy, nie podnoś. Dla spokoju starszej pani. Bierz się za tę marchew. Rosół ma być na obiad, a ja jeszcze w lesie z robotą. Wiesia zajmuje się zrazami...

– Jakimi zrazami...? – zdążyła się uchylić przed nadlatującym zielskiem. – Dobra, nic już nie mówię. Wiesia zajmuje się zrazami, my zupskiem. Kura jest?

– Jest.

– Obmyta ździebko?

– No wiesz, u mnie miałyby być nieobmyta kura, po tych wszystkich

historiach z tragicznym zakończeniem? Pietruszka jeszcze, bo w domu nie ma.

– Mać?

– Matyldaaaa! Uspokójże się dziewczyno, nie masz w ogóle umiaru, jak nie w jedną, to w drugą stronę. Wszystko takie skrajne, że człek się przyzwyczaić nijak nie może – przemawiała niby surowo pani Zofia, ale jej twarz jaśniała szczerym uśmiechem, który pozostał w oczach. – I mać i korzeń, bierz i do pensjonatu. Biegiem.

To w pensjonacie była kuchnia pokazowa, spełniająca wszystkie ważne wymogi BHP i nie tylko. Swego czasu rodzina się oburzała, że im ważniejsze te wytyczne, tym bardziej absurdalne. Pomysł przerobienia domowej na pokazową z miejsca został odrzucony przez wszystkich. O nie, dom ma pozostać domem, z kuchnią w drewnie, cudnymi firankami i masą chochli, patelni i rondelków kołyszących się beztrąsko nad kuchennym blatem, a nie zimną salą z kafelkami i chromem. I jeszcze o idiotycznym zupełnie ustawieniu mebli. Tyle centymetrów od tego, tyle od tamtego. Wszystko według ściśle wytyczonych przepisów, nie mających niczego wspólnego z wygodą.

Ma być swojsko.

Więc swojsko pozostało.

Ale tutaj też się dało czarować. Prawdę powiedziawszy, chwilami Matyllda odnosiła wrażenie, że to nie kwestia wnętrza, tylko odpowiedniej osoby. A dzięki Bogu, jej mama taka właśnie była. Najodpowiedniejsza pod każdym względem. Włączyły sobie radio, nie za głośno, żeby nie przeszkadzało innym i zgodnie zabrały się do rosółu. Co chwila z obu stron padały komendy.

– Grzybki jeszcze.

- Patrz na cebulę, bo za bardzo się spali.
- Nie, za dużo tej kapusty, tylko dla smaku, uważaj bo kapuśniak wyjdzie, a rosół ma być, tak czy nie?
- No i ziele.
- Aha, i drożdże wyciągnij, zapomniałam.
- Mamo, drożdże do rosółu?
- No żartujesz, buły będą. Do jednego bym cię nie ciągnęła.
- A nie za gorąco?
- Na buły? To na kolację dopiero. A, no i przecier wyciągnij.
- Mamo!
- Nie do bułek, do rybki. Po grecku. Hihih.

Wieczorem, przed zaśnięciem Matylda zdążyła się tylko utwierdzić w przekonaniu: Świnia jestem.

Następnie odpłynęła, szybciotko z prądem, w głąb mocnego snu.

Leżała w białej pościeli, nikogo w pobliżu, tylko ona i jakiś malutki pakunczek w jej ramionach. Powoli zajrzała, rozchylając na boki rogi jasnego kocyka. Najpierw pojawiła się ciemna czuprynka, w następnej kolejności zaś czoło, łódeczki rzęs na opuszczonych powiekach, zmarszczony nosek i idealnie wykrojone w pyzaty policzki usteczka. Nagle usłyszała jakiś głos dochodzący najpierw z daleka, po chwili już z bliska. I wtedy dopiero poznała ten głos.

Matyldo, a kto to jest? Co to za dziecko?

Jak to mamo? Nie poznajesz? – odpowiedziała matce zdziwiona. – Przecież to Łucja.

Śniesz mi się, Kruszyno, w półśnie Matylda pogłaskała się po brzuchu. Tak, jesteś dziewczynką.

Moją dziewczynką.

– Jasna cholera, mam tego dość! – coś łomotnęło do wtóru wrzasku Karoliny. – Do groma ciężkiego, mam wakacje, najdłuższe z możliwych, a haruję jak wół i dlaczego? Po co? Karolcia to, Karoluś tamto, siamto i owamto. Rzygam tym, bez przerwy.

– Jeszcze chyba siostró nie do końca zdajesz sobie sprawę z tego, co to znaczy rzygać czymś bez przerwy – Matylda stanęła w otwartych drzwiach łazienki i złożyła ręce na piersiach.

– Boże, przestraszyłaś mnie. A ty już, o tak wczesnej porze na nogach? – spytała złośliwie, mrużąc oczy. – Przecież dopiero siódma. Daj spokój, wracaj do łóżka.

– Hm, hm, hm.

– I nie chrząkaj na mnie. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego domu, tej cholery roboty od świtu do nocy. Bez przerwy, jak wyrobница. Na szczęście niedługo się stąd wynoszę. I nie będę musiała robić nic. Nic zupełnie.

– Ooo... mylisz się siostró. Będziesz musiała.

– Co niby? – Karolina przestała przemywać twarz, odstawiła tonik i spojrzała podejrzliwie na Matyldę.

– No wiesz, mieszkanie zazwyczaj samo się nie sprząta, ciuchy nie piorą, a kubki nie zmywają, czy w ogóle same nie wskakują do zlewu. Trzeba je odnieść.

– Bardzo śmieszne. Z deszczu pod rynnę – mruknęła cicho, by po chwili się jednak zreflektować, a weźmie i jeszcze każe jej mieszkać gdzie indziej, nie wpuści za próg warszawskiego mieszkania na dłużej? – Wybacz, Matusi, ale ja już po prostu tego nie wytrzymuję.

– Czego?

– No przecież mówię wyraźnie, tego całego cyrku z prowadzeniem pensjonatu – Karolina usiadła na wannie i międląc zużyty płatek w palcach, wzdychała rozdzierająco.

– To ty prowadzisz jakiś pensjonat?

– Nie nabijaj się, żebyś wiedziała, że prowadzę. Na dobrą sprawę.

– Karolina, nie denerwuj mnie. Proszę cię. Z tego, co widzę, to mama nie kładzie się prawie spać, ty czasami przy pokojach połatasz, kurze wytrzesz, pomagasz doraźnie. Ale to mama dba owszystko.

– Oj niby tak, ale chwilami mam wrażenie, że to ja bez przerwy za czymś ganiam. No i dość mam tej całej bieganiny. Po co ona komu? Nikomu niepotrzebna. Mieliby sobie tę nieszczęsną porzeczkę, na owoce też podobno można dostać dotacje.

– Nikomu niepotrzebna powiadasz? No to skoro niepotrzebna, więc nie idź na studia, nie przeprowadzaj się do Warszawy, a wiesz – Matylda zapaliła się nagle do swoich planów – to dobry pomysł. Sprzeda się to mieszkanie i święty spokój, kasa będzie...

– O czym ty mówisz, Matylda?!

– O tym, dziecino, że gdyby nie pensjonat, nie pojechałybyś na studia do stolicy, nie miałybyś też gdzie mieszkać w tejże stolicy. Bo rodziców nie byłoby stać z lichego pola porzeczek na opłacenie twoich dojazdów i życia tam, szeroko pojętego. Zrozumiesz to wreszcie? A teraz przestań biadolić i zwolnij mi łazienkę, bo zdaje się zaczynam codzienny maraton do Rygi – przepuściła siostrę umykającą czym prędzej w popłochu.

Mamy na dole nie było. Zastała tylko ojca nad kubkiem herbaty. Ogromne okulary zsuwały mu się z nosa, ale zupełnie tego nie zauważył pochłonięty przez najświeższe doniesienia prasowe. Co chwila tylko burczał coś ze złością i prostował zamaszystym ruchem gazetę. Wreszcie był łaskaw

dostrzec również i córkę.

– Nie krzycz na Karolinę. Ona tak naprawdę, w głębi serca jest dobrym i uczynnym dzieciakiem. Czasami przechodzi kryzys, ale to chyba jak każdy.

– Oj tato, tato, ja na nią nie krzyczę.

– Ha, dobre sobie, przecież słyszałem. Łazienki są jedna pod drugą.

– Ja ją tylko uświadamiam, a tak w ogóle to teraz dopiero widzę, że wy za ciężko pracujecie.

– Dlaczego? Nie, kochanie, jeśli chodzi ci o ten mój szpital, to nawet na dobre mi wyszło – tata z powrotem przymierzył się do lektury, ale Matylda przycisnęła gazetę do stołu.

– Tato, o czym ty mówisz? Jaki szpital?

– Aaaaa, to mama ci nie wspominała? A widzisz, taka błahostka. Nieważne, nie ma o czym mówić.

Puknęła się w czoło parę razy. Mocno, otwartą dłonią, aż plasnęło. Co jeszcze umknęło jej uwadze? Urodziny? Ok, można zapomnieć, jak człowiek ma dużo na głowie, w ostateczności można. Ale szpital ojca?

– Dziecko, krzywdę sobie zrobisz – pan Włodzimierz w tej chwili już powziął bardziej energiczne starania, żeby wyciągnąć spod dłoni córki gazetę. Nie miał ochoty roztrząsać z kobietą w ciąży tak drażliwych kwestii jak szpital. Mimo że ta kobieta była jego rodzoną córką. A może właśnie dlatego? – puść, dokończę tylko ten artykuł.

– Co to było tato, powiedz mi proszę, teraz.

– Kiedy naprawdę nie ma o czym mówić. Zasłabłem i tyle.

– Jak to zasłabłeś?

– No normalnie, na jesień. Trzeba było zrobić porządek w sadku, zacząłem zrywać jabłka i zasłabłem. Mama mnie znalazła, a wiesz, tak się

zastanawiam, co by było, gdyby mnie znalazła dużo później – zamiłowanie do dramaturgii wzięło górę nad chęcią oszczędzenia córce drastycznych szczegółów, wystarczyłoby, gdyby się jej przyjrzał, a słowa natychmiast zamarłyby mu na ustach. Albowiem Matylda błyskawicznie zmieniła się na twarzy. – Wyobrażasz to sobie, albo żeby to była zima? Zamarzłbym... no, ale znalazła mnie, zadzwoniła po pogotowie, podłączyli mnie do wszystkiego, co tylko im przyszło do głowy, i po pięciu godzinach wypuścili na wolność. Jakiegoś pierwiastka we mnie za mało było. Potasu zdaje się. Tak, to potas był.

– No i co?

– No i nic. To koniec historii. Oddasz wreszcie ojcu gazetę? Chcę poczytać, jak się ludzie katują, oszukują, maltretują i wyczyniają inne malownicze historie. Powiem ci, córko, że wciąż mi się nie mieści w głowie, jak jeden drugiemu może robić taką krzywdę – puknął palcem w zdjęcie jednego z posłów. – Toż w nich tyle jadu, że to aż dziw bierze skąd. Żadne z jadowitych tyle nie mają. No, ale mają skuteczniejszy... chociaż na dobrą sprawę...

– Masz, tato, czytaj sobie. A w kwestii twojego zdrowia porozmawiam sobie z mamą.

– Tak, tak, porozmawiaj córeczko. Dorobisz mi jeszcze herbaty? Tej jabłkowej, z cytryną i miętą. Cudowny wynalazek.

Machnąwszy kubkiem w stronę Matyldy, ponownie odpłynął w krainę prasowych, morderczych sensacji.

Jak to mama powiedziała swego czasu? Przetrzyj okulary, bo wszystko widzisz niewyraźnie? Nie, jakoś inaczej, aha, że ona, Matylda, patrzy na świat oczami krótkowidza. Coś w tym było, jeżeli nie chciała czegoś dostrzec wyraźniej, po prostu opuszczała oczy i... tyle.

Czas najwyższy zogniskować spojrzenie na tym, na czym trzeba. Ewentualnie dodać parę dioptrii w okularach i soczewkach. Po czym zanotowała kolejną złotą myśl w swojej kolekcji i pogłaskała się po brzuchu.

* * *

– Panie doktorze, czy ja przy każdej wizycie będę miała robione USG? – Matylda uniosła się nieznacznie na łokciach, wpatrując się w przystojną twarz swojego lekarza.

– Nie, nie ma takiej potrzeby – rzucił jej ciepły uśmiech i powrócił czym prędzej do studiowania Kruszyny. Matylda też wpatrywała się w ekran, próbując dostrzec coś więcej ponad przelewającą się szarą masę. – Dzisiaj tylko, a następne za jakieś dwa, trzy miesiące. Wszystko w normie, dziecko pięknie się rozwija, więc nie ma potrzeby go bez przerwy podglądać.

– Jej – automatycznie poprawiła Matylda.

– Aaaa nie, płci jeszcze nie możemy stwierdzić – mruknął, klikając coś na aparaturze.

– Wiem, ja tylko o swoich odczuciach. Coś mi po cichu podpowiada, że to kobietka tam rośnie.

– Jasne, wie pani, że dość często te kobiece odczucia znajdują odbicie w rzeczywistości? Coś tam naukowcy próbują udowodniać, żonglują hormonami, związkami chemicznymi, wysuwają różne teorie... a nie biorą pod uwagę jednego.

– Czego mianowicie?

– Tego, że pewnych rzeczy zbadać się nie da, że wykraczają poza możliwości rozumienia człowieka.

– Panie doktorze i to pan, naukowiec, tak mówi? – Matylda zaśmiała się, układając zdjęcia w specjalnie nabytej teczce. Nabytej na konto

wyników i zdjęć właśnie.

– Hola, hola, droga pani, ja przemawiam nie jako naukowiec, ale jako doktor z jednej strony, a z drugiej jako człowiek z otwartym umysłem, nie nawykły do klasyfikowania wszystkiego według szablonów. Pewne zjawiska – rozłożył ręce – nie dają się zamknąć w szablonach. Takie jak na przykład macierzyństwo i niespotykana nigdzie indziej więź jednego człowieka z drugim. To cud.

Chodź, cudzie mój. Musimy uzupełnić braki w lodówce, bo zaczynam się robić potwornie głodna. O, widzisz, zaczęłyśmy sobie rozmawiać, ciekawe kiedy zaczniesz we mnie stukać od środka... Na tę myśl Matylda gotowa była zawrócić do gabinetu i zasypać doktora całą masą pytań, które jakoś w trakcie wizyty w dziwny i niewytłumaczalny sposób ulatywały jej z głowy. Nie, sprawdzi w necie, a na przyszłość będzie sobie zapisywać pytania.

Mieszkanie wydawało się ciche i puste. Zbyt ciche. I zbyt puste.

Po dłuższym pobycie w rodzinnym domu, tutaj odnosiło się wrażenie, że to nie jest zamieszkane miejsce tylko jakaś ekspozycja. I to też raczej mało fantazyjna. Brakowało ozdób, bibelotów, w których zamyka się zazwyczaj wspomnienia. Książki stały w przepisowym porządku, wielkością równiutkie sobie co do jednej. Obok stojak z płytami, poukładanymi według kategorycznego podziału na zespoły: okres wydania, polskie, zagraniczne, rock, metal, ballady, jazz.

No i kolorystyka. Co właściwie nią kierowało przy wyborze? Brązy, beże, szara ściana. Jedna, tak dla kontrastu do jasnobeżowego zestawu wypoczynkowego. Reszta nieskazitelnie biała. Nagle naszło Matyldę, żeby wziąć jakiś flamaster i maznąć tu szlaczek, tam jakiś obrazek, cokolwiek.

Wzdrygnęła się i spojrzała na Marilyn uśmiechniętą słodko znad

rozpostartej spódnicy.

– Zmienimy wszystko. Nie bój się, ciebie nie ruszę. Ciebie za bardzo lubię, zostajesz. A teraz bierzemy się najpierw do jedzenia, a później do przeglądania prasy. Ogłoszeń, ściśle rzecz ujmując. O, znaczy jest nas tu teraz cały babiniec? Aż trzy sztuki. Albo troje, nieważne. Niedługo będzie nas jeszcze o jedną więcej. Jakoś wytrzymamy, nie?

Ani Kruszyna, ani jejmość z plakatu nie odezwały się jednak ani słowem.

Niedługo przemówią.

Jedna przynajmniej.

* * *

– Cześć, Magda, jesteś w domu? – pod wpływem impulsu, w poszukiwaniu najbliższego ramienia, na które będzie można wylać kolejne łyzy – przekłete hormony – zadzwoniła do świeżo odzyskanej koleżanki.

– Matylda! Już miałam się do ciebie wybierać, a powiem ci, w nosie miałam, czy chcesz, czy nie chcesz. Bo to nienormalne, wiesz? Ot tak, odpaliłaś taki ładunek wybuchowy i ucichłaś... nie wiem, czy on cię na przykład nie drasnął...

– Drasnął i to potężnie – Matylda wbrew sobie roześmiała się z ulgą. Ona, w przeciwieństwie do Magdy, długo się zastanawiała, czy dzwonić czy nie. Co z tego, że bajecznie im się gadało wtedy, na spotkaniu klasowym. Wiadomo, człowiek był pod wpływem atmosfery wspomnień, przeważnie sympatycznych, bo i niby po co wspominać niesympatyczne? Poza tym spożyte w potężnych ilościach procenty też cudownie sprzyjały otwartości. Ale teraz? Ot, tak na gruncie codziennym, zadzwonić ni stąd ni zowąd do niewidzianej kupę lat koleżanki, co z tego, że kiedyś tam bliskiej? I co, wypłakiwać jej się na ramieniu? Matylda sprzed dwóch miesięcy w ogóle by

się na to nie zdobyła. Ba, w ogóle by jej to do głowy nie przyszło. Bo niby z jakiej racji? Ludzi miała naokoło, zresztą czasu wiecznie brakowało nawet dla tych dostępnych, a szlochnąć sobie mogła raz na jakiś czas w poduchę, po co więc? Ale tamta Matylda odrobinę przejrzała na oczy. – To jak, jesteś w domu?

– A gdzie mam być? Matka wychowująca dzieci, kobieta oddana bez reszty, jasna cholera, piastowaniu domowego ogniska? Dawaj, wstawiam wodę... hm, na herbatę, co?

– Jak łyknę sobie kawki, może się dzidzia nie oburzy. Idę.

Włożyła jasne, luźne bojówki i krótką koszulkę, przyglądała grzywkę i po chwili pukała już do drzwi parę bloków dalej. Magda faktycznie nie bawiła się w żadne ceregiele, bo rzuciła się ją ścisnąć już od progu.

– Nareszcie! Ty nawet nie wiesz, jak tu jesteś potrzebna.

– Jak to? – Matylda spojrzała z lekka skonsternowana, to nie ona przyszła po pocieszenie czasami?

– No normalnie, włącz. Przecież ja dostaję już kociokwiku, całymi dniami siedzę w domu i nie mam do kogo ust otworzyć. Znaczy nie – Magda potarła podbródek – otworzyć to mam, ale żeby o czymś sensownym pogadać, to zapomnij.

Gdzieś z wnętrza mieszkania doleciał je potężny łomot.

– Albo się zabiła, albo rozwaliła jakiś mebel, albo jedno i drugie – Magda zastygła, wsłuchując się w głuchą ciszę. – Chodź, poznasz moje dziecko. Ewcik, żyjesz?

Ruszyły na poszukiwanie sprawczyni donośnego huku. Matylda z wyraźnym niepokojem na twarzy i z przemożną chęcią ucieczki. Po co w ogóle tu przyszła? Zdąży się przecież jeszcze napatrzeć na rozrabiające dzieci, czyż nie? Na dobrą sprawę nie miała ochoty w ogóle oglądać

jakichkolwiek dzieci. A na pewno nie dzieci, które są w stanie zdemolować mieszkanie i targnąć się na własne życie. Co to, to nie. Może sobie najwyżej popatrzeć na zdjęcia, o tak. Na zdjęciach dzieci nie wrzeszczą, nie przeszkadzają w rozmowie, nie rozwalają czego popadnie. Już, już miała zawracać w kierunku przedpokoju, gdy jej oczom ukazał się rozbrajający widok.

Z kuchennej podłogi, w wyraźnym pośpiechu, mała, okrągłutka dziewczynka zbierała czekoladowe cukierki. Zbierała je bezpośrednio do buzi, tyłając koszulkę, spodenki i wszystko, czego tylko dotknęły umazane czekoladą małe paluszki. Obok niej leżał przewrócony wysoki stółek i piętrzył się stos blaszanych misek, najwyraźniej pośredni sprawcy rumoru.

– Patrz, żyje. To moje młodsze dzieciątko – sapnęła Magda. Na widok mamusi, dzieciątko przyspieszyło jeszcze bardziej ruchy i wpakowało sobie do ust, tak na oko, z pół kilograma cukierków. – Daj tu buźkę. Wszystko z powrotem poproszę.

– Błeeeeughhh.

– Nie dyskutuj, tylko oddawaj – Beata podetknęła córce dłoń pod usta.
– Nie można czekolady, wiesz przecież, będzie cię bolał brzuch i znowu trzeba będzie brać te paskudne lekarstwa.

Na takie dictum dziecko posłusznie wypluło zawartość buzi. Nie, jednak nie pół kilograma, a kilogram, stwierdziła Matylda, przyglądając się temu z osłupieniem.

– A ty co, dziecko odchudzasz? Czy nie chcesz, żeby jej się zęby popsuły? – uznała za stosowne zaznaczyć wreszcie swoją obecność, dziewczynka tymczasem przyglądała się jej ciekawie.

– A gdzie tam odchudzam, do niedawna zażerała się bez umiaru, ale okazało się... tak ze dwa dni temu, że jest całkiem potężnie uczulona na

czekoladę. No i patrz, nijak tego przyswoić nie może.

– Może – odpowiedziało dziecko rezolutnie.

– Nie może. Bo gdyby mogła, to by nie łąziła po wszystkich stołkach i nie grzebała w szafce, tak czy nie?

– Tak – zgodziła się Ewunia, zlizując cichcem z paluszków pozostałości po uczcie i korzystając z tego, że mama zajęła się zbieraniem misek.

– A w ogóle to skąd wiedziałaś, że tam są? Córeczko, przecież mogłaś spaść, krzywdę sobie zrobić, nigdy więcej...

– Tego nie żłobię – dopowiedziało dziecko grzecznie i zabrało się do wysysania spodenek.

– Do łazienki marsz – Magda stanęła jeszcze w progu kuchni i obrzuciła krytycznym spojrzeniem szafki. – Jak ona tam dola – zła? Hm, alpinistka rośnie.

A później, później już o dzieciach nie było. Było o wszystkim. Pośmiały się trochę z reszty zdjęć, przebrnęły w wielkim skrócie przez lata rozłąki. Kto z kim, dlaczego i kiedy, po czym doszły do ostatnich wydarzeń, głównie tych, w których rolę pierwszoplanową odegrała Matylda. Nie wiadomo, kiedy opowiedziała Magdzie o wszystkim, ze szczegółami.

– Żartujesz? Ja bym, ja jej... – nie mogła przetrwać zachowania Weroniki.

– Co ty byś jej?

– No nie wiem, nie myślałaś, żeby odplacić jej tym samym? Cholera, nie wiem, rozpuścić plotkę, że ona jest w ciąży?

– Daj spokój – Matylda machnęła ręką – co by mi to dało?

– Jak to co? Satysfakcję, rozprawiliby się z nią tak samo jak z tobą.

– Ale po co? Powiedz mi, w jakim niby celu miałabym kopać pod nią

dołki?

– W takim samym celu jak ona pod tobą. Nie miała najmniejszych skrupułów co?

– Ano nie miała.

– No widzisz, wyleciałyby z pracy i może by jej to na dobre wyszło, nigdy więcej nie zrobiłaby nikomu takiego świństwa. Albo przynajmniej dwa razy by się zastanowiła.

– No właśnie. W najlepszym przypadku – Matylda podwinęła nogi pod siebie i oparła się wygodniej w fotelu. – Pewni ludzie się nie zmieniają, najwyżej zrobiłaby sobie lepsze zaplecze. Nie, Magda, ona z tego żyje. Teraz dopiero widzę dwulicowość tych moich przyjaciółek od siedmiu boleści. A że przykro? Pewnie, że mi przykro, ale najbardziej z tego powodu, że byłam zwyczajnie ślepa.

– A... Paweł? Nie odezwał się, mówisz? – Magda obracała w dłoniach jakiś porzucony samochodzik.

– Nie.

– No i co zamierzasz z tym zrobić?

– Nic. Powiedziałam mu, to wszystko, co mogłam zrobić. Teraz piłeczka po jego stronie boiska – na to porównanie coś ukłuło Matyldę boleśnie w okolicy piersi. Nie tak dawno obserwowała swojego mężczyznę podczas niczego innego jak właśnie przerzucaniu piłki z jednej strony boiska na drugą. – Co, mam go zmusić? Jak niby? No i jaki to będzie miało sens? Szantaż? Nie. Teraz muszę się skupić na sobie. Na nas – poklepała się po brzuchu.

– Skupiaj się, ale, wybacz wścibstwo.

– No pytaj.

– A kasa skąd? Będiesz miała z czego, z czym planować tę

przyszłość?

– No właśnie. Nie śmiej się tylko, muszę znaleźć pracę. Jakąkolwiek. W najgorszym przypadku wrócę do domu, będę pomagać mamie w prowadzeniu pensjonatu. Albo – dodała ze słabym uśmiechem – zatrudnię się u Patryka.

– Oooo – Magdzie rozbłyły oczy – to jest pomysł. Z niego byłby tatuś – marzenie. Spokojny, łagodny, że o aparycji nie wspomnę, czy ty wiesz, jakie cudne by wam się rodziły następne dzieci? Miód, malina!

– Przestań, już mama próbuje mnie z nim wyswatać.

– No i bardzo dobrze, dołączam do niej. Ewa, dziecko, co ty tam robisz? – zainteresowała się nagle, wstając z kanapy. – Za cicho jest, co?

– Nie wiem, nie znam się na tym – rzuciła Matylda za nią, po czym szepnęła cicho do siebie: widzisz, problem w tym, że chyba jednak kochamy tego naszego prawdziwego tatusia.

Prawdziwy i kochany tatuś tymczasem był na etapie oskarżania Matyldy o aktualny stan rzeczy. Ilekroć przypominał sobie moment, w którym była łaskawa poinformować go, że wszystkie jego plany... no właśnie, jego plany. Miały być ich, no i co? Nagle zachciało jej się macierzyństwa. Tak więc, ilekroć wyobraźnia podsuwała mu przed oczy obraz wyszczuplałej mocno Matyldy, dostawał drgawek. Ze złości.

No właśnie. I jak się zachowywała? To nie była kobieta, którą pokochał. Jego Matylda zawsze była pogodna, uśmiechnięta, dowcipna. Owszem zdarzało się, że zmęczona, ale jak bardzo zmęczona by była, nigdy nie słyszał z jej ust takiej ironii, takiego sarkazmu jak wtedy. Jak to ona powiedziała, aha, że powinna zagrać w totka, mając takie szczęście. Paweł sarknął do przewracanych papierów, na co głowy dwóch niemieckich kolegów podniosły się niezwłocznie. Czy Paweł ma jakieś uwagi?

Nie, Paweł nie ma. Z trudem przywołał na twarz uśmiech. Wszystko klar.

Oblicza, uśmiechnąwszy się w odpowiedzi, powędrowały z powrotem do przerwanej pracy.

I to teraz, w kluczowym momencie jego kariery. Jak ona to sobie wyobrażała? Że co? Padnie przed nią na kolana, rzuci wszystko i da się zaciągnąć do pieluch? A właśnie, za co niby mieliby te pieluchy kupić?

Nie zapominaj, że ona straciła pracę. Sama jest sobie winna – coś podszeptało mu złośliwie, ale czym prędzej przepędził tę myśl.

Do tanga trzeba dwojga – zaszemrało mu przy uchu ni z gruszki ni z pietruszki. Odsunął papiery na bok zdecydowanym ruchem. No nie, a teraz jeszcze przez nią skupić się nie może. Szlag by trafił wszystkie kobiety świata i ich podstępne pułapki. Odpalił laptopa i zaczął ściągać pocztę. A co najśmieszniejsze oczekiwał, nieprzerwanie od tygodni już, maila od Matyldy.

Żeby móc wylać swoje żale.

Wtedy nie mógł, bo go najzwyczajniej w świecie wprowadziła w stan permanentnego szoku, a tym samym pozbawiła zdolności racjonalnego myślenia. A co dopiero mówienia. Gdyby napisała cokolwiek, choćby zwykle cześć, jak idzie zdobywanie germańskiego rynku, czy coś w tym stylu.

Matyldy stylu.

Miałby pretekst, a tak?

Przeleciał szybko wzrokiem po nagłówkach wiadomości, później po nadawcach. Nic. No właśnie, jej nawet nie interesuje, jak daje sobie tutaj radę. Nie, ona już tylko myśli o jednym. Pewnie nawet kompletuje ubranka, czy co tam się kompletuje, w przypadku narodzin dziecka.

Wzdrygnął się i zaczął przeglądać maile z dowcipami. Ot, tak, parę spamów dla rozładowania napięcia.

„Pani przedszkolanka pomaga dziecku założyć wysokie, zimowe butki. Szarpie się, męczy, ciągnie... – No, weszły! Spocona siedzi na podłodze, dziecko mówi:

– Ale mam buciki odwrotnie... – Pani patrzy, faktycznie! Więc je ściągają, mordują się, sapią... Uuuf, zeszły! Wciągają je znowu, sapią, ciągną, ale nie chcą wejść Uuuf, weszły! Pani siedzi, dyszy, a dziecko mówi:

– Ale to nie moje buciki... – Pani niebezpiecznie zwięzły się oczy. Odczekała i znowu szarpie się z butami... Zeszły! Na to dziecko:

– ... bo to są buciki mojego brata, ale mama kazała mi je nosić. – Pani zacisnęła ręce mocno na szafce, odczekała, aż przestaną jej się trząść, i znowu pomaga dziecku wciągnąć buty. Wciągają, wciągają weszły!

– No dobrze – mówi wykończona pani – a gdzie masz rękawiczki?

– W bucikach”

Fatum jakieś! Paweł trzasnął ze zgrozą otwartą dłonią w biurko. Zmówili się wszyscy, nawet Darek. Serdeczny kolega z pracy, miłośnik futbolu, niezrównany kompan do sobotnich wypadów. Co mu przyszło do głowy, żeby takie maile wysyłać? Że niby śmieszne?

Przysiągł sobie skupić się na pracy, tylko i wyłącznie na pracy. Nic innego nie dopuszczać do głowy.

Swoją drogą, mogłaby chociaż napisać, jak sobie daje radę...

Z dawaniem rady, czegokolwiek by to znaczyło w pojęciu Pawła, było bardzo różnie. Jednego dnia Matylda budziła się zupełnie zrezygnowana i jedyne, na co miała ochotę, to bryknąć się z powrotem w miękką pościel i przewegetować aż do wieczora. Udawać, że to zły sen. Poczekać wreszcie

na prawdziwe przebudzenie.

Drugiego zrywała się bladym świtem i zaopatrzona w różne chemiczne akcesoria do sprzątania, biegła po domu i czyściła nieskazitelne powierzchnie z zapamiętaniem. Aż do zdarcia lakieru, drewna na blacie, farby. Po czym zasiadała z kubkiem zimnej herbaty z miętą i cytryną nad kolejnymi ogłoszeniami, po to tylko, żeby po raz kolejny uświadomić sobie, że zrealizowanie założonych zamierzeń graniczy niemalże z cudem.

– Kiedy zaczniesz cię być widać, Kruszyno? – Matylda stanęła przed lustrem w przedpokoju, bacznie lustrując swój płaski brzuch. Pobiegnęła do pokoju, wmontowała sobie poduszkę pod sukienkę i stanęła bokiem. – Tak będę wyglądać. Boże jedyny, niedługo tak będę wyglądać.

Odrzuciła poduszkę precz i patrząc prosto w oczy tej zdesperowanej Matyldzie w lusterku zaobserwowała łzy. Toczyły się bezgłośnie po policzkach, twarz kobiety nie wyrażała żadnych emocji, nie robiła grymasów. Ot, po prostu sobie płakała.

A jak już sobie wystarczająco długo popłakała, poszła po lody do zamrażalnika.

Srrrrraciatella, a co, mruknęła do siebie, i srać też na wszystko.

– Magda? Cześć, mówi Patryk.

– Patryk... aaaaa, Patryk, no cześć – Magda ramieniem przycisnęła do ucha słuchawkę. Ewa właśnie za nic w świecie nie chciała zrozumieć, że flipsy z kisiem truskawkowym to jedyne, na co może sobie pozwolić w przerwie między zupą a drugim daniem. Znaczący, ona sobie mogła pozwolić na wszystko, a jakże, najchętniej na lody czekoladowe z czekoladową polewą i wiórkami czekolady dla uzupełnienia. To raczej mama, okrutna, niedobra mama, nie chciała jej pozwolić. A flipsy niech sobie sama je. Po czym Ewczik machnąwszy pulchną rączką, niby to nieuważnie, wysterował

kubek z kisiem na dywan. – Szlag mnie zaraz trafi. Wyjdź mi stąd i nie proś o litość.

– Eee, to może ja zadzwonię później.

– Nie, gadaj, walczę z uczuleniem dziecka, czy raczej z samym dzieckiem. Pogubiłam się już – Magda wolną ręką zaczęła zgarniać czerwone gluty z podłogi. Błeee, sama by tego nie tknęła. Od dzieciństwa też miała wstręt do kisiu i jego konsystencji, dlatego chyba nie potrafiła być zbyt przekonująca. – No co tam?

– Ty jak zawsze, od razu do sedna sprawy. Ot, tak dzwonię – przyjemny baryton po drugiej stronie zabrzmiał jakby mniej pewnie.

– Kolego, znamy się. Nie dzwoniś przez piętnaście lat, bo jakby nie masz powodu, teraz też byś nie zadzwonił, gdybyś takiego powodu nie miał. Na pewno nie do mnie, haha – zaśmiała się szyderczo.

– Haha, zawsze do bólu szczerza. Niech ci będzie. Mam powód.

– Pozwól, że zgadnę. Powód ma wielkie, brązowe oczy, króciutkie włosy i całkiem przyjemnie wygląda. Mam rację?

– Magda!

– No co Magda, co Magda, zgaduję sobie, tak czy nie?

– Dzwonię w sprawie płyty ze zdjęciami, podobno ty masz... no dobra, co u Matyldy?

– Dlaczego pytasz? – Magda nie wiedziała, czy Patryk był poinformowany, a wcale jej się nie uśmiechało udzielać mu jakichkolwiek bliższych informacji.

– No, jak to dlaczego pytam? – aha, taki zdziwiony, że chyba jednak wie. – jestem ciekawy, jak się czuje, jak sobie radzi, no i w ogóle.

– Dobrze sobie radzi. Czuje też w porządku – powiedziała asekuracyjnie.

– I z żołądkiem też? Bo na początku ta ciąża dawała jej się nieźle we znaki – aha, wie. W porządku. Gluty ni grzmota nie chciały zejść z dywanu, może zostawić, niech wyschną, potem się zdrapie? Tylko Ewcię zagonić, zbuduje się z klocków jakiś murek, żeby ktoś nie wlaźł, bo przestrzeń do skrobania się nieznacznie powiększy.

– Teraz już jest w porządku. No mniej więcej, od czasu do czasu coś ją tam pogoni, ale generalnie, jak też marginalnie jest ok. Pracy szukamy.

– Wy szukacie?

– No my. Znaczą ja i ona. Dla niej. Chociaż mnie też by nie zaszkodziła, tak zupełnie nawiasem mówiąc. Praca by nie zaszkodziła. Wybacz Patryk, ale usiłuję właśnie dojść do ładu z dywanem i mogę mieć uwagę zaprzętą odrobinę nie tym, co trzeba.

– Dywanem, tak?

– Kisiem, nieważne.

– Nieważne. Ok. Słuchaj, bo ja w następnym tygodniu przywożę już tę całą Karolinę, z wielgachnym bagażem i tak sobie myślę, może w czymś mógłbym pomóc. Zostać, poszukać czegoś dla niej, nie wiem, cholera, martwię się o Matyldę.

To się z nią ożeń, pacnij na kolana, weź jakąś wiąchę do łapy i módl się, żeby cię przyjęła. Magda na końcu języka miała idealne rozwiązanie, ale w porę się zreflektowała. Dobry Patryś Skorpion jeszcze by się przeraził i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Wiadomo, do niektórych trzeba powoli, spokojnie, dać czas, dużo czasu, żeby dojrżeli do sprawy, a najlepiej podsunąć im rozwiązanie tak, żeby pewnego pięknego dnia spojrzeli w lustro i doszli do wniosku, że lepiej nie mogli wymyślić. Sami oczywiście.

Tylko że Magda w grach podchodowych nie była zbyt dobra. Była szczerą, waliła prosto, co jej leży na sercu, a subtelne rozgrywki damsko –

męskie, to było raczej zbyt kruche podłoże dla kogoś tak twardo stąpającego po ziemi.

– Przyjeżdżaj, zajrzyj do mnie, to niedaleko. Pogadamy, może coś wymyślimy. Tylko ja ci powiem szczerze. Myślałam już huk czasu i nic mi się konstruktywnego nie udało wymyślić, ponad to, że muszę szybciej myśleć. Bo, obiektywnie rzecz biorąc, powiedz mi, kto będzie chciał zatrudnić kobietę, która za ciut więcej niż pół roku zostanie mamą?

– Nooo... ja bym zatrudnił.

– Taaa? To otwieraj filię swojej ogrodniczej firmy w Warszawie i zatrudniaj Matyldę! – rzuciła bez namysłu.

– Może to nie jest głupi pomysł... A ona? Czyli dobrze się czuje? – Patryk najwyraźniej za wszelką cenę musiał zyskać stuprocentową pewność.

– Powiem ci tak, fizycznie coraz lepiej, psychicznie, jak na mój gust, ale co ja tam wiem, psycholog nie jestem, żyje na pół gwizdka. Rozumiesz? Tak jakby robi coś, ale myśli zupełnie o czym innym, mówi o jednym, a myśli o drugim, takie mam wrażenie.

Z kuchni dobiegł znajomy już łoskot.

– Cholera, muszę kończyć, przyjeżdżaj to pogadamy. Cześć. Ewcia! – Magda ryknęła na konto łoskotu. – Cukierki już gdzie indziej schowane!

* * *

Ciasto drożdżowe rośło sobie spokojnie pod lnianą ściereczką, a pani Zofia mieszając cynamon z cukrem, po raz tysięczny wyrzucała sobie bezmyślność. Jak mogła pozwolić dziecku wyjechać? Matylda powinna tu zostać, dopóki nie urodzi. Później jakoś by się wszystko poukładało, ale przecież ona teraz potrzebuje opieki. No, może nie opieki, ale towarzystwa kogoś kochającego. A tam? Kogo ona tam ma? Samiuteńka jak palec, tylko z rosnącą sobie cichutko, jak nie przymierzając to ciasto drożdżowe,

Kruszynką. Pani Zofia obruszyła się sama na siebie za to porównanie. No jakże to tak? Dziecko do ciasta przyrównywać? W każdym razie Matyllda tam jest sama jak palec, a to, że sobie od czasu do czasu pogadają przez telefon, to przecież nie to samo, co poczuć czyjaś obecność, ciepło drugiej ręki, czy ramienia.

Obiektywnie rzecz biorąc, pani Zofia codziennie dzwoniła do córki, niezmiennie jej proponując to przyjazd do rodzinnego domu, to znowu swoje odwiedziny na dłużej. Matyllda jednak delikatnie, ale stanowczo za każdym razem odmawiała. No i dlaczego ona taka uparta? Fakt, zawsze chciała wszystko sama. Od początku. Ja siama, mama, ja siama. Ale może czas najwyższy skorzystać z pomocnej ręki, tym bardziej, że ta ręka cały czas w gotowości. Wyciągnięta na całą długość, prościutka.

– Ty sama tam jesteś, dziecko – mówiła, nie dalej jak wczoraj.

– Nie jestem sama, mamu, jesteśmy we dwie.

– No jesteście we dwie, ale...

– Mamu, jeśli poczuję się samotna, kupię sobie psa czy kota. Nie będę cię odciągać od pensjonatu, od twojego życia, masz swoje, tak czy nie?

– Dziecko, moje życie to w dużej mierze wy, wiesz o tym, prawda?

– Dobrze, to może mi powiesz, jak się będziesz czuła na moim trzecim piętrze, w centrum miasta, pod oknem prawie mam tory tramwajowe, pamiętasz?

– Przeżyłabym.

– Ale jakim kosztem? Daj spokój, mamu miś, damy sobie radę – Matyllda stanowczo stawiała kropkę nad „i”.

– Dobrze, niech ci będzie. Karolina już się prawie spakowała.

– Przecież przyjeżdża dopiero za tydzień.

– No to co? Gotowa siedzieć na torbach dzień i noc. Myśli, że to

cokolwiek przyspieszy. Za każdym razem jak Patryk jest u nas, wypytuje go, czy na pewno nie zmienił zdania, czy ją zawiezie, czy się pomieści ze wszystkimi manelami. I tak bez końca.

– Oj matulu, matulu, wykorzystujecie tego dobrego człowieka.

– A gdzie tam. On prawie jak rodzina, zresztą sam zaproponował.

Po cichutku pani Zofia piastowała w sobie nadzieję, że się córka obudzi do reszty, przejrzy na oczy i z powrotem wpuści do serca tego dobrego człowieka. Dobrego, no i co tu dużo gadać, przystojnego.

Ech.

– Co tak wzdychasz? – z zamyślenia wyrwał panią Zofię dociekliwy głos młodszej córki. Ta zawsze musiała wszystko wiedzieć. Wnikać w czyjeś myśli, a najlepiej, żeby te myśli właśnie o niej były. O Karolinie. Znowu się obruszyła sama na siebie, nieładnie o własnym dziecku tak choćby przez chwilę pomyśleć.

– A, nic. Martwię się o Matyldę – ciasto już wystarczająco urosło, więc pani Zofia przełożyła je delikatnie na stolnicę.

– Nie martw się. Ja niedługo jadę, zaopiekuję się nią – Karolina przysiadła na stołku i podwinawszy nogi pod siebie, przyglądała się matczynym rękoma.

– No i widzisz, to mój kolejny powód do zmartwień.

– Dlaczego? A to masło to nie za gorące?

– Znaczniki się znalazła, widzicie ją, nie, takie akurat, teraz trzeba dokładnie rozsmarować...

– A później cynamon z cukrem. Dlaczego kolejny powód? Przecież ja się naprawdę nią zaopiekuję. Będziemy chodzić do kina, pokaże mi miasto, do teatru mnie zaprowadzi.

– Aha, rozumiem to tak ma wyglądać twoja opieka nad ciężarną

siostrą?

– No, a jak ma wyglądać? – Karolina śledziła cały czas ręce mamy, zwijające z niebywałą precyzją wielgachny rulon z drożdżowego ciasta. – Odciągnę jej myśli.

– Ty nie masz dziecko odciągać jej od czegokolwiek, ty masz jej pomagać.

– Oj mammo, no to będę. Nie ona pierwsza w ciąży i nie ona ostatnia, sama sobie poradzi w końcu. Z resztą, ja się zajmę studiowaniem. Po to chyba tam jadę, tak? Nie po to, żeby niańczyć kogokolwiek... – tu Karolina urwała pod miazdzącym spojrzeniem matki i natychmiast się zreflektowała. – Oj mama, tak sobie gadam. Nie martw się. Dobrze będzie. To ja na buły się później piszę – po czym otrzepawszy przykuse spodenki, znad których gdzieniegdzie wylewało się to i owo, pobiegła do siebie.

No właśnie. To zdaje się ma potoczną nazwę. Tak, pani Zofia zdecydowanie pluła sobie w brodę za podjęcie pochopnej decyzji. Zamieszkałaby sobie Karolina w akademiku i byłby święty spokój. Chociaż z nią nigdy nic nie wiadomo, ech. Mogłaby się siostrze odwdzińczyć. Przecież Matylda od szczenięcych lat ją praktycznie wychowywała. Dorastająca już panna, której po głowie krążyły pierwsze miłości, która na dobrą sprawę oprócz uczenia się, powinna biegać na spotkania z koleżankami, zmieniała ot tak, sama z siebie pieluchy... zaraz, zaraz, czy aby na pewno sama z siebie? Pani Zofia zastygła z surową bułką w ręku. Czy to czasami nie należało do obowiązków Matyldy? Zajmowanie się siostrą? Cynamon kapnął z pretensją na podłogę, więc pani Zofia czym prędzej dorzuciła ostatnią bułkę na blachę, zamknęła piekarnik i klapnęła na stołek całym ciężarem swoich osiemdziesięciu, bez mała, kilogramów.

Czy to możliwe? Zła na wybiórczą pamięć z tamtego okresu, uderzyła

ręką w stół. Na pamięć niewiele pomogło, na chmurę dymu z pozostałej mąki i owszem. A może faktycznie tak było? Może ona, późna mama, scedowała wszystkie, no, wyjąwszy karmienie piersią, obowiązki na starszą córkę i w efekcie wywołała takie, a nie inne jej nastawienie do wczesnego zamążpójścia? Niechęć do dzieci, do rodziny, pęd tylko za dobrami materialnymi?

Na mące powstawały okrągłutkie esy floresy, bo nawet esy floresy w wykonaniu pani Zofii musiały być nie inaczej jak właśnie okrągłutkie, a w jej głowie myśli goniły jedna za drugą. Wszelkie możliwe myśli, które mogłyby w jakikolwiek sposób pobudzić wspomnienia.

Matylda malująca się na jakąś prywatkę na podłodze, o, stop, na imprezę. Tak oni mówią, czy tam mówili. Mniejsza. Karolina przy niej, w leżaczku, wystarczająco blisko, żeby móc sięgnąć do malowideł. Patrzyła jak urzeczona na świeżo otrzymane pędzelki, na błyszczące opakowanie pomadki, rozszerzała malutkie nozdrza, wzdychając z lubością zapach znany każdej kobiecie.

Zapach kosmetyków.

A Matylda... Matylda przecież jej to wszystko pokazywała, z uśmiechem tłumaczyła, sama ciesząc się niedawno nabytą umiejętnością robienia sobie makijażu...

Dobrze, to może pani Zofia powiedzieć ze stuprocentową pewnością. Nigdy nie było takiej sytuacji, żeby zabroniła starszej córce gdzieś wyjść ze względu na młodszą.

– A co ty tak siedzisz, Zosiu, w tej mące? – przez wspomnienia przebił się głos małżonka i jego pyzata, zatroskana gębula.

– Stało się coś?

– Nie, dlaczego miało się coś stać? – rozejrzała się, przytomniejąc

szybko. Na stole i naokoło niego było pełno mąki, a z piekarnika dolatywał już bardzo intensywny zapach bułek z cynamonem. Chyba odpłynęła.

– Bo tak siedzisz, tu bałagan, bułki już chyba dobre, a ty tak siedzisz, patrzę, od dobrych paru minut i mruczysz sobie coś pod nosem. Co się stało Zosiu?

– No tak, jak bałagan w kuchni to przecież ja nie mogę posiedzieć, prawda? – zgrzytnęła wbrew sobie do męża, sprawdzając bułki. Faktycznie, doszły już. Wprawnym ruchem zgarnęła je na półmisek drewnianą szpatułką, zmieniła papier, fajny ten papier, nie przypała się wcale, nie trzeba smarować, sypać. Tylko trach, położyć i już. Chociaż są ciasta, które bez maselka i tartej bułki nie smakują tak, jak trzeba. Ułożyła kolejną porcję drożdżówek i z westchnieniem zamknęła piekarnik, tradycyjnie jeszcze czyniąc znak krzyża. – Aj, widzisz Włodziu, czy ja czasem nie zmuszałam Matusi do opiekowania się tą naszą małą wydrą?

– A co też ci do głowy przyszło? Przecież ona sama się rwała, nie pamiętasz? Był taki czas, że każdą wolną chwilę spędzała z Karoliną i z tego, co pamiętam, a wierz mi, pamiętam ten okres bardzo dobrze, robiła to z własnej, nieprzymuszonej woli.

– Mówisz?

– Mówię. Pamiętasz, jak czytywała jej na głos, czekaj, co to było, aha, Dostojewski? Jak się zastanawiałaś, czy może takie małe dziecko już co nieco rozumie, że może to nie wyjść z pożytkiem dla niej? Albo jak rozwiązywała te swoje wszystkie zadania i pozwalała Karolinie bazgrać w swoich zeszytach?

– No pamiętam, ale...

– Nie ma żadnego *ale*, Zosiu. Twoje starsze dziecko do niczego nie było zmuszane i broń Boże, niczego sobie nie wyrzucaj. Naprawdę, nie

masz powodu. Czy ja już mogę tę bułeczkę? – pan Włodzimierz nieśmiało wyciągnął dłoń w kierunku półmiska.

– Nie możesz. Gorące drożdżowe szkodzi – pacnęła go po dłoni. – Karolina! Posprzątać trzeba!

Po czym wyszła na dwór w pełni świadoma, że ta dwójka wejdzie w komitywę, obezre się do nieprzytomności gorącymi bułkami i później obolała będzie się dopominać mięty.

Matylda oparła ręce o szafkę, a czoło przyłożyła do lustra. Z rezygnacją i poczuciem totalnej beznadziei.

Piąta rozmowa.

Ten sam efekt.

Skontaktujemy się z panią.

Nie kontaktowali się jednak, bo średnio, jeśli w ogóle, przyszłościowy był z niej pracownik.

Odkleiła się od lustra i ruszyła w kierunku kuchni. Na środkowej półce lodówki, w bliskim sąsiedztwie wędzonej makreli stał sobie okazały kawał tortu. Śmietanowo – chałwowego. Sprawiała go sobie wczoraj z dziką satysfakcją, że przecież wcale nie potrzebuje jakiejś specjalnej okazji, żeby sobie kupić tort. Głupia sprawa przyzwyczajenie, że jeśli tort, to tylko z okazji urodzin, rocznicy, czy tego typu podobnych imprez.

Guzik prawda.

Ma ochotę na wielki kawał tortu, więc go sobie kupi i cześć pieśni. Nie czekając na żadne specjalne okazje, wymagające uczczenia tymże właśnie specjałem. Więcej niż połowę pochłonęła wczoraj, jadła dopóki jej nie zemdliło, a i wtedy jakoś nie mogła się pozbyć dzikiego poczucia satysfakcji. Dobra sprawa taki tort.

Nalżyła sobie okazały kawał na duży talerz, nalęła zimnego mleka z

kartonu i usiadła w dużym pokoju naprzeciwko milczącego telewizora.

Po pierwsze, trzeba sprawdzić stan konta i dokonać jako takiej symulacji wydatków. Powinna się za to wziąć dużo wcześniej, ale... się nie wzięła.

Po drugie, wypadałoby jakoś ukoić nerwy przed następną rozmową o pracę, bo gotowa jeszcze zaszkozić Kruszyńce. Za każdym razem, przed wyjściem Matylda wmawiała sobie, że nie, absolutnie się nie denerwuje, zero stresu, jest przecież starym wyjadaczem i doskonale wie, jak się zaprezentować ewentualnemu przyszłemu pracodawcy.

Krnąbrny ostatnimi czasy organizm zdawał się jednak całkowicie przeczyć optymistycznym, czy aby nie nazbyt, myślom. Dłonie domagały się co chwila wytarcia, a żołądek odskakiwał jakieś rytualne tany, skacząc w górę i w dół w zgodnym z rytmem serca tempie.

A najgorsze, że nie była w stanie nic z tym zrobić. Kompletnie. Nothing.

I nie wiedziała, czy to czasami nie jest w tej całej porąbanej z wszechmiar sytuacji najgorsze.

– Matiiii! Jestem już, no powiedz, że się cieszysz, zaczynamy nowe życie siostrzyczko, cieszysz się? Powiedz, buzi – ni stąd ni zowąd przy Matyldowym obliczu zajaśniała uśmiechnięta i szczęśliwa twarz Karoliny.

– Buzi – powtórzyła Matylda mechanicznie, odstawiając talerz z niedojedzonym tortem na podłogę. – A co ty tu robisz?

– Jak to co? Przyjechałam przecież. Dzisiaj miałam być, to jestem. Paaaatryk, chodź, daj tu ten karton – w drzwiach stanęły wielgachne nogi, zwieńczone szarym kartonem.

– Cześć Matylda – przemówił karton, po czym nieznacznie się obniżył, ukazując niepewną twarz Patryka. Niepewną i trzeba dodać całkiem

w tej niepewności przystojną.

– Cześć – mruknęła.

– Mati, wstańże wreszcie z tej podłogi, tylko nie wleź w... co ty właściwie jadłaś?

– Torcik.

– Torcik?! Oszalałaś?

– A niby dlaczego, dobry torcik nie jest zły, ale tobie nie polecam.

– Czemu?

– Nie mówi się czemu, tylko dlaczego, bo paskudnie kaloryczny, hehe. Jakoś szybko przyjechaliście, a dzisiaj co za dzień właściwie mamy?

– Dzień naszego przyjazdu, małego – ucięła Karolina.

– Tam się przenieś od razu – Matylda wskazała ręką drzwi odchodzące od korytarza. – Pomóc w czymś?

– No co ty!

– No pewnie! – zabrzmiało jednocześnie z dwóch stron. Oczywiście Karolina nie wzgardziłaby pomocą ciężarnej siostry, ale Patryk zdecydowanym ruchem usadził Matyldę w fotelu.

I tym oto sposobem spokój został utracony, zdaje się bezpowrotnie. Z małego pokoju zaczęły dobiegać donośne dźwięki jakiejś techniwki, do której wtóru Karolina zmagala się ze swoim dobytkiem. Co chwila wpadała do pokoju Matyldy i domagała się najróżniejszych rzeczy. A to poduszek, a to jakiejś półki, Patryk jeszcze jest, mógłby przykręcić, a jej książki przecież się na tym małym regaliku nie zmieszczą, a to czegoś do jedzenia, bo zgłodniała. Może Matylda poszłaby po jakieś zakupy, bo tam w lodówce tylko ten tort, jakiś mizerny jogurt, no i ryba. A ona zaufania do tej ryby nie ma.

– Hola, hola – Patryk poczuł się wreszcie w obowiązku

interweniować, tym bardziej, że Matylda siedziała jak zamroczona – a może byś tak, Karolina, poszła pozwiedzać okolicę i przypadkiem sama wpadła do sklepu?

– Ja? Przecież ja nie wiem, gdzie tu sklep – zaproponowała sprytnie.

– To się dowiesz. Wybacz szczerze, ale duża z ciebie dziewczynka i raczej nie powinnaś się zgubić, a jakby co, adres zdaje się znasz, co?

– Dobra, dobra, polecę – po czym bezceremonialnie wyciągnęła rękę w kierunku siostry.

– Czego? – wybąkała Matylda.

– No jak to czego? – brwi Karoliny teatralnie podjechały do góry. – Do sklepu idę, tak?

– To co, mam ci dać kartkę na zakupy, czy jak?

– Czy jak?! Obudź się siostrę i kasę daj.

Zaopatrzona wreszcie w pieniądze i instrukcję, jak dojść do sklepu, wyleciała, trzaskając głośno drzwiami. Matylda się skrzywiła.

– Szczerze?

– Szczerze, kawy ci jeszcze dorobić?

– Nie, dzięki. Ja się właśnie poważnie zastanawiam, czy jej Z powrotem nie zabrać – Patryk podrapał się w brodę. – Zawsze taka?

– Od urodzenia. Jakoś będę się musiała przyzwyczaić.

– Matylda, przecież ona tutaj takie rzędy wprowadzi, że ty nie daj Boże ze trzy miesiące wcześniej urodzisz – palnął bez zastanowienia, rejestrując jednocześnie, że niewiele to Matyldę obeszło.

– Jakoś się przyzwyczaję – powtórzyła cicho – znam ją, Patryk, nie od dziś.

– No, właśnie widzę. Pytanie tylko czy sobie poradzisz. Idiotyczna sprawa, ale zdaje się, że twoją siostrę wypadałoby wreszcie wychować. Nie

żebym stawiał jakiegokolwiek zarzuty pod adresem twojej mamy, cud kobiety.

– Życie ją wychowa, a ja nie dam po sobie jeździć, spokojna głowa. Muszę się tylko przestawić na jej obecność tutaj, pozaznaczać terytorium, podzielić obowiązki, ustalić reguły i zasady koegzystencji. Cholera, dużo muszę – zreflektowała się nagle.

– Matyllda, czy ty... czy ty nie zastanawiałaś się nad powrotem do domu?

– Zastanawiałam. Tu jest mój dom Patryk.

– A zastanawiałaś się, jak sobie poradzisz sama?

– Muszę i koniec. Nie wałkuj ze mną wszystkiego tak jak moja mama, proszę cię.

– Nie chcę wałkować, chcę ci tylko dać do zrozumienia, że tam... masz na kogo liczyć.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale mam wrażenie, jakbyś ją co najmniej cytował. Moją mamę właśnie.

– Ale ja nie mówię o twojej mamie. – Patryk przestał wreszcie obracać w wielkich dłoniach kubek i spojrzał na nią znajomym wzrokiem, takim samym jak przed laty, wzrokiem wiernego psa. Czy to możliwe? Czy tylko jej się wydaje? Nie, to niemożliwe, minął zbyt długi kawał czasu, żeby pewne rzeczy pozostały niezmiennie, a jednak to spojrzenie było takie samo, może bardziej głębokie. Wtedy nie miało otoczki ze zmarszczek mimicznych, ale wyraz oczu identyczny. – Chcę tylko, żebyś wiedziała, że ja też tam jestem.

– Wiem – odparła zdawkowo, odrywając z trudem wzrok od jego twarzy.

– Więc... może... – pochylił się nad nią i wyciągnął dłoń w kierunku jej brody.

Łup.

– No jestem. Kupiłam chipsy, dwa szybkie makarony, tak, tak, o tobie siostrze też pomyślałam, dwa gorące kubki i piwko na wieczór. Ha, ludzie, nie wierzę, zaczynam studenckie życie!

– Karolina rzuciła wszystko do dużego pokoju, po czym poleciała z powrotem do siebie, skąd w ułamku sekundy doleciały znajome już dźwięki.

– To koszmar jakiś jest... – sapnął Patryk wytrącony na dobre z równowagi, a tym samym z nastroju do zwierzeń.

Po raz pierwszy w życiu Matylda była wdzięczna siostrze za jej pojawienie się dokładnie wtedy, kiedy... nie trzeba.

A później, wieczorem, odbębniwszy trzy małe wojny: o zmywanie, o kosmetyki w łazience i puszczenie muzyki na full w każdej minucie dnia, położyła się na łóżku i zaczęła myśleć. Bardzo intensywnie. O Patryku.

Nie dawało się ukryć, że potrzebuje faceta. Pomijając czułe słówka, przypadkowe cmoki na dzień dobry i do widzenia, najzwyczajniej w świecie brakowało jej faceta tutaj. W sypialni. I właśnie dzisiaj Patryk jej to w pełni uświadomił. Sposób, w jaki zareagowała na jego dotyk, nie dawał się pomylić z niczym innym. Ot, zwykły, najzwyczajniejszy pociąg fizyczny. Przyznać też należy, że nie było bez znaczenia to, jak się uroczy król Skorpion prezentował.

Matylda przewróciła się z boku na bok ze złością. I co z tego, że wyglądał bosko, pachniał tak samo i zachowywał się bez zarzutu? Znowu była zła na swoje ciało. Zareagowało bez udziału woli. Patrykowi brakowało jednej, najważniejszej rzeczy. Nie był tym, za którym tęskniła, który teraz powinien być obok i wzbudzać te wszystkie uczucia.

Ale go nie ma!

I przestań do cholery o nim myśleć!

A Patryk? Może faktycznie lepiej spojrzeć na to wszystko od strony zdrowego rozsądku? Wyjść sobie za mąż bez zbędnego balastu uczucia? Bo i po co on, ten cały balast? Tylko zamieszanie robi i sieczkę w głowie. A tak, proszę bardzo, była w stanie zupełnie na trzeźwo przeanalizować wszystkie za i przeciw związku z Patrykiem. A miłość? Dupa tam miłość, przyjdzie z czasem. A jak nie przyjdzie, to na pewno przyjdą inne rzeczy; przyzwyczajenie, szacunek, przyjaźń. I też będzie dobrze. Bo chemia przecież tak czy siak ulatuje...

Tylko jak jej powiedzieć, żeby sobie uleciała szybciej...?

Matylda sięgnęła do szuflady i z westchnieniem ułożyła sobie ostatni album na kolanach. Zdjęcia wywołała całkiem niedawno. Znalazła wreszcie chwilę czasu, ha, właściwie cały wieczór jej to zajęło, ale dzielnie przebrnęła przez cztery foldery z zawartością ostatnich trzech lat. Wybrała najlepsze zdjęcia, starała się ten wybór zminimalizować, jak tylko się dało, jednak efekt leżał teraz na jej kolanach całkiem opasły i dość ciężki.

Przejechała palcami po żłobionych na okładce albumu gerberach. Tyle lat razem, tyle wspomnień, a teraz co? Wystarczyło przekroczyć granicę i nagle okazywało się, że wcale nie zna tego drugiego człowieka? Który na dobrą sprawę ma ją głęboko w poważaniu, a jedynym, co go interesuje, jest jego własna kariera? A czym była ona, dodatkiem? Mało absorbującym, mało wymagającym, ale tylko i wyłącznie dodatkiem.

Chwila, przecież zależało wam na tym samym, przecież na pierwszym miejscu stawialiście oboje zawsze pracę...

A czy czasami nie było tak, że to Paweł miał ustalone priorytety, a ona tylko, jak marionetka skakała na pociąganych przez niego sznurkach?

Praca? Dobrze, kochanie, najpierw praca. Znaczymy coś w świecie, bądźmy najlepsi, nie dajmy się wykołować, a sami jednocześnie wykołujemy,

kogo tylko się da. Musimy być na szczycie...

Czy to naprawdę są moje cele?

Przerzuciła pierwsze strony. Oboje szczęśliwi, uśmiechnięci, opaleni. To z Egiptu.

Tutaj Paweł pomagał jej nieść plecak, równiutkie litery pod fotografiami informowały – Bieszczady, Wetlina. Uśmiechnęła się na wspomnienie zdobywania kolejnych szczytów, w trakcie jednego poślizgnęła się na kamieniach i zjechała dobrych parę metrów w dół. A później... o, to zdjęcie też jest. Matylda odwrócona tyłem, żeby lepiej zaprezentować ogromne placki błota na tyłku i plecach.

Wieczorem siedzieli przed wynajętym domkiem, sączyli sobie niespiesznie piwo i rozmawiali, wydawało jej się, że bez końca. Do świtu prawie, wschodu słońca.

Tylko o czym?

Nie pamiętała. Chyba o wszystkim.

Dwie krople spadły na uśmiechającą się ze zdjęcia twarz, więc czym prędzej zamknęła album.

Po czym powtórzyła sobie po raz tysięczny: – Muszę sobie poradzić sama.

Magda dłubała w ciepłutkim piasku łopatką. Dłubała i zastanawiała się, ile czasu jeszcze to wszystko wytrzyma. Nadszedł jeden z takich dni, kiedy to siedzenia w domu, ewentualnie na pobliskim placu zabaw, miała po dziurki w nosie.

Po wszystkie dziurki właściwie.

Od sześciu lat była niezmiennie albo na urlopie macierzyńskim, albo na wychowawczym, przy czym zdawała sobie świetnie sprawę, że jeżeli ten drugi się skończy, nie ma po co wracać do pracy. Przynajmniej do

poprzedniej pracy. Wiedziała, że papiery leżą już od niepamiętnych czasów skompletowane i pani prezes czeka tylko, aż Magdzie skończy się czas ochronny, kiedy to będzie mogła ze spokojnym sumieniem i w świetle prawa

wywalić ją na zbity pysk. Potrzebowała do tego jedynie drobnego pretekstu.

Ale nie to spędzało Magdzie sen z powiek.

Brakowało jej ludzi, problemów innych niż to, co ugotować na obiad albo które pranie wstawić. Kolorowe czy białe, a może sieknąć wszystko jak leci do pralki i ubarwić sobie choć trochę szaroburą egzystencję.

Hm, ciekawe, co powiedziałyby Darek. Może łaskawie obudziłyby się wreszcie ze swojego letargu, choćby po to, żeby się na nią wydrzeć. Bo mąż nieodmiennie wracał z pracy późnym wieczorem, po czym cmoknąwszy dzieci i żonę w co popadnie, oddawał się całkowicie i bez reszty nowemu telewizorowi. Kiedy ostatnio rozmawiali? Magda nie pamiętała. Cały czas usiłowała sobie wytłumaczyć, że on pracuje, jako jedyny właściwie zarabia na utrzymanie czteroosobowej rodziny, bo nie można przecież liczyć tych marnych groszy, które ona dostawała za opiekę nad dzieckiem. I były chwile, kiedy przyjmowała istniejący stan rzeczy ze spokojem i nietypową dla siebie bezradną rezygnacją.

Ale coraz rzadziej się pojawiały. Te chwile.

Do uszu Magdy doleciał najpierw płacz, a później piskliwy głos przesiąknięty pretensją.

– To pani córka? Na co pani tak patrzy? Nie może pani zwrócić dziewczynce uwagi? Przecież ona bije mojego syna – jedna z mam oderwała się od ławki i ruszyła na odsiecz synowi.

– Na świat patrzę – burknęła Magda, coś tam wprawdzie kątem oka i

świadomości zarejestrowała, ale wychodziła z założenia, że dzieci sobie poradzą i nie ma sensu im się wtrzywać bez potrzeby. Niech się uczą od małego radzić z problemami. – Chyba nic złego się nie dzieje? Ewa, dlaczego bijesz chłopca?

– Bo mi zabrał łopatkę i nie chce oddać – Ewa przerwała rytmiczne opukiwanie głowy kolegi.

– Ja mam twoją łopatkę – Magda na poparcie słów podniosła dowód rzeczowy do góry, po czym podrzuciła córce.

– Oooo, mama... przeplaszam, nie płacz, nie będę już, chcesz? Dam ci buzi – Ewa zarzuciła pulchne rączki na szyję chłopca.

Dogadali się bez problemu. Rozsierzona mamunia jednak problem widziała.

– Pani po to z dzieckiem wychodzi, żeby pilnować, pilnować, powtarzam, a jeżeli komuś się dzieje krzywda, to żeby zareagować. Ja nie rozumiem, przecież pani patrzyła spokojnie, jak to dziecko wyżywa się na moim synu. To niedopuszczalne. Przecież ona mogła mu oko wybić, albo i co gorszego. Za grosz wyobraźni – wlaźła do piaskownicy, tratując świeżo wyprodukowane babeczki, co wzbudziło ogólny protest dzieciarni. – Synku, nic się stało? Dobrze się czujesz? Pokaż buziunię mamuni, ojoj, piasieczek w ockach, moje maciunie, boli? Niedobra dziewczynka, pobiła bąćka.

– I co, widzi na oczy? – zainteresowała się Magda.

– Bezczelność, to po prostu bezczelność. Chodź, synuś, idziemy, niech niedobra dziewczynka bawi się sama – pociągnęła chłopca kategorycznie.

– Nie chcę, mama – rozdarł się synek – chcę się bawić!

– Ale, no, umyć się trzeba i w ogóle.

– Bawić się! Chcę! – zadrżało powietrze.

– No dobrze, to pobaw się, tylko nie z tą dziewczynką. Sam się baw – mamunia zaczęła się wycofywać. – A picu chcesz?

– Bawić się! Z Ewą!

– No dobrze, synek, to baw się, tylko ładnie. Mamusia tutaj sobie usiądzie, a picu na pewno nie chcesz?

– Nieee!

Mamusia usiadła więc sobie obok Magdy, jak najbliższej potomka, najwyraźniej z zamiarem natychmiastowej reakcji, jeżeli tylko ktoś się waży cokolwiek mu zrobić.

– Bezstresowe wychowanie, kaleczą dzieci, a później wyrasta całe pokolenie degeneratów, co to w ogóle poszanowania dla drugiego człowieka nie ma – sarknęła jeszcze w próżnię.

Magda policzyła sobie do dwudziestu, stwierdziła, że mało, więc doliczyła jeszcze drugie dwadzieścia i spokojnie zapytała:

– Przepraszam, a synek to jak ma na imię? Januszek może?

– Maurycy, a co?

– Nie, nic, tak pytam – wstała, otrzepała krótkie spodenki z piasku, po czym rzuciła w stronę piaskownicy. – Zbieraj się, Ewcik, zupa czeka.

– Mamuś, jeszcze tlochę, dobla?

– Nie dobla, po obiedzie jeszcze sobie wyjdziemy.

– Pa Malcyś.

– Nieee! Mamooo, niech zostanieeeee! – rozdarł się Marcycś.

– Mamo!

– Hm, nie synek, pani już idzie, na zakupkę idzie z dziewczynką...

– Nieee! Mamooo!

– Hm, a może jeszcze chwilę pani zostanie, taka ładna pogoda, po co dziecko ma siedzieć w domu, niech trochę pooddycha...

– Tym samym powietrzem co przyszli degeneraci? Nie, dziękuję – Magda nie wytrzymała wreszcie i ucapiwszy wolną rękę Ewy, oddaliła się godnie w kierunku klatki schodowej.

Długo dobiegały ich jeszcze na przemian to wrzaski Maurycego, to liczne obietnice mamusi. Pójdźcie na lody, kupno lizaka albo nowego autka, wszystko, żeby tylko „bąciek nie pakał...”

Magda naląła sobie zimnej wody i stojąc w oknie, przyglądała się pozostałym na placu boju mamom. To nic, jeszcze tylko do września. We wrześniu Ewczik nareszcie wypadnie spod maminych skrzydeł pod skrzydła pań przedszkolank. A ona, ona... no właśnie, co ona będzie wtedy robić?

I w tym właśnie momencie rozdzwonił się telefon.

– Witaj moja ulubiona siostrzenico!

– Basia! Wróciłaś, kiedy?

– Ha, wczoraj, ale padłam znużona na twarz i dopiero teraz się podniosłam, więc dzwonię od razu do ciebie i pytam, co słyhać i dlaczego ciągle bez zmian – niski głos w słuchawce zaśmiał się wdzięcznie, choć nieco chropawo, to ostatnie na skutek papierosów palonych w ilościach iście przemysłowych.

– Ja ci nic nie będę mówić, bo nie ma sensu, opowiadaj albo lepiej od razu powiedz, kiedy wpadniesz?

– Ogarnę się trochę i wpadam, czyli za jakąś godzinę, będziesz?

– A gdzie mam być, kończę, żebyś się szybciej mogła ogarnąć. Buziak.

Po trzech godzinach nieprzerwanego potoku słów w Magdę wstąpiło nowe życie. Właściwie poczuła się tak, gdy tylko usłyszała głos ukochanej ciotki. Ciotki ze wszech miar nietypowej, życiowej, a może nieżyciowej i dlatego jedynej w swoim rodzaju?

Pani Barbara w wieku pięćdziesięciu, z małym hakiem, lat otrzymała spadek. I to nie sumę rzędu paru tysięcy, nie kilkunastu, ale kilkuset. Mieszkająca w Niemczech siostra nieodżałowanej pamięci męża pani Barbary odchorowawszy swoje, zrobiwszy bilans wśród bliższej i dalszej rodziny, zdecydowała się obdarować schedą właśnie ją – Basię, którą widziała raptem parę razy w życiu, Basię, która prędzej spodziewałaby się prezydenckiej wizyty w swoich skromnych progach albo czegoś równie mało prawdopodobnego.

Po otrzymaniu radosnej nowiny obdarowana dochodziła dwa dni do siebie, upewniając się, gdzie tylko mogła, że z jej zdrowiem psychicznym wszystko w porządku. Po wyeliminowaniu wszelkich rodzajów schizofrenii i innych przypadłości udała się do biura turystycznego, z którym (na zasadach wolnego Strzelca) współpracowała jako pilot wycieczek. Zasiadła na krzeselku naprzeciw pięknie ufryzowanej niewiasty i grzecznie, acz stanowczo zażyczyła sobie aktualnych folderów.

Wszystkich zawierających najbardziej oryginalne oferty, te typowe bowiem znała doskonale z wyjazdów służbowych.

Trochę to trwało, ale pani Barbara ułożyła sobie wreszcie wycieczkę marzeń. Objazd całego prawie świata wszelkimi możliwymi środkami transportu.

Magda od czasu do czasu otrzymywała od niej egzotycznie wyglądające pocztówki z jeszcze bardziej egzotycznymi nazwami miejsc, o których najczęściej nie miała bladego pojęcia. Na adres Magdy ciotka wysyłała też liczne pakunki, z prośbą przechowania bądź przewiezienia do jej, Basinego mieszkania.

Magda nie miała jednak z kim się podzielić radością z poczynań ciotki, bo o ile ona była pełna podziwu, o tyle jej mama nie chciała wiedzieć nic o

postrzelonej siostrze.

– I ty uważasz, że to normalne, tak? Rzuciła wszystko, zamknęła tę swoją chatynkę na cztery spusty i wyjechała.

– Mamo, a co miała zrobić, wydać wszystkie pieniądze na remont albo zakup nowego mieszkania? A tak, zobacz, ile ona zwiedzi, ile zobaczy...

– I co? Naje się tym, przepraszam? Wyleczy, jakby zachorowała? – pani Hania była bezlitosna. – A tak, komu spadnie na głowę w razie czego? Najbliższej rodzinie, na którą się zresztą wypięła... Co, nie powiesz mi, że coś ci sprezentowała?

– A z jakiej racji miałyby sprezentować?

– Rodzina w końcu, tak? Mogła pomyśleć o chrzestnej córce!

– Mamo, Basia...

– A dlaczego w ogóle ty jej mówisz po imieniu? U nas też przydałoby się trochę grosza... Przyjechać to miło, posiedzieć w altance, zjeść mięsko z grilla, przyjemnie z rodziną, ale jak już się dostało spadek, to można pozwolić, żeby człowieka nosiło po świecie, tak? Żeby chociaż obejrzała się za siebie, ale nie. I to w jej wieku, wstyd, tyle ci powiem. Rodzina tak się nie zachowuje. No, a co tam u was?

I tak było zawsze. Zazdrość, zawiść tak małostkowa i gwałtowna, że aż dech zapiera. O ile zazdrość mogła zapierać dech.

A Magda była wdzięczna losowi za taką matkę chrzestną.

I prawdę powiedziawszy, gdyby ona dostała taką kasę, nie zastanawiałaby się ani chwili dłużej, tylko postąpiła bardzo podobnie do Basi.

Tyle, że ona... może i objechałby dookoła ten świat, ale najpierw zmierzyłaby się z matką wszystkich gór.

Ech, marzenie.

Ze szczytów marzeń ściągnęło ją chrapanie małżonka i swąd

przypalonego materiału. Westchnąwszy więc sobie jeszcze raz bardzo głęboko, odłożyła prasowaną koszulkę Maciusia, nienadającą się już do ponownego włożenia i zabrała za prasowanie mężowskich koszul.

* * *

Oczywiście. Ani słowa. On może tu siedzieć i zamartwiać się na śmierć, a ona nie raczy nawet bąknąć, co słyhać.

Paweł zabębnił palcami o poręcz fotela i wpatrywał się w przez chwilę w monitor, jakby w nadziei, że za chwilę przyjdzie jakaś wiadomość od Matyldy. Nie, ona wołała milczeć, schować się za nieprzebytą ścianą i obwiniać go pewnie za zaistniały stan rzeczy.

Był wściekły na siebie.

Był wściekły na nią.

A doszedłszy do wniosku, że coś z tą wściekłością trzeba by wreszcie zrobić, postanowił, że w najbliższym tygodniu, podczas pobytu w kraju umówi się z Matyldą. Najlepiej na jakimś neutralnym gruncie, gdzieś na obiedzie, i omówi na spokojnie to wszystko, co jest do omówienia.

Najgorsze, że w dalszym ciągu, po upływie ponad miesiąca, nie miał pojęcia, co robić.

I nie zanosilo się na to, żeby w najbliższym czasie jakimś cudownym sposobem wszedł w posiadanie takowej wiedzy.

* * *

Słońce wbijało się Matyldzie pod powieki już od dłuższego czasu, ale darowała sobie jeszcze chwilę lenistwa. Śniło jej się coś ładnego i za wszelką cenę próbowała sobie przypomnieć co, ale jedynym utrwalonym obrazem była czyjaś dłoń. Męska bez wątpienia, przyjazna w dotyku i... nic więcej.

Odrzuciła wreszcie kołdrę i otworzyła na oścież okno. Ot, uroki

miasta. Mało prawdopodobne, że za chwilę wleci jakiś opasty owad zakończony mało przyjazną końcówką, której nie zawaha się użyć w razie jakiegokolwiek próby przegnania go z nowego terytorium. Co z tego, że tramwaje terkoczą, samochody trąbią, ludzie pokrzykują, Matylda to lubiła.

Dlatego też, między innymi, nie chciała się zdecydować na powrót do domu. Rodzinnego domu dodajmy dla ścisłości.

Tam robactwa było w nadmiarze, ciszy i spokoju też, i wszystko było takie boleśnie przewidywalne. A właśnie, czas zmierzyć się z przewidywalnością. Sięgnęła po laptopa, trzeba wreszcie sprawdzić dokładnie, jakimi środkami dysponowała i na ile czasu tych środków jej jeszcze wystarczy. Wziąwszy pod uwagę pojawienie się Karoliny i jej beztrioskie podejście do rzeczy materialnych, środków zaczną w przyspieszonym tempie ubywać.

Ciekawe, czy rodzice zadysponowali jej jakąś kwotą? Na pewno. Musi wszystko z nią omówić, jeszcze dzisiaj.

No tak, na koncie z bieżących środków miała niecały tysiąc, a na oszczędnościowym, którego przysięgła nie tykać, tylko zasilać, widniała kwota w wysokości osiemnastu tysięcy.

Przed oczami stanęły jej tegoroczne plany. Wycieczka, Newski Prospekt, Pałac Zimowy, w ogóle cały Ermitaż, spacerki nad Newą wieczorami, kawa parzona na piasku. Nie, tysiące polecą na coś innego. Na pieluszki, łóżeczka dziecięce, wózki i inne temu podobne.

Wylogowała się z systemu i zdecydowanym ruchem odłożyła laptopa.

– Ooo, wstałaś wreszcie, a już miałam sprawdzać, czy żyjesz

– Matylda zerknęła na zegarek, dochodziło południe.

– A po co mam się zwlekać wcześniej? Nic nie muszę robić. To po pierwsze, po drugie należy mi się nareszcie odespanie tego całego maratonu

– Karolina ziewnęła szeroko. – Oj, głowa mnie boli. Co na śniadanie?

– A co tam sobie chcesz. Słuchaj siostra, czy rodzice wyposażyli cię może przypadkiem w jakieś kieszonkowe?

– Wyposażyli i będą wyposażać co miesiąc. Tak powiedziała mama, ale to chyba na książki i pomoce naukowe, a w ogóle to czemu pytasz?

– Książek się teraz nie kupuje, będziesz chadzać po bibliotekach, czytelniach, a tak w ogóle to swojego sprzęta ci użyczę

– Matylda sięgnęła po mleko. – Pytam z prostego powodu. Ja nie pracuję, więc nas dwóch nie wyżywię, bo nie mam z czego. Prawda jest okrutna.

– Ale... ale... przecież ja nie mogę tych pieniędzy przeznaczać na jedzenie... – oburzyła się Karolina.

– A na co, przepraszam, zamierzasz je przeznaczać?

– No jak to na co? Na życie. Studenckie życie.

– Karolina, zejź na ziemię. Na studenckie życie, cokolwiek by ono nie oznaczało w twoim mniemaniu, będziesz przeznaczać stypendium. Rób sobie z nim, co chcesz, a za – Matylda rzuciła okiem na zegarek – dwadzieścia minut wychodzimy. Do sklepu. Na zakupy. Wyskubuj kasę. Jeden dzień twój, jeden mój. Nie ma, że boli.

– Chyba chcę do domu.

– Proszę cię bardzo. Osiemnaście minut – twardym trzeba być nie *mientkim*.

– A jeżeli nie pójdę, to co? – Karolina jeszcze próbowała być dziarska, stanąwszy w lekkim rozkroku, wzięła się pod boki.

– To nie będziesz jadła obiadu. Gulaszyk, kasza plus sałata ze śmietaną, no i może jeszcze ogóreczki małosolne.

– Świnia.

Jeszcze zanim Karolina wstała, Matylda uświadomiła sobie, że czas najwyższy zmienić zwyczaje żywieniowe. Zapomnieć o jedzeniu z proszku, przetrzucić się na surówki i w ogóle posiłki pełnowartościowe. Dzidzia ma być zdrowa. Jeżeli już zażyczyła sobie pojawić się na tym świecie, to zakichanym obowiązkiem mamusi jest zapewnienie dzidzi wszystkiego, co najlepsze.

– Karola, a powiedz mi co z tym twoim facetem, został tak bezboleśnie? Nie wybiera się tu za tobą? – Matylda nie zwracała uwagi na furkanie siostry.

– A co ma być? Został, nie wybiera się – rzuciła Karolina, studiując uważnie ceny na makaronach. – O popatrz, ten niewiele ponad złotówkę, a ten prawie cztery zyla, dlaczego?

– Bo ten z jaj ośmiu, a ten obok jajek w ogóle nie leżał. Pytam, czy bez problemu przyjął wieść o waszej rozłące.

– To weźmiemy ten bez jajek. Mnie tam różnicy nie robi, a jajka sobie mogę usmażyć na patelni. Oj, Mat, oświadczył mi się, tylko sza – odwróciła się gwałtownie od półki z makaronami – nic nie mów mamie.

– Ulala, no i co?

– No i nic. Chyba nie uważasz, że dam się zaobrączkować w wieku niespełna dwudziestu lat? Jeszcze nie oszalałam. Poza tym był na tyle nieuprzejmy, że postawił mi ultimatum. Albo zostaję i wychodzę za niego, albo mogę się już z nim nie kontaktować. O Jezu, jakie paskudne to mięso.

– A to faktycznie, despota jeden. No. To właśnie paskudne mięso będziesz pożerać dzisiaj na obiad.

– Zapomnij – Karolina przybliżyła twarz do szyby lodówki.

– Aż ci się będą uszy trzęsły.

– Matylda, nie żartuj, tam muchy chodzą.

– Muchy lubią mięsko.

– Dzień dobry.

Siostry odwróciły się jak na komendę od zawałonej wieprzowiną powierzchni i zlokalizowały źródło miłego powitania. Źródło było w wieku poborowym, wyrosnięte, z ciemnoblonde czupryną, a spojrzenie miało zogniskowane zdecydowanie na twarzy Karoliny.

– Dzień dobry – Matyldzie udało się wygrzebać z pamięci moment przeprowadzki. Syn sąsiadki, Piotruś, chłopię pomagało wtedy samo z siebie, targało kartony, kwiatki, uczynny, ale... kiedy on urósł? Uśmiechnęła się miło i wróciła spojrzeniem do mięcha.

– Matylda, to zdaje się będzie najlepsze, najświeżej wygląda – oznajmiła Karolina nagle donośnym głosem kulinarnego eksperta. Zupełnie nieistotne, że wskazywała akurat paluchem na wędzony boczek, z którego nijak nie da się zrobić gulaszu, nieistotne też, że wyszły ze sklepu objuczone jak muły.

Karolina nie znoszącym sprzeciwu tonem zadysponowała jeszcze dwa kilogramy truskawek, mąkę, cukier, bo przecież u Matyldy niczego takiego w szafkach się nie znajdzie, dwie kostki masła, soki i całą masę zupełnie niepotrzebnych rzeczy, z których można by było spreparować dania dla wielopokoleniowej rodziny na, powiedzmy, tydzień świąt.

– Oszalałaś – sarknęła Matylda przy drzwiach, stawiając własne fizyczne możliwości w opozycji do zawartości kosza. – Ja też chyba oszalałam. Idź teraz, ładnie się ukłoń ochronie i poproś, żeby pożyczili nam wózek, bo nie wyobrażam sobie, żebyśmy to miały donieść do domu. Albo nie, ja tu zaczekam, a ty ganiaj. Najpierw radzę zanieść mięso.

– Matyldaaaa, ty go widziałaś, kto to?

– Sąsiad z góry. Myśl, mówię, jak się z tym dotelepiemy do domu.

– Ja teraz nie myślę, ale oczy... Ał, nie kop mnie – Karolina zamilkła na widok znajomej sylwetki w drzwiach i natychmiast spadła jej ostrość widzenia.

– Może ja pomogę? – męski głos zawibrował między siostrami.

– A byłbyś tak miły, Piotрку, czy może panie Piotрку...? – zapytała asekuracyjnie Matyllda.

– No co pani, pani Matylldo, pani pamięta, jak ja biegałem z obdartymi kolanami...

– No, no, no, nie dodawaj mi lat, bądź tak miły – wyciągnęła rękę – Matyllda, a to moja siostra Karolina. Siostró...?!

– Aaa, tak, tak, miło mi.

Fajny taki sąsiad.

Nie dosyć, że zostawił siostróm po jednej, malutkiej reklamóweczce, to jeszcze udało mu się skutecznie zablokować Karolinę. Całą drogę do domu uśmiechała się tylko pod nosem i, prawdę powiedziawszy, wyglądała tak jakby ją coś zniecka pozbawiło większości szarych komórek.

Matylldzie taki stan rzeczy odpowiadał całkowicie.

– Mamo misiowa? Cześć, to my.

– Coś się stało? – siedemnasty zmysł pani Zofii w przeciwieństwie do pozostałych szesnastu był nadzwyczaj przeczulony.

– Nic się nie stało, co miało się stać. Dzwonię po pomoc

– Matyllda jedną dłonią trzymała telefon, drugą zaś próbowała posegregować leżące na stole zakupy. Małe sprostowanie, zawałające cały stół zakupy.

– Wiedziałam, wiedziałam, co się stało, mów, jak się czujesz, kiedy przyjechać...

– Mamooo, nic się nie stało. Karolinę zamroczyło na widok pewnego

mojego sąsiada i wykupiła cały asortyment w osiedlowym sklepie. Nie hipermarkecie, spokojnie, taki mały osiedlowy. Nie patrz tak na mnie, co, już otrzeźwiałaś? Mamo, ona mnie kopie, powiedz, że ciężarnych się nie kopie, że są pod ochroną.

– Co tam się dzieje, żądam wyjaśnień w tej chwili – i rzeczywiście pani Zofia zażądała.

– No mówię, nic takiego. Mamy zapasy tak przynajmniej na miesiąc, ale wypadałoby to jakoś spreparować, bo na przykład truskawki nie wytrzymają. A może wytrzymają... sama nie wiem. Doradź.

– Znaczący nic złego się nie stało? – upewniła się jeszcze raz mama.

– Nie.

– To dobrze, córuś...?

– Hę? – tym razem drgnęła intuicja Matyldy.

– Słuchaj, Patryk wybiera się do Warszawy – słusznie drgnęła. – Targi ogrodnicze są, wiedziałaś?

– Nie mamo, nie śledzę wszystkich imprez w stolicy. Ostatnio przynajmniej. No i?

– No i właśnie. No o czym to ja, aha, wybiera się i tak sobie pomyślałam, może wam coś podrzucić? Przetworów narobiłam, właściwie...

– Niech zgadnę, właściwie to wypchana już po brzegi torba ze słoikami stoi sobie grzecznie w przedpokoju i czeka, zgadłam?

– Oj Matyś, powiedz, czy wam czegoś specjalnego nie trzeba, może masz na coś ochotę, co? On w piątek będzie jechał dopiero, może ciasto jakieś zrobić, ciebie do słodkiego ciągnie czy do kwaśnego?

– A nie ma jakoś specjalnie znaczenia. Obżeram się niemilosiernie i nie patrzę, jaki ma smak. Nieważne, czy kwaśne czy słodkie, aby żuć.

– A jak z żołądkiem?

– Mamo, bez zmian, melduję posłusznie – Matylda wydobyła jedną truskawkę z reklamówki i obejrzawszy ją dokładnie, wpakowała do ust. – Wczoraj pytałaś. Czego ty mnie znowu klepiesz, Karolina?

– Myje się.

– Kto się myje?

– Truskawki się myje, zanim się zje – siostra znacząco popukała się w czoło i zabrała siatkę z truskawkami w pobliże zlewu.

– Matylda, dziecko, myj owoce – poinstruowała ją dodatkowo mama.

– Dobrze, a w kwestii tego jedzenia, no tego, czy słodkie czy kwaśne, co to za różnica?

– A wiesz, podobno na chłopca to się kwaśne je, a na dziewczynkę słodkie.

– Nic nie rozumiem.

– A powinnaś.

– A żelki mamo, to pod kwaśne podchodzą, czy raczej słodkie? Bo żelki ostatnio pożeram paczkami, nie ma znaczenia jaki smak, uprzedzam od razu.

– A to mi ćwieka zabiłaś, chyba raczej pod słodczyce... mniejsza, a w kwestii przyjazdu Patryka – głos mamy zrobił się ostrożniejszy.

– No, wal – zachęciła ją ochoczo Matylda.

– Dziecko, jak ty do matki mówisz... tak sobie pomyślałam, po co on ma się tułać po hotelach, ja mu nic nie wspomnę, ale może zadzwoń do niego, zaproponuj... dobry pomysł, myślisz?

– Zły. Najgorszy z możliwych.

– To ja zadzwonię – wyskoczyła Karolina jak diabeł z pudełka.

– Sza, młoda.

– Co ona tam mówi?

– Mówię, mamó, że ja zadzwonię, zaproponuję w ramach podziękowania za pomoc w przeprowadzce. Nadźwigał się przecież. – Karolina wyrwała już telefon siostrze i zabrała się do rozsnuwania pajęczej nici nad głową Matyldy i Patryka. Mieli wpaść w tę pajęczynę oboje. – A teraz małe sprostowanie, wcale mnie nie zamroczyło, fajny facet, to prawda, ale nie zamroczyło. Tylko faktycznie jakoś nas poniosło na tych zakupach i musisz wspomóc przepisami.

Wieczorem Matylda padła prawie nieprzytomna na łóżko, wyprawiwszy uprzednio Karolinę z ciastem truskawkowym do sąsiadów. Wypada podziękować za pomoc, prawda?

Może tak źle nie będzie. Młoda zakocha się nieprzytomnie w Piotrusiu i jego zacznie traktować jak pępek świata.

A Matylda zdecydowanie wolała słuchać nastrojowych ballad miłosnych niż tego łomotu, zupełnie pozbawionego jakiegokolwiek melodii. Ziewnęła.

Przypomniała sobie uśmiechniętą twarz Pawła, ale nie zdążyła ubrać myśli w słowa, bo zasnęła natychmiast.

Patryk początkowo bronił się rękami i nogami. Wyładował z samochodu dwie torby pełne maminych wyrobów, chociaż po rozpakowaniu okazało się, że prawie połowę jednej z gigantycznych toreb zajmowały właśnie żelki, we wszystkich dostępnych na rynku smakach.

Bez problemu dał się zaprosić na kawę, następnie rozsiadł wygodnie w kuchni i zaczął wodzić oczami za Matyldą. A ona poczuła, jakby ktoś przypiął jej skrzydła do ramion. Ubrana w długą, kwiecistą spódnicę i króciutką bluzkę kręciła się po kuchni, każdy jej ruch był precyzyjny i pewny, czy to, gdy wyciągała talerz, czy kiedy sięgała po ciasto. Jedną ręką otwierała szufladę ze sztućcami, drugą wlewała z ekspresu kawę. Patryk

zaczynał podejrzewać, że gdyby miała jeszcze i trzecią i czwartą rękę, też znalazłaby dla nich zajęcie.

I wcale nie wątpił, że byłoby to równie skuteczne i dokładne, jak w przypadku tych dwóch.

Wiadomo, kobietę, nieważne, na jakim rozdrożu by nie stała, jakich problemów na głowie, czy na innej części ciała by nie miała, męskie spojrzenie pełne wyraźnego podziwu uskrzydla.

I tyle.

– Patryk, a ty wiesz, że zostajesz u nas na noc? – Karolina wpadła jak burza do kuchni, odczekawszy swoje, i z wrodzoną delikatnością poinformowała o noclegu.

– No co ty...

– Poklep go po plecach albo daj ja poklepię, bo to mocno trzeba, a ty nie możesz – po czym łomotnęła krztuszącego się Patryka z całej siły po krzyżu. – No co się tak dziwisz... Już? Przeszło? Nie, jeszcze nie przeszło. Po co masz się tłuc nie wiadomo gdzie – łup, łup – zostajesz i tyle, duży pokój cały dla ciebie.

– Przestań, bo mu odbijesz płuca czy oskrzela, nie wiem co, ale przestań. Ona ma rację – Matylda wzruszyła ramionami

– przecież to bez sensu, żebyś nocował nie wiadomo gdzie, a rezerwację się odwoła. Chyba, że nie chcesz i wolisz w hotelu?

– A już tam, woli w hotelu. Niczego nie woli. Do kiedy te targi, do niedzieli, prawda? No, więc dzisiaj sobie odpoczywasz, my coś tam z Matyldą upichcimy, nie patrz tak na mnie. Ona mnie tu torturuje. Gulasz umiem gotować, ciasto robić, koktajl truskawkowy, kompot – Karolina zaczęła rozkładać palce. – Co ja jeszcze umiem sestro moja, terrorystko?

– Pyskować umiesz. Idź już, chlebek kup, mleko, reszta chyba jest –

Matylda zerknęła do toreb.

– Utemperowałaś ją trochę, czy mi się wydaje? – Patryk odczekał aż się drzwi zamkną.

– Jej nie trzeba temperować, w gruncie rzeczy dobra z niej dziewczynka, tylko czasami trochę za dużo sobie wyobraża albo może raczej brakuje jej wyobraźni. Nie wiem. Mniejsza o to, zostań Patryk – położyła mu rękę na ramieniu – będzie nam miło.

Ta mała dłoń przesądziła sprawę. Gdyby Matylda chwilę, sekundkę chociaż się zastanowiła, nie zbliżałaby się do niego bardziej niż na odległość dwóch metrów. Ale nie, trzeba było leżeć z łapami, patrzeć w oczy spoglądające z błaganiem.

Szlag.

Zanim zdołała ją cofnąć, przez dłoń przeleciał znajomy prąd, a na obliczu Patryka zagościł równie znajomy wyraz. Nadziei, pełnego oddania i czegoś, za czym Matylda już od dłuższego czasu tęskniła czysto fizycznie, płacząc wieczorami w poduszkę. Powinna chwilę pomyśleć. Chwileczkę się zastanowić, zanim cokolwiek zrobi. Bo o ile to ostatnie pytanie w oczach Patryka, klasyczne pytanie mężczyzny rzucone w stronę atrakcyjnej kobiety, pociągało, o tyle ten wyraz oddania, ta nadzieja i obietnica zagmatwania emocjonalnego, odpychała ją znacznie mocniej.

Czasami jednak manipulacja przychodzi zupełnie bezwiednie, a skoro bezwiednie, to w takim razie nie jest to żadna manipulacja, syknęła sama do siebie, ale instynkt.

Tak to się zwie. Ale na zew instynktu Patryk odpowiedział natychmiast. Poruszył niepewnie swoim wielkim ciałem i gdyby nie zablokował go stół, ani chybi trzymałby już Matyldę w żelaznym uścisku.

Stół jednak powstrzymał go (na szczęście, pomyślała Matylda), a w

momencie, w którym to się stało, Patryk zanotował sobie, żeby więcej tu nie siadać. Można zajmować fotele, kanapy, taborety nawet, słowem wszystkie miejsca, w których brakuje zdradzieckich mebli z filiżankami wykazującymi zdecydowanie większą skłonność poddawania się prawu grawitacji niż wszystko dookoła.

Rzucili się jednocześnie ratować, co do ratowania się jeszcze nadawało, przysięgając sobie każde co innego.

Matylda – nie dopuścić więcej do takiej sytuacji.

Patryk – jak najszybciej ją powtórzyć.

A żeby ją powtórzyć, najlepiej było zostać pod dachem tej kwiatowej wróżki, jak po cichu nazywał Matyldę. Zrobić śniadanie, otoczyć opieką, w ogóle zrobić wszystko, żeby wreszcie go zauważyła. Chociaż nie, zauważyła go na pewno, musi ją raczej przekonać, że jako jedyny jest w stanie dać jej to, czego tylko zapragnie. Że potrafi spełniać jej zachcianki, zanim jeszcze ona zdąży pomyśleć.

Patryk nie był w stanie nic na to poradzić i, prawdę powiedziawszy, niewiele robił, żeby zmienić istniejący stan rzeczy. Władza jego sercem i umysłem, niczym królowa zasiadała na dwóch tronach jednocześnie i panowała niepodzielnie od szczenięcych lat. Żadna z kobiet przewijających się w życiu Patryka nie dorównywała Matyldzie.

A to śmiały się nie tak, jak trzeba i kiedy trzeba, albo nie umiały słuchać.

Wykazywały zbytnią determinację w staraniach, żeby tylko zaciągnąć go do ołtarza. Tak, tych zdecydowanie było najwięcej.

Natomiast Matylda zawsze wydawała mu się nieuchwytna. Chciał poznać jej myśli, wiedzieć dokładnie, co wzbudza jakie uczucia. Dzielić z nią wszystkie radości i smutki. Przez ten czas, kiedy byli razem... Razem...

No co to właściwie za bycie razem, oboje mieli wtedy naście lat... Nieważne, przez okres dwóch lat, gotów był przychylić jej nieba ze wszystkimi gwiazdkami. Na jeden kaprys Matyldy, jedno skrzywienie jej drobnej twarzy gotów był wyrzucić precz tę jedną, która nie przypadła dziewczynie do gustu. Kiedy budziła się rano latem, pierwsze, co widziała, to bukiet polnych kwiatów. Gdyby mógł, obsypałby ją tymi kwiatami od stóp do głów.

Ale nie mógł, bo pewnego lata Matylda wyjechała. Pisała krótkie listy, później wróciła, a w jej oczach dopatrył się czegoś. Czy raczej kogoś... innego.

Patryk leżał na przykrótkiej kanapie i zastanawiał się, dlaczego akurat wtedy pojawił się ten beznadziejny Paweł. Wszystko rozwalił, mogło być tak pięknie, pobraliby się zaraz po szkole... no, może po studiach, a teraz Matylda mogła nosić już drugie dziecko.

Ich dziecko. Syna albo córkę, nie ma znaczenia.

Westchnął ciężko, przewidując bezsenną noc, ale nie ruszał się, nasłuchiwał dźwięków dochodzących z małej sypialni.

Parę metrów, cholera, zaledwie parę metrów...

– Mat, a co ty planujesz dzisiaj robić?

– Nie wiem – Matylda zakrzętnęła się przy lodówce, omijając szerokim łukiem długie, opalone nogi i starając się nie zwracać na nie najmniejszej uwagi. Nie wychodziło jej. Patryk zajmował prawie całą kuchnię. – Dlaczego pytasz?

– Może wybrałabyś się ze mną? Chyba że to dla ciebie za bardzo męczące.

– A tam, od razu męczące, a co ja miałabym tam robić?

– Chodzić, doradzać, oglądać, wąchać kwiatki, takie tam... – kusił

Patryk wierząc oczami gołe plecy Matyldy – miło będzie, ładnie na pewno.

– Czy ja wiem...

– Wiesz, wiesz, idziesz i nie dyskutujesz, przyda się i tobie, i dzidzi.

– Dzień dobry, jak wam się spało i inne takie. Znaczący gościowi jak się spało, bo mnie to tak jak zawsze. No wiesz, na tej naszej kanapie, jak się spało Patrykowi – zaplątała się Matylda.

– No, to jak ci się spało na kanapie? – Karolina przetarła zaspane oczy i starała się nie uśmiechać szyderczo.

– Dobrze, właśnie namawiam Matyldę...

– Słyszałam to i owo, pewnie, że pójdzie, tym bardziej – Karolina zrobiła chytrą minę – że na dzisiaj zaprosiłam Piotrka. Nie patrz tak na mnie. Na wieczór zaprosiłam, na kolację. Posiedzimy sobie razem, znaczący we czwórkę.

– A kto zrobi kolację? – zainteresowała się Matylda.

– Noooo, ja. Najpierw posprzątam w domu. Nie patrz tak na mnie, mówię.

– Patrę, bo nie jestem pewna, czy czasami nadal nie śpię. Uszczypnij mnie, Patryku, z łaski swojej – Matylda wyciągnęła automatycznie rękę w kierunku Patryka, po chwili zaś, przeklęła się za to soczyście w duchu, bo mężczyzna wykorzystał nadarzącą się okazję, złapał ją za dłoń i puścić najwyraźniej nie zamierzał.

– Nie śpisz, ja słyszę to samo, a może razem śnimy? – zajrzał jej w oczy.

– No właśnie, więc posprzątam, a następnie zadzwonię do mamy po przepis na drożdżowe cynamonki.

– Nie!

– Co nie?

- Nie będziesz robić bułek podczas mojej nieobecności.
- A dlaczegoż to, wyjaśnij mi siostrze – Karolina podparła się pod boki.
- Dlatego, że kuchnia jeszcze nam się przyda, o piekarniku nie wspomnę. A znając twoje maślane łapy...
- Oj, tam, poradzę sobie. Mam motywację i to nieliczną – zamruczała pod nosem młodsza siostra, wygrzebując z szafki patelnię. – Kto zje jajecznicę? Zrobisz Mati?
- Nie mów do mnie Mati.
- Zrobisz?
- Ja zrobię – Patryk wy dostał się trudem zza stołu. – Wiecie co, czuję się u was jak Guliwer... Zrobię jajecznicę po kapitańsku. A co! Z pomidorami, żółtym serem, cebulą, z czym sobie tylko panie zażyczą. A ty, Matyldo szykuj się do wyjścia. Zabieram cię i koniec. Nie będziemy przecież młodej przeszkadzać w porządkach, nie? – puścił oko do Karoliny i wygonił je z kuchni.
- Głupia jesteś, siostrze – szepnęła Karolina, gdy znalazły się poza zasięgiem słuchu Patryka.
- Sama jesteś głupia – odszepnęła.
- Mówię ci, że jesteś głupia i tyle. Tylko na niego popatrz – westchnęła, przyglądając się barczystej sylwetce. Mimo gabarytów poruszał się zwinnie i bez trudu udawało mu się odnaleźć niezbędne wiktuały, w wielkich dłoniach ginęły kolejno ser, cebula, później jajka, co jakiś czas odrzucał włosy i przytrzymywał je ramieniem. Karolina wskazała go palcem – wiesz co to jest?
- Nie co, tylko kto.
- Wiem, o co pytam. Wiesz co to jest? To jest marzenie każdej

kobiety. W najczystszej postaci. Dosłownie.

– A skąd ty niby wiesz o marzeniach wszystkich kobiet? Taka doświadczona jesteś czy jak? – zaszemrała Matyllda, przyglądając się Patrykowi.

– No dobra, niech będzie, że nie wszystkich, ale większości na pewno – poszła na kompromis Karolina. – Pod tym jego spojrzeniem każda zamienia się w płynne masełko, że się tak pokuszę o kulinarne porównanie. Nawet ja. W to masełko znaczy się zamieniam.

– Hm, nawet ty. No to faktycznie, chyba głupia jestem, że nie korzystam i nie pozostaję przez cały czas w konsystencji płynnej. Idę się ubierać. A ty – Matyllda wbiła palec w klatkę piersiową siostry – proszę cię, nie szalej.

– Gdzie nie szalej, czemu nie szalej?

– W kuchni. Pizzę zamówimy, albo coś, mniejsza z tym. Nie szalej, powiadam.

– Się zobaczy.

– A ten Piotrek to chyba całkiem do rzeczy facet co?

– Do rzeczy... mało powiedziane – spojrzenie Karoliny przybrało otumaniony wyraz.

Matyllda usiłowała sobie wmówić, że wcale tak dobrze się nie bawi. Że towarzystwo Patryka wcale jej nie rozmiękcza, że zupełnie, ale to ani krztyny nie ujmuje jej ten cały ambaras wokół jej osoby. Otwieranie drzwi, podtrzymywanie, przepuszczanie, podawanie. Całokształt starań.

Usiłowała sobie wmówić, ale bez efektu. Zbierali wizytówki, oglądali foldery, ekspozycje, Patryk wprowadzał ją w tajniki flory ciekawie, z miną znawcy i z pełnym zaangażowaniem, pamiętając jednak cały czas o tym, że to Matyllda jest najważniejsza, a nie kwiatki. I nie dając się ponieść

fascynacji, którą do tych kwiatków czuł.

– Dosyć, robimy przerwę w biegach – zadysponował w pewnym momencie.

– Już? Przecież nie obeszlśmy nawet połowy.

– Obejdziemy po obiedzie. Na pewno jesteś głodna, czekaj, bo okruszek tu masz – sięgnął dłonią do policzka Matyldy, przy okazji udało mu się musnąć koniuszkiem palca jej usta i stwierdzić, że są cudne w dotyku, a jeszcze gdyby tak mógł ich dotknąć swoimi...

– Po ciastku! – odskoczyła jak oparzona. – To po ciastku zostało.

– Wiem przecież – roześmiał się lekko i objął w pasie – no, na co masz ochotę?

– Jak to na co mam ochotę? – zapytała Matylda, desperacko walcząc z wizją dwóch ciał przewracających się po łóżku.

– No do jedzenia.

– Aaaaa, do jedzenia. Nie wiem właściwie, czy ja jestem głodna ?

– Jesteś, już prawie południe. Musisz jeść regularnie.

– Mati! – zaryczało coś donośnie.

– O, cześć Weronika, jak miło cię widzieć – Matylda przysunęła się do Patryka, a on całkiem odruchowo objął ją, szczelniej zamykając uścisk.

– No, co tam u ciebie? – Weronika zwróciła się bezpośrednio do nienarodzonego jeszcze dziecięcia.

– U niej wszystko w porządku, u mnie też, jak widzisz.

– Hm, no widzę, widzę, całkiem kwitnąco wyglądasz – spojrzenie ślizgiem przemknęło po obu postaciach, na chwilę zawisło na twarzy Matyldy, po czym spoczęło konsekwentnie na Patryku. – Weronika.

– Miło mi, Patryk – na chwilę puścił Matyldę i uściśnął wyciągniętą dłoń.

– Noooo, mnie też jest miło. Widzę, że faktycznie sobie radzisz, moja droga, chyba nasze rady nie poszły, w... las? Tak to się mówi. Tyle tych przysłów, że masakra. Człowiek sobie nie radzi, hahaha.

– Haha – zawtórowała jej Matylda, rejestrując przy okazji, że i Weronikę dopadła masakra, wszyscy naokoło nagle odkryli nowe znaczenie i zastosowanie dla tego słowa, pod wpływem... No właśnie, pod jakim takim strasznym wpływem...? Nie mogła sobie przypomnieć. – Co tam w firmie?

– Kocioł straszny jak zwykle, łapią wszyscy na potęgę nowe zlecenia, czy same do nich przychodzą, haha, sama nie wiem, a w ogóle to mówię ci, kocioł taki, że masakra – machnęła łapką w stronę koleżanki, nie odrywając cały czas oczu z wyrazem »zjedz mnie albo ja cię zjem” od Patryka.

– No to faktycznie, masakra – zgodziła się łaskawie w tym samym tonie Matylda, zrobiła smutną minę, co przyszło jej tym łatwiej, że faktycznie smutno jej się zrobiło. Jak mogła z tą kobietą o czymkolwiek rozmawiać? Na czym właściwie upływały im godziny spędzane razem? Jakie miały wspólne tematy? Westchnęła i zerknęła na Patryka. Bawił się jej włosami, nie zwracając w ogóle uwagi na Weronikę. – Musimy lecieć, głodna jestem strasznie.

– A tak, tak, teraz musisz dużo jeść. A Paweł gdzie?

– A gdzie ma być? – Matylda wzruszyła ramionami.

– W Niemczech. Pozdrów wszystkich.

– Pa – Weronika cmoknęła powietrze przy policzku Matyldy – wpadnę kiedyś to sobie porozmawiamy, haha, przy kawusi. No pa.

Arszenik, cyjanek, do nabycia gdzie? Sprawdzić. Czy rozpuszcza się w kawie? Sprawdzić. Bezwiednie zapisała sobie Matylda na twardym dysku swojego umysłu.

W znajomej knajpcie cudem znaleźli wolny stolik. Spotykali się tu z

Pawłem dość często. Swego czasu. A czas był miły, trzeba przyznać. To, co stanowiło akurat zawartość talerzy, było zazwyczaj zbędnym dodatkiem. Zbędnym, bo pochłaniali siebie nawzajem. Z widelcami w dłoniach toczyli niekończące się dyskusje, nie zwracając najmniejszej uwagi na posiłek. Paweł najpierw musiał nasycić się nią, po kilku godzinach niewidzenia... teraz... syci się czymś innym.

Matylda pogłaskała delikatnie brzuch, szukając pociechy w rosnącej powoli kruszynie. Ale tym razem jej się nie udało.

– Miła ta twoja koleżanka – rzucił Patryk, pożerając jakąś część kurczaka.

– Miła? – z trudem i niedowierzaniem, ale błyskawicznie, oderwała się od swoich rozterek.

– A co, nie?

– Hm, zważywszy, że to przez nią wyleciałam z pracy w trybie natychmiastowym, to chyba raczej nie jest miła.

– A to faktycznie. Wcale nie jest miła. Jedz, nie jesteś głodna? – zerknął na jej talerz.

– Jakoś nie.

Z niewiadomych przyczyn Matyldzie odechciało się jeść. Zupełnie. Z niewiadomych też przyczyn przeleciało jej przez głowę słowo „chorągiewka”.

A resztę popołudnia spędziła już w całkiem minorowym nastroju. Kwiaty przybladły, towarzystwo Patryka zaczęło nużyć, a wszystkie stanowiska zlały się w jedno. Najchętniej znalazłaby sobie jakiś cichy kąt i ryknęła zdrowo płaczem.

Durny ty, Pawle, ty.

– Matylda, tylko się nie denerwuj, wszystko jest pod kontrolą! –

dobiegło ich od drzwi wejściowych.

– Skoro tak mówisz, to na pewno nie jest. Patryk, proszę cię, czuwaj, bo mogę zupełnie niechcący skrzywdzić rodzoną siostrę – sarknęła Matylda, z radością znajdując ujście całodniowej frustracji.

– To może ja do sklepu skoczę – zaproponował nieśmiało Patryk. – Wiesz, nie umiem... może nie jest tak źle... no... nie denerwuj się Matys...

– Na razie się jeszcze nie denerwuję, ale za chwilę pewnie zacznę... – Matyś ruszył z furkotem długiej spódnicy w kierunku kuchni. Z podejrzeniem najgorszego. – Czego ty nie umiesz? Za ręce przytrzymaj albo jej nie zasłaniaj drogi ucieczki.

Jeśli kiedykolwiek przejdzie przez moją kuchnię trąba powietrzna, to właśnie tak to będzie wyglądało później – pomyślała w chwili, w której ujrzała efekty pracy Karoliny. Stała jak wryta w progu.

– Co jest pod kontrolą? – zasyczała, zaciskając pięści.

– Tylko się nie denerwuj – Patryk położył swoją wielką dłoń na jej ramieniu – tylko spokojnie Matyś, oddychaj, nie denerwuj s...

– Jeżeli... jeszcze... raz... powiesz... mi... żebym... się nie denerwowała, to nie wytrzymam! – strąciła jego rękę jednym zdecydowanym ruchem i skierowała palec w stronę Karoliny

– Co ja ci powiedziałam? Co ja ci powiedziałam, pytam, przed wyjściem?

– Żeby nie szalała – siostra wzruszyła ramionami i obrzuciła pomieszczenie spojrzeniem pełnym skruchy. – Ale ja nie szalałam, naprawdę...

– To co to wszystko ma znaczyć, powiesz mi może?!

– Matylda, ale o co właściwie ten hałas? – Patryk ruszył na rekonesans. – Sos pyszny, makaron zaraz ci wyleci, Karolina, bułki też

całkiem ładnie wyglądają, a kuchnia? Że brudna, się posprząta...

– Samo się posprząta! Samo?! O Boże! – Matylda z rykiem ruszyła do łazienki i zatrzasnęła głośno drzwi.

Karolina z Patrykiem spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i zgodnie wzięli się za sprzątanie. Jedno zeszkrobywało zaschnięte ciasto ze stołu, drugie wycierało sos pomidorowy z podłogi i parapetu, na Matyldę biorąc duuużą poprawkę.

Wiadomo, ciąża.

Wiadomo, hormony.

Patryk zrzucił koszulę i w szortach pełzał po podłodze, szukając zdradzieckiego sosu. I znajdował go wszędzie, na nóżkach od stołu, pod blatem, na firankach. Karolina natomiast machała rytmicznie ścierką w prawo i w lewo i bez najmniejszej żenady wpatrywała się w grę mięśni na klatce i plecach Patryka, przyglądała się prawie granatowym włosom spływającym mu na ramiona i stwierdzała, że ciąża odebrała jednak jej siostrze rozum do reszty.

Gdzież było drobnutkiemu Pawełkowi do tego idealnego Skorpiona? Wydawał się przy nim taki maluczki, taki bezbarwny.

W rozmyślenia wdarł się dzwonek do drzwi. Karolina porzuciła z westchnieniem jakże przyjemne obserwacje, błyskawicznie określiła się przygotowanym zawczasu i poplamionym cynamonowym nadzieniem fartuszkiem.

Jej Skorpion nadchodzi, no może nie tak dobrze zbudowany, ale... na pytające spod stołu spojrzenie Patryka poprosiła:

– Idź, otwórz proszę, zdaje się, że nasz gość właśnie przyszedł.

Gość najwyraźniej z gestem, zauważył Patryk, wieszając sobie ścierkę na ramieniu. Bo najpierw jego oczom ukazał się pękaty bukiet mieszanego

kwiecica. Okiem znawcy wychwycił gatunki, zaaprobował życzliwie dobór, po czym zaprosił sąsiada do środka. Z tym, że sąsiad wyglądał jakoś dziwnie znajomo.

I... jakoś tak staro.

Zdecydowanie nie kojarzył się Patrykowi z niczym pozytywnym. Zanim przybyło olśnienie, przybyły sarknął z niedowierzaniem:

– Szybciutko się pocieszyła.

– A co, czyżbyś rościł jakieś pretensje, Pawełku? A może coś cię nagle olśniło? – Patryk szybko doszedł do siebie po chwilowym zaskoczeniu i wczuł się z powodzeniem w rolę gospodarza domu. Nie, Paweł nie wiedział o kanapie, nie wiedział o tym, że Matylda cały dzień o nim myślała, bo myślała, tego był pewny. Paweł widział odzianego skąpo faceta, ze ścierką przewieszoną przez ramię, czującego się bardzo swobodnie w domu, niegdyś należącym do niego. Patryk oparł się o framugę, zasłaniając sobą wejście.

– Nic mnie nie olśniło, a nawet gdyby, nie muszę się z tego tłumaczyć przed tobą. Bądź tak uprzejmy i przekaz...

– Już mi przeszło, przepraszam... – w przedpokoju pojawiła się Matylda, spowita, jak to po orzeźwiający prysznicu, w zwiewny szlafrok, poprawiła go tu i ówdzie i wreszcie spojrzała na przybyłego – Pppaweł...? Co ty tu robisz?

– A może, co on tu robi? – rzucił ze smętnym uśmiechem Paweł. – Zresztą nieważne, przyjechałem, żeby się z tobą spotkać, jesteś zajęta, rozumiem, nie przeszkadzam – spojrzał na ściskany w dłoni bukiet nieco zdziwiony, że główki kwiatów jeszcze nie odpadły. – Przyjmij kwiaty, są dla ciebie.

I zniknął.

Tak po prostu, jak rozplywajacy sie dym, jak ulatujacy z butelki dzin, ktorego nie potrafi sie zatrzymac odpowiednim zaklęciem.

A pózniej żaluje sie zaprzepaszczonej szansy, bo dobrze wiadomo, że już sie nie powtórzy.

* * *

Idiota.

Jestem skończonym idiotą i kretynem. Skretynilem sie jak nigdy. Pawel wpatrywál sie beznamiętnie w roztańczoną przy metalowej rurce, skapo odzianą dziewczynę.

Miło. Łyknał solidnie z kolejnej szklanki. Mamusia koniecznie musi znaleźć tatusia. Swoją drogą strasznie szybko sie do tego zabrała. Parsknał.

– No, facet, nareszcie – ktoś klepnał go po ramieniu i Pawel spojrzal nieprzytomnie na intruza. – Oho, parę kolejek mnie ominęło, widzę.

– Aaaa, tak, parę. Cześć Jacek.

– Coś sie stało? Wyglądasz, jakby ci... no nie wiem, jakby cie przygniótl ogromny ciężar – Jacek osunał sie na kanapę i podniósł rękę na kelnera.

– Trafiłeś w sedno. Cała cholerna kula ziemská mnie przygniotła. A zresztą... szkoda gadać. Twoje zdrowie.

– Niech będzie, że moje, poczekaj chwilę. Coś z kontraktem?

– Pieprzyć kontrakt – odparł lakonicznie Pawel.

– Wywalili cie?

– A niby dlaczego mieliby mnie wywalić? Mnie? Najlepszego pracownika? Któremu najbardziej pracowite niemieckie mróweczki nie dorastają do pięt? Nie, stary, ja tam nocuję, zasypiam przy kompie, budzę sie przy kompie, po prysznicu latam i obcałowuję tyłki klientom, a wkładam w to tyle pasji, że sam sie sobie dziwię. Rozumiesz, bez żadnej taryfy

ulgowej, na żywca – spojrzał na Jacka przez szklanę. – Gardzę sobą w nocy, jak już uda mi się zasnąć, nawet przez sen sobą gardzę. A gdy nagle odnajduję sens życia, okazuje się – Paweł pstryknął palcami – że ten sens do kogo innego należy.

– Matyllda?

– Jaka Matyllda? Nie znam żadnej Matylldy, a na pewno nie znam matki mojego nienarodzonego jeszcze dziecka. Nie, nikogo takiego nie znam. Fakt, jakiejś dziuni kupiłem dzisiaj bukiet kwiatów, byłem gotów leżeć do niej na kolanach, przeproszać, całować po stopach, robić wszystko, żeby tylko wybaczyła... ale w końcu kwiatki wylądowały u półnagiego fagasa, który otworzył mi drzwi. I dupa. Zbita.

– Uuu, to faktycznie zbita. I ty tak sobie cedzisz szklaneczkami? Przecież na to całej butelki trzeba, na strzał. Swoją drogą szybciotko się uwinęła – Jacek zacmokał z niedowierzaniem – jak nie Matyllda... a pewien jesteś?

– Nie wkurzaj mnie. Gość mi otworzył w samych gatkach, ona za chwilę się pojawiła prosto spod prysznic, twoim zdaniem to co? Wizyta towarzyska? Gówno. Jedno wielkie gówno. Nie wiem, co mam robić... – Paweł ukrył twarz w złożonych na stoliku rękach.

– Ej, jak to co masz robić? Rozejrzyj się dookoła. Mało masz tu Matylld?

Sęk w tym, że nie było żadnej.

Obudził się rano z wrażeniem, że stado bawołów galopem przemierza sawannę jego głowy. Taaaak, zdecydowanie sawannę w porze suchej. Ruszył do kuchni w poszukiwaniu jakiegokolwiek płynu. Aby nie płynu do naczyń... Kątem oka zarejestrował kurz pokrywający wszystko... No tak, nie zadzwonił po nikogo, sam tym bardziej nie brał się za szmatę, nie, po co?

Od razu z lotniska trzeba było lecieć do kwiaciarni, wybrać największy z możliwych bukiet i wystrugać z siebie kretyna.

Jest woda. Ciekawe, ile czasu tu stoi, czy to czasami nie ta do kwiatów. Ta z nawozami, ale nawozy to raczej takie brązowe zawsze były. Oj, nieważne.

– Yhmmm, kochanie...? Przyniesź też dla mnie coś do picia – dobiegło z sypialni. – Kochanie? Owszem, przesadzili wczoraj z Jackiem, stracił kontakt z rzeczywistością... Przesunął się z powrotem do sypialni.

– Weronika?!? – Paweł wychrypiał z niedowierzaniem, konstatując przy okazji, że mimo suszy w gardle jest w stanie wydobyć z siebie dźwięki o całkiem konkretnym natężeniu. Jednocześnie przez głowę przepłynęło mu spiesznie parę myśli. Jak ona się tu dostała? Co robi w jego łóżku? Czy noc zakończyła się nie tak, jak powinna?

– Mmmm? – Weronika przeciągnęła się, eksponując wdzięki tu i ówdzie wystające spod kusej, satynowej koszulki, wygrzebała spod kołdry i położywszy na brzuchu, zaczęła mu się uważnie przyglądać. – Coś mi się widzi, że niewiele pamiętasz z wczorajszego wieczoru. Daj tej wody. Suszy mnie tak, że masakra. No Paweł, no.

Zagulgotała parę razy zachęcająco i poklepała łóżko obok siebie, przyzywającym i nieznoszącym sprzeciwu gestem.

– Chodź, może dzisiaj się przydasz do czegoś więcej.

– Co to niby ma znaczyć?

– Jak to co? Oj, można było z tobą wczoraj zrobić wszystko, wierz mi – zachichotała piskliwie, a od tego jej chichotu Pawłowi aż zadzwoniło w uszach – tyle że... tyle że się nie dało. Haha.

– Hahaha. Jak mam to rozumieć?

– Oj Pawełku, czy tobie wszystko trzeba tłumaczyć? Chodź,

naprawisz wczorajsze zachowanie – znowu poklepała łóżko obok siebie – czy może raczej niezachowanie, haha.

Paweł przysiadł posłusznie, ale wyciągniętą rękę Weroniki zignorował.

– Powiedz mi... – podrapał się po brodzie – przecież ty się przyjaźnisz z Matyldą... dlaczego przyszedłeś ze mną... do mnie?

– Oj tam od razu przyjaźnisz. Znaczy, będziemy rozmawiać, tak? – Weronika westchnęła zrezygnowana i z powrotem przykryła się kołdrą. – Jakie przyjaźnisz, była, była, moją koleżanką z pracy. I tyle. Później zaczęła się dziwnie zachowywać, wiesz, odstawać od reszty. My jedno, ona drugie, Zuza proponowała jej nawet wystrój mieszkania, takiego wiesz, specjalistę jej polecała, wszystko już było załatwione. Na pewno by pomogło, ale Matylda potraktowała nas jak wariatki. Dosłownie. Wyobrażasz sobie? Poza tym ona zawsze taka opanowana, taka, kurczę, najlepsza we wszystkim – Weronika prychnęła pogardliwie – aż przysła kryską na... na kogo przysła?

– No na kogo? – Paweł spojrzał na nią nieprzytomnie.

– No jakoś tak się mówi, małyska...

– Matyska... – podsunął usłużnie.

– O, no właśnie. Przyszło i na nią, wiesz, sprawiedliwość ją dosięgła. A ja nie powiem, bardziej po tym wszystkim byłam lojalna firmie. Musiałam powiedzieć, że z Matyldy już nie za bardzo przyszłościowy pracownik, rozumiesz. Podszepnąć tu i tam, zasiać ziarenko niepewności w szefach... popatrz jak mi się ładnie powiedziało – zamrugła oczami zadowolona z własnego krasomówstwa.

– Znaczy podłożyłaś jej świnię?

– A tobie nie za ładnie z kolei. Nie świnię, tylko powiedziałam, jak jest. Ale powiem ci, że mam intuicję jak nikt, wiedziałam już od tych

pomarańczy, co się szykuje, bo jej pachniało bez przerwy, a jak zaczęła puszczać pawie praktycznie na okrągło, to już byłam pewna... gdzie idziesz?

– Pod prysznic.

Paweł wstał ciężko. Poczuł, że musi natychmiast zmyć z siebie ten brud, chociaż plugastwa, jakie zobaczył nagle we własnym pokoju, nie da się pewnie usunąć tradycyjnymi środkami czystości. Już z łazienki dobiegł go dzwonek telefonu.

– Odbierz, proszę – rzucił machinalnie.

– Halo... Halo? Aaaaa, cześć Matylda, tak to ja. Paweł się właśnie kąpie, przekazać mu coś? No to pa. Pa. Co, chciałeś z nią porozmawiać?

Odebrał jej bez słowa telefon, wybrał szybko numer, rozmyślił się, skasował, wybrał następny.

– Sławek? Cześć, wiem, że niedziela. Przebukuj mi bilet na teraz. Na zaraz. Najlepiej za jakieś pół godziny. Wiem, że w środę. Jadę dzisiaj, nieważne o której, daj znać. Na razie.

– Rozumiem, że mam już sobie iść, tak? – Weronika odrzuciła ze złością kołdrę. – Oboje tak samo traktujecie ludzi. Zapraszasz mnie do siebie, a później wyrzucasz jak zużyty szmatę.

– No przecież podobno w ogóle nie użyta – Paweł nie mógł się oprzeć.

– Nie łap mnie za słowa, to chamstwo jest, szczyt wszystkiego! – krzyczała, a z szeroko otwartymi ustami stanowiła bardzo malowniczy obrazek, Munch na pewno znalazłby inspirację do kolejnego obrazu, zauważył Paweł mimo woli.

– Ale co jest chamstwem, powiedz mi, że używaną, czy nieużywaną?

– Świnia, ja nie będę tu z tobą dyskutować...

– To nie dyskutuj, przykro mi, że poczułaś się urażona. Na razie –

uciał, chociaż z jednej strony trochę go korciło, żeby sobie właśnie podyskutować, żeby rozładować to, co się w nim nagromadziło, a czego nie potrafił ubrać w słowa. Ba, w myśli nawet nie potrafił, a co dopiero w słowa. Tyle że Weronika raczej nie nadawała się na partnera do dyskusji. Zaczęła nawet sprawiać wrażenie, że bliżej jej do rękoczynów niż do kulturalnej komunikacji werbalnej.

Za późno już na takie rozważania. Ona wybrała. Wzięła sobie tego pseudo mięśniaka... No dobrze, niech będzie, że nie pseudo. Tego Indianina, cholera go jasna, mać. A skoro wybrała, niech go sobie ma i jemu nic do tego. Jemu, Pawłowi. Wpatrywał się w obłoczki sunące obok skrzydła samolotu i analizował zajścia z dwóch ostatnich dni. Po chwili poprawił się w duchu; z dwóch ostatnich miesięcy. Przypomniawszy sobie, jak stanęła przed nim, śliczna, w kwiecistej sukience, wtedy na łące. Słońce jej przebijało przez włosy i malowało refleksy na twarzy. No cudna była. Poczuli się wtedy, jakby zobaczyli Matyldę na nowo, tak jakby zakochał się w niej drugi raz. I nagle ta nowo dostrzeżona Matylda wyjęła *coś* ciężkiego i uderzyła go centralnie pomiędzy oczy. Nie dosłownie. Słownie. Otwierając tylko usta i wypowiadając te zupełnie nieoczekiwane słowa.

Facet musi wiedzieć, po czym stąpa. Musi czuć grunt pod nogami, bo inaczej robi się nieobliczalny. Mówi i robi wszystko niezależnie od woli czy rozumu, aby tylko się do tego gruntu dostać z powrotem. Za wszelką cenę. Nawet po trupach cudnie wyglądających i kochanych kobiet.

I tak też zrobił. Bronił się przed nieznanym. Palnął pierwszą lepszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy. Nie zastanawiając się zupełnie, zaczął się wycofywać na znajomą i pewną pozycję prawie wolnego, dobrze zarabiającego, ułożonego zawodowo i życiowo człowieka. Młodego człowieka. Dodać należy, zupełnie nieprzygotowanego do ojcostwa.

Paweł jęknął i złapał jakąś gazetę, nie zadając sobie nawet trudu, żeby sprawdzić tytuł. Kogoś sprowokowano, komuś wsadzono w rękę lewe pieniądze, ktoś kogoś opluł publicznie i teraz ten opluty domaga się satysfakcji.

Ale Matylda też nie była do tego przygotowana... Mało tego. Jemu jedyny raz los splatał psikusa, ale z tego co mówiła ta cała Weronika, Matyldzie los dawał popalić dość regularnie.

Zapaliłby sobie.

Mocno by się zaciągnął, wciągając dym prościutko w płuca.

Wbrew sobie i temu właściwie, że palenie rzucił dobre cztery lata temu.

Zamknąłby rozdział splatający jego życie z Matyldowym. Zachował się jak kretyn, ona wybrała kogoś innego.

Koniec.

Kropka.

Pod nim rozciągał się już Berlin, czas się opamiętać.

Tylko... dlaczego ona dzisiaj dzwoniła...?

* * *

– Wyglądasz jak... idź i połóż się do łóżka – Magda przyglądała się uważnie świeżo odzyskanej przyjaciółce.

– Bo nie spałam.

– A powinnaś.

– Wiele rzeczy powinnam, tylko... właściwie nie wiem, od czego zacząć.

Siedziały niedaleko piaskownicy i starały się pilnować potomstwa Magdy, jednocześnie roztrząsając zajścia ostatnich dni.

– Nie jojcz tylko.

– Co to znaczy: nie jojcz?

– Znaczy: nie rozżalaj się, nie rozczulaj, tylko działaj.

– Bardzo mądrze mówisz. Bardzo. Jeszcze mi powiedz, w jakim kierunku mają iść moje działania. Widzisz, Madziul, szlag mnie trafia. Ja zawsze wiedziałam, co mam robić. Zawsze miałam plan awaryjny, jakby co nie wypaliło, ba, nie jeden, ale kilka w zanadru. Umiałam sterować wszystkim tak jak trzeba.

A teraz nie wiem, skupiam się tylko na tym, co się dzieje między mną a Pawłem...

– A nie dzieje się nic.

– Albo za dużo,

– Tyle, że nie między wami a osobami postronnymi, że tak to ujmę. Ale wiesz co – Magda pokręciła z niedowierzaniem głową – ja ciągle nie mogę dojść do ładu, przejść do porządku dziennego nad ludzką podłością.

– Niech zgadnę, mówisz o Weronice.

– Ano tak. Czy ty nie planowałaś żadnej zemsty? Chyba bym zjadła babiszona.

– Zatrulałyś się. I nie planowałam żadnego odwetu, wyobraź sobie, cięża mnie zepsuła. Zepsułam się na amen.

– Nie jojcz, powiadam. A Patryk?

– Co Patryk? – Matylda spojrzała nieprzytomnie.

– Nie nadaje się czasami na zastępcę Pawełka?

– Posłuchaj mnie uważnie.

– Dawaj.

– Baaaardzo uważnie, bo dwa razy powtarzać nie będę. Myślałam o tym, analizowałam z każdej możliwej strony i powiem ci, kochana, tu nie chodzi już nawet o uczucia, w sensie o miłość przez duże em.

- A o co? Ewa! Nie włącz tam!
- Czemuuu? – padło rezolutne pytanie z wysokości pierwszych gałęzi pobliskiego drzewa.
- Bo spadniesz. Złącz.
- Oj mama.
- Złącz powiadam. No? – Magda spojrzała pytająco na Matyldę.
- Widzisz, on jest za dobry.
- No, to akurat nie jest problem, wierz mi, mówi ci to matka dwójki dzieci i żona od lat ośmiu.
- Właśnie, że jest. Takiemu człowiekowi jak on najpierw się włązi na głowę, bo na to pozwala, później się po tej głowie skacze, zakładając coraz większe szpilki, i sprawdza się wytrzymałość materiału. A że Patryk jest jak skała, więc praktycznie nie do zdarcia. Ludzka natura to paskudztwo, ja będę po nim jeździć jak, nie przymierzając, po burej kobyle, a on będzie na to pozwalał.
- Do czasu, spokojnie.
- No właśnie, do czasu. Pytanie tylko, czy do tego czasu zdążę już siebie znienawidzić za takie traktowanie drugiego człowieka, czy nie. Stawiam na to pierwsze.
- Skąd ta pewność? – Magda ukradkiem siorbnęła wściekle różowego Kubusia.
- Znam jego, znam siebie, daj łyeczka...
- Zaraz się podniesie protest, że opijamy dzieci, chlejemy ich własność, masz – podsunęła Matyldzie butelkę, rozglądając się czujnie. – A nie brałaś pod uwagę tego, że oboje mogliście się zmienić?
- Brałam. Ale i tak ryzyko jest zbyt duże. Lubię go, ale chcę też lubić siebie.

– Wypiłaś nasz soczek mamó – Ewa zmaterializowała się zniecka obok maminej spódnicy.

– Ciotka też piła – Magda wbrew sobie zajęła pozycję obronną.

– Ciocia może. Lizaki przynosi, to niech pije. Chodź po soczek. Nowy. Nasz.

– I po lizaki – uśmiechnęła się Matylda, puszczając oko do małej.

– I po lizaki! Macieek!

Nie wiadomo właściwie, kiedy okazało się, że Matylda chętniej spędzała czas z Magdą niż w swojej samotni. Bo mieszkanie było dla Matyldy samotnią mimo obecności Karoliny, gwoli ścisłości obecnej raczej duchem niż ciałem. Ten duch unosił się z każdego kąta, wзираł z każdej plamy na stoliku, przypominał o sobie porzucanymi książkami, skarpetami, łyżeczkami. Innymi słowy wszystkim, z czego tylko przyszło Karolinie korzystać. Jednak ciałem siostra była zdecydowanie nieobecna. A jeśli już, to i tak z wyżyn wczesnomiłosnego uniesienia nie była w stanie zleźć i zdobyć się na odrobinę empatii względem starszej, zaciężonej siostry. Siostry z problemami, siostry, której trzeba było doradzać i która, zupełnym nawiasem mówiąc, chwilami dostawała małpiego rozumu.

Karolina owszem, rozumiała. Walka hormonów, burza czy inne takie tam. W końcu też była kobietą i rozszalałe hormony była w stanie zrozumieć. Ale nie codziennie, na Boga. No i nie w takim natężeniu. Wszystko ma swoje granice.

Tymczasem Magda szczęśliwie przebrnąwszy okres *cięży* i to dwukrotnie, potrafiła wykrzesać z siebie nieco więcej zrozumienia. Przy czym jej zrozumienie nie opierało się tylko i wyłącznie na głaskaniu Matyldy po znękanej głowinie, ale nierzadko też na rąbnięciu jej, ot tak w ramach cucenia, między oczy. W momentach, kiedy Matyldowe oczy

zaczynały się szklić, kiedy wszystkie symptomy wskazywały na to, że za chwilę rozklei się na dobre, obwieści koniec swojego, jakże krótkiego żywota, o wszystko obarczając winą Pawła, Magda podawała jej pudło chusteczek i nie odzywając się w ogóle, zabierała do domowych zajęć. Fakt, że racjonalna przez całe dotychczasowe życie natura Matyldy brała zazwyczaj górę nad emocjonalną, niemniej jednak zdarzały się chwile, kiedy trzeba było pomóc sprowadzić ją na ziemię. Rzadko, bo rzadko, ale się zdarzały. A Magda radziła sobie z tym śpiewająco.

– Kluchy śląskie zrobimy, gulasz z wczoraj został, doda się kukurydzę. Zaczniij obierać ziemniaki, ja wstawię wodę – mruzczała pod nosem. Z pokoju dobiegał głos Zamachowskiego kategorycznym tonem polecającego Kunikowskiej, żeby zabrała płaszczyk. Na co z kolei Stuhr oponował, że przecież Fiona nie ma płaszcza.

Matylda uchyliła drzwi do kuchni tak, żeby widzieć ekran telewizora, po czym zasiadła centralnie w przejściu z obieraczką do ziemniaków w dłoni. Dlaczego właściwie bajki się ogląda tylko z dziećmi?

Czy raczej dla towarzystwa dzieciom.

Z potrzeby pretekstu?

Dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby w osiedlowej wypożyczalni poprosić przemiłego chłopaka, tego, co to wszystko miał poprzekłuwane, o jakąś dobrą animację? Bo co? Że tylko dla dzieci?

– Ciociu, nie trafiłaś – życzliwy głos Maćka wyrwał ją z zamyślenia.

– Co? A faktycznie – zabrała z dywanu ziemniaka i zerknęła na Magdę.

– Widziałam, po obiedzie złapiesz jeszcze za odkurzacz, hehe.

– Hehe, nie ma sprawy, za to pomieszkiwanie kątem u was należy mi się od czasu do czasu jakieś polatanie ze ścierką.

A wam nie będzie wygodniej w dużym pokoju? – zwróciła się do dzieci, które nie wiadomo kiedy poustawiały sobie krzeselka obok niej.

– Nie – zaprotestowały chórem – fajnie tak z kimś sobie pooglądać.

– Ano fajnie, Matyllda, zbastuj z tymi ziemniakami, bo będziemy je jeść jeszcze przez tydzień. A wy się odmeldować, tarasujecie przejście, nie furczeć.

– Magda...? Ewa jeszcze nie jest za mała na taką bajkę? Co ona właściwie z niej zrozumie?

– Czy ja wiem... jedno na pewno – Magda prychnęła śmiechem w parę unoszącą się znad ziemniaków.

– No co?

– Ano to, moja droga, że nie powinna siedzieć w wieży i czekać na księcia z bajki, co to przyjedzie na białym koniu, uwolni ją spod jarzma rodzicielskiej opieki, patrz, smok strzegący jej dziewictwa... a właśnie, smok jest jeden, znaczy, tatuś zawsze w charakterze tego smoka, nie?

– No tutaj akurat masz smoczycę, o ile dobrze pamiętam.

– Mniejsza z tym, w każdym razie nie ma czekać na tego księcia, bo może jej się trafić, a my skądinąd wiemy, że trafi się na pewno, taki sobie poczciwy ogr. Co to beka, pierdzi, śmierdzi i robi tysiące, bo nie tuziny, rzeczy, które księciu zdecydowanie nie przystoją. O! Nie podłóż tu, jeszcze się poparzysz. Już odlewam.

– I ty myślisz, że to dobry pomysł?

– Co?

– Tak wiesz... odzierać ją ze złudzeń, nie wiem sama.

– Ze złudzeń to ona nie może być odarta, bo...

– Jeszcze ich nie ma – Matyllda weszła jej w słowo.

– No właśnie.

– Może i racja.

– Racja, racja, czekaj, telefon mi gdzieś dzwoni – Magda wybiegła do przedpokoju, skąd po chwili dobiegł jej głos. – No cześć kochana, a dlaczego dopiero teraz sobie o mnie przypominasz? – głos zaczął się zbliżać. – A nic, jesteśmy w domu, wpadniesz...? Jaką wiadomość, mów! A właśnie, że powiesz, inaczej będę do ciebie wydzwaniać, dopóki się nie ugniesz, uprzedzam... Zołza? Wiem, ale po kimś to mam, hehe, pewnie po ciotuni... Będę wyjeżdżać z ciotunią, mogę jeszcze parę innych ciekawych rzeczy dodać, jak chcesz... Żaden szantaż, mów wreszcie...! Matyllda, nie żebym żałowała ci tego gulaszu, ale może chwilowo coś innego zjesz?... nie, nie do ciebie, Basiu, koleżankę mam, odzyskaną, zaciążoną i bez przerwy głodną... No właśnie, mówiłam ci o niej, powiesz wreszcie, czy nie?!

Na chwilę zapadła cisza, a Matyllda podgryzając jabłko, obserwowała uważnie Magdę. A było się czemu przyglądać, bo jej oblicze odzwierciedlało w błyskawicznym tempie wszelkie możliwe emocje. Po kilku „tak”, „no jasne” i „super” Magda odłożyła telefon.

– Mówiłam ci o mojej ciotce obieżyświatce? Mówiłam, nie?

– Mówiłaś.

– Chcesz pracować w biurze turystycznym? Takim świeżutko otwartym?

Matyllda poczuła, jak u ramion rosną jej skrzydła, a jeśli nie skrzydła, to coś innego, co wznosi ją nad ziemię... Miała wrażenie, jakby ktoś wpompował jej czysty hel w żyły. Nie zarejestrowała w swojej świadomości powrotu do domu. Nie pamiętała drogi. Ktoś coś do niej mówił, ale ona mamrotała pod nosem kalkulacje, w głowie rysowała wykresy, planowała reklamy, wydatki, bilanse i zdawała się zupełnie odłączona od otaczającego świata.

Rzuciła torbę na szafkę w przedpokoju, pobiegła do kuchni i wstawiła wodę. Pędem rzuciła się do swojego pokoju, a nie znalazłszy tam laptopa, ruszyła do Karoliny. Tutaj łatwo go było zlokalizować, bo spoczywał na kolanach siostry, wydając z siebie znajome technawkowe dźwięki. Matylda bezceremonialnie zabrała go z tychże kolan i nie zważając na głośne protesty, pobiegła wyłączyć czajnik.

Działała jak automat.

W pierwszym odruchu sięgnęła po sypaną kawę, ale zastygła z ręką nad puszką, poklepała delikatnie brzuch i wyjęła bez – kofeinowe paskudztwo. Z lodówki wyciągnęła mleko, miskę truskawek, po czym wyniosła to wszystko do pokoju, mijając w drzwiach zaciekawioną Karolinę. Kolejny kurs, kolejne miski, tym razem z musli, pomidorami i ptasim mleczkiem w pełnomlecznej czekoladzie. Tego ostatniego Karolinie udało się złapać parę sztuk, co wywołało pełne oburzenia spojrzenie siostry.

– Hej – trzeciej wędrówce w stronę pokoju już Karolina stawiała czoła: stanęła przed siostrą i zatarasowała jej przejście. Przeleciało jej przez głowę, że może to niekoniecznie dobry pomysł, bo Matylda sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę przez nią po prostu przejść. Przez nią czy po niej, mniejsza z tym. Zatrzymała się jednak parę centymetrów od zieloniutkiej bluzki.

– No co?

– To ja się pytam, co. Wpadasz jak burza, wydierasz mi laptopa z rąk, chociaż obiecałaś, że będziesz mi go pożyczać, ale z tobą zawsze tak, obiecujesz...

– Coś jeszcze?

– Tak, wynosisz całe jedzenie z kuchni do swojego pokoju, nawet ptasie mleczko, które kupiłam wczoraj za swoje pieniądze. Obiadu nie

pamiętam odkąd nie było, chodzisz do tej swojej Magdy, mną się nie zajmujesz, a ja tu całymi dniami...

– A pamiętasz, jak ci zabierałam konika na biegunach? Bo był mi potrzebny do jasełek w szkole?

– Co ma piernik do mojego konika? – nie wytrzymała Karolina.

– Zaczynasz wywlekać wszystkie żale, więc ci pomagam, zadzwonić do Marcina – zamruczała do siebie Matylda. – Przepuść mnie, bo ciężko.

– Jakiego Marcina?! Daj spokój mojemu konikowi, dawno już zapomniałam – Karolina jednak odsunęła się z przejścia zbita z tropu, jak zwykle z resztą po rozmowach z siostrą.

– Kolegi z pracy.

– Chodzisz do pracy? I ode mnie kasę wyciągasz? Na jedzenie? – warknęła pogardliwie Karolina, biorąc się pod boki.

– Robi ci się druga broda, podnieś głowę.

– Bwhhhasss.

– Nie rozumiem, kiedy tak do mnie mówisz – Matylda wzruszyła ramionami, jednak po chwili na widok purpurowej twarzy naprzeciwko zdjęła ją litość. Poklepała Karolinę po ramieniu. – No już, sioster, spokojnie. Nie wyjeżdżaj mi tu z obiadami, bo natura też cię wyposażyła w rączki, kawałek mózdzku i inne potrzebne do ugotowania obiadu oprzyrządowanie. Więc nie jęcz, tylko się bierz do roboty. Ustalimy grafik, żeby było sprawiedliwie. Co do roboty, to dopiero teraz, dopiero dzisiaj i to też nie na pewno, dostałam. Właśnie mam zamiar pracować. Nawet nie wiesz, jak się człowiek może czuć wiedząc, że znowu jest potrzebny. Że może coś zrobić. To znaczy nie żebym nie była nikomu potrzebna, znaczy nie czuła się potrzebna. Czuję się, a jakże... weź to mleczko, zemdli mnie jak tyle zeżrę... czuję się potrzebna na przykład mojej dzidzi, ale to inne uczucie. Ciężko to

wyjaśnić... Gdzie moja Ania?

– Matylda... ja... sorry... wymiękam...

– Co znaczy wymiękasz?

– Przez te twoje skrótory cholerne, jaka znowu Ania?

– Dąbrowska, mówię przecież, brałaś płytę?

– Brałam.

– To oddaj. Teraz – Matylda porozstawiała miski naokoło laptopa, stanęła, przyjrzała się wszystkiemu i po krótkiej analizie i pukaniu się wskazującym palcem w brodę ruszyła jeszcze po solidną porcję węglowodanów w postaci zamrożonych pączków mamusi. Postoją, odmarzną i za parę minut, tak po pomidorach, będą w sam raz. Zamykając drzwi jedną ręką, zupełnie bezwiednie wyciągnęła z szuflady małą ramkę ze zdjęciem. Przesunęła palcem po jasnej czuprynie Pawła, pogłaskała jego szklany policzek i westchnęła. – Chyba zaczynam, Paweł. Szkoda, że bez ciebie.

Rano pokój przedstawiał się jak po bitwie. Tuziny kartek zadrukowane od góry do dołu i ułożone w równym stosie na biurku świadczyły o tym, że bitwa była wygrana. Matylda nawet się obudziła równiutko o szóstej, gotowa była lecieć do pracy, w połowie drogi do łazienki oprzytomniała jednak na tyle, żeby sobie uświadomić, że żaden gmach nie czeka na nią dzisiaj, żadne koleżanki, podkładające pod nogi zdradzieckie kłody, tylko jakaś tajemnicza starsza pani. Nieco zwariowana, nietypowa, ale na pewno niemająca ochoty ani tym bardziej żadnego interesu w tym, żeby jej cokolwiek pod nogi kłaść. Matylda zawróciła więc na pięcie i musnąwszy palcem z czułością efekt całonocnej prawie pracy, zanurkowała z powrotem w ciepłą jeszcze pościel.

– Barbara Borzowiecka, miło mi panią poznać, Matyldo, mogę tak do

pani mówić, prawda? – znad wyciągniętej dłoni uśmiechała się do Matyldy cała twarz pani Barbary. Twarz okolona gęstwiną jasnoblond włosów, które wykazywały tendencję do życia własnym życiem i najwyraźniej w głębokim poważaniu miały starania właścicielki, żeby zaprowadzić wśród nich jako taki ład.

– Tak, jak najbardziej.

– Magda dużo mi o pani mówiła, dobrze by było, gdybyśmy mogły gdzieś usiąść, ale... – powiodła ręką po pustym pomieszczeniu – tu jeszcze za bardzo nie ma na czym. Chciałam, żeby zobaczyła pani lokal, zaaprobowała bądź skrytykowała wybór. W każdym razie liczę na szczerłość.

– Oczywiście.

– Może więc przejdziemy... tutaj niedaleko jest taka sympatyczna knajpka – Barbara podziękowała sympatycznej pracownicy agencji i obiecała kontakt jeszcze tego samego dnia.

– No właśnie... Magda dużo o mnie opowiadała, chciałabym uniknąć jakichkolwiek nieporozumień.

– Tak? – pani Barbara podniosła oczy znad parującej filiżanki z kawą i odłożyła świeżo nadgryzione ciasteczko. – Co pani ma na myśli, pani Matyldo?

– To przede wszystkim, że nie jest ze mnie przyszłościowy pracownik – co ja najlepszego wyprawiam? Dlaczego uświadamiam tę miłą, starszą panią, tfu, dlaczego ją do siebie zniechęcam? Po czym zniechęcała dalej – będę do pani dyspozycji najpóźniej do marca, a i to stoi, prawdę powiedziawszy, pod znakiem zapytania, bo... – zaczerpnęła tchu, żeby kontynuować, ale wypuściła tylko z sykiem powietrze, bo znad stołu podniosła się w geście nieznośnym sprzeciwu drobna, ciemna dłoń.

Podniosła, po czym spoczęła na dłoniach Matyldy.

– Proszę nie mówić nic o tym, kto jest przyszłościowy, a kto nie. Proszę na mnie spojrzeć, pani Matyldo, proszę mi się przyjrzeć – Matylda posłusznie przyjrzała się twarzy siedzącej naprzeciwko kobiety. – A teraz proszę powiedzieć, co pani widzi. Szczerze.

– Hm – Matyldę zbiło to z tropu. To pytanie i ta dłoń na jej dłoniach. Prosty i ciepły gest, który sprawił jej przyjemność.

– No, słucham – oczy pani Basi błysnęły figlarnie.

– Widzę... – Matylda przyjrzała się czuprynie blond włosów, niebieskim oczom, wesołym, patrzącym otwarcie, otoczonym siateczką zmarszczek, takich od częstego śmiechu – widzę wesołą kobietę, energiczną...

– Pudło. Nie widzi pani energii, no może ją pani czuć

– pani Basia cofnęła rękę z powrotem do talerzyka z ciastkami

– ale na pewno nie widzieć. Kłopotliwe pytanie, prawda? Więc pomogę. Widzi pani kobietę, fakt, to że wesołą to też można ocenić, zwłaszcza po zmarszczkach mimicznych, ale przede wszystkim widzi pani kobietę, która już większą część życia ma za sobą, krótko mówiąc tak na oko sześćdziesięcioletnią. Zgadza się? I proszę nie zaprzeczać. To teraz może mi pani powie, kto jest bardziej przyszłościowym, jak to zgrabnie zostało ujęte, pracownikiem. Ja ze swoim wiekiem, czy pani ze swoim błogosławionym stanem, z którego wyjdzie pani za czas jakiś, konkretnie określony, nawiasem mówiąc? Słucham.

– No wie pani...

– Ano właśnie wiem. Wrodzona bądź nabyta, nie wnika, delikatność nie pozwala pani przytaknąć. Ale ja swoje wiem, pani, pani Matyldo też. Więc skończmy tę bezsensowną licytację i przejdźmy do konkretów.

Na takie dictum Matyldzie nie pozostało nic innego, jak wyciągnąć teczkę z wykresami i dać się ponieść wizji przyszłości. A co zauważyła po dość krótkim czasie, unieść ze sobą także tę energiczną kobietę. Przy okazji skonstatowała z zadowoleniem, że może i Madzina ciotka *ma* swoje lata, ale głowę na karku też. Niczego nie musiała jej tłumaczyć, po prostu zapoznawała ją z kolejnymi etapami pracy, pani Basia od czasu do czasu podsuwała swoje propozycje, które skrzątnie notowały na marginesach.

Po niespełna dwóch godzinach miały już sprecyzowany plan działania. Na policzkach obydwu wykwitły rumieńce, w oczach zapłonął dziki blask – widomy sygnał chęci natychmiastowego rozpoczęcia pracy. Spojrzały na siebie znad porzrzucanych kartek i uśmiechnęły z satysfakcją.

A wieczorem Magda odebrała dwa telefony.

Wywnioskowała z nich, co następuje: Matylda to cud dziewczyna, a ciocia Basia to wspaniała kobieta.

No zobaczymy, zobaczymy jak będzie nam się układała współpraca.

Po czym Magda bezwiednie zacisnęła kciuki.

Cotygodniowe zakupy zaczęły Pawła przerastać. Nie miał głowy zupełnie do niczego. Potrafił się skupić jedynie na pracy. A to, że na przykład w domu... jakim tam domu... w mieszkaniu, które akurat zajmował, nie ma ani żadnego pieczywa, ani mleka, ani najdrobniejszej chociaż konserwy, którą mógłby wtrącić bez zagryzania jakimkolwiek chlebem, zupełnie go nie interesowało.

Ba, ale odżywiać się trzeba. To konieczne, bo przecież umysł musi pracować, tak czy nie? A nie będzie przecież pracował sam *i* siebie. Paliwo trzeba mu dać.

– Tak czy nie? Powiedz mi, drogi Petroniuszu, mam rację czy nie mam? Nic mi nie powiesz, jak zwykle. Szkoda, bo widzisz, odbiorca to

jedno, ale czasami wypadałoby, żeby ten odbiorca chociaż pysk otworzył, wybaczyć i rzekł cokolwiek, a ty? Pysk otwierasz tylko po to, żeby nabrać węń wody, dosypię ci tych robaczków, masz. – Paweł nachylił się nad mikroskopijnym akwariem i zaczął dokarmiać swojego mieczyka, też singla zresztą. Całkiem niedawno doszedł do wniosku, Paweł, nie mieczyk, że musi mieć jakieś towarzystwo. Jakiegokolwiek. Do kwiatków głupio się gada, na psa, czy kota nie mógł sobie pozwolić z racji godzin pracy, ale już taka rybka czy też rybek? Niech sobie będzie. Niech słucha, niech okiem czasami do niego mrugnie. Poza tym Pawła uspokajało patrzenie na powolne ruchy Petroniusza. Powolne, dystygowane, takie... no takie właśnie spokojne. – Widzisz, mój drogi, cały plan wziął w łeb. Miałem jeździć co tydzień, robić listę, planować żarcie, a tu co? Guzik, żeby nie powiedzieć dupa. A właśnie, powiedz mi, żebym wziął swoją wreszcie w troki i pojechał po te nieszczęsne zakupy... Co mówisz? Nic nie mówisz... Chryste – Paweł złapał się za głowę – gadam z mieczykiem. Doktora! – po czym wyleciał, trzaskając drzwiami.

Rybka była mu potrzebna przede wszystkim do towarzystwa. Nie da się ukryć, perspektywy perspektywami, tłuczona kasa tłuczoną kasą, ale samopoczucie? Paskudne było i Paweł coraz częściej się zastanawiał, czy siedzenie tutaj ma jakikolwiek sens. Niejednokrotnie dzwonił do Jacka i próbował z nim to na trzeźwo przedyskutować, ale przyjaciel używał nieodmiennie tych samych argumentów!

Kasa.

Pozycja.

Przyszłość.

– Człowieku, tutaj nie będziesz miał takich możliwości jak tam i dobrze o tym wiesz, a że chwilowo masz doła, to nie powód, żeby rzucać

wszystko w cholerę i zaprzepaszczając, może jedyną, niepowtarzalną szansę. To życiowa okazja! Co ty, baba jesteś?

– Jaka baba znowu?

– No, że się rozmaślasz. A propos baby, może tego właśnie ci brakuje, nie mów mi tylko, że nie ma tam kobiet. Nie mów mi.

– Nie mówię.

I faktycznie, starał się jak najszybciej kończyć rozmowę, bo temat Matyldy wypływał w takich rozmowach nieodmiennie. Prędzej, czy później, z jego inicjatywy albo z Jacka, ale wypływał zawsze. A on już miał dosyć myślenia o Matyldzie, mówienia też.

Przepchnął się wózkiem na koniec kolejki i zaczął rozglądać po obcych twarzach. Nawet szum w hipermarketach był inny. Szmer głosów, taki twardy, głośny, wibrujący. Kobieta przed nim w kolejce pochyliła się nad czymś w wózku, po chwili obok Pawła pofrunęła jakaś kolorowa kulka i spadła tuż za jego koszykiem, pochylił się, podniósł i ruszył ze zgubą w kierunku stojącej przed nim kobiety. Kolorowa kulka okazała się własnością młodego obywatela, który od razu wyciągnął po nią pulchne rączki. A zrobił to tak zdecydowanie, że Paweł zupełnie instynktownie umieścił zabawkę w wyciągniętych dłoniach. W zamian za to otrzymał uśmiech.

Uśmiech zwalający z nóg.

Nieco wybrakowany, bo młodemu obywatelowi jeszcze na uzębieniu nie zbywało i mógł się poszczycić tylko dwoma malutkimi ząbkami w dolnej szczęce. Co zresztą czynił, prezentując owo uzębienie w całej okazałości.

Przy okazji produkując dwa dołeczki w pyzatyh policzkach i mrużąc malutkie oczka w jeszcze mniejsze szpareczki.

Pawła oszołomiło, rozbroiło, rozłożyło na łopatki... Nie słyszał

sarkania młodej mamusi, że brudne, że zarazki, że najpierw umyć, a dopiero później dziecko będzie mogło wziąć w rączki. Nie słyszał nic prócz radosnego gulgotania, które niosło się w jego kierunku, nie widział nic oprócz tego obezwładniającego uśmiechu.

W stanie rozłożenia całkowitego dojechał do domu i dopiero podczas rozpakowywania zakupów wrócił do rzeczywistości. Umożliwiło mu to kilka mało cenzuralnych słów będących reakcją na zawartość ekologicznych toreb. Znajdowały się w nich same przysmaki, fakt.

Ale przysmaki Matyldy.

Płatki zbożowe, takie co to zapewniają piękną figurę, ale są sprytnie wymieszane z tymi polanymi białą czekoladą, tak żeby i psyche miała używanie. Pieczywo chrupkie. Z sezamem. Winogrona. Ryba w pomidorach. On zawsze jadł rybki w oleju albo w occie, ale po sprawieniu sobie Petroniusza ryb jakoś w ogóle zaczął unikać. Na samą myśl, że Petroniusz miałby patrzeć, jak pożera jego pobratymców, robiło mu się tak jakoś... niesmacznie.

A tu proszę. I to jeszcze w pomidorach.

Zrezygowany, wypakował jeszcze niskotłuszczowe jogurty do lodówki, nasypał sobie płatków do miski, machnął ręką na mleko i powlókł się przed telewizor. Mecz.

Niech będzie mecz. Co z tego skoro nasi nie grają. No i pewnie, nie ma się co łudzić, w tej telewizji raczej nie zobaczy naszej reprezentacji.

Zaczął wyjadać płatki. Najpierw te bez czekolady. Wybierał bezbłędnie, słodkie zostawiając na koniec.

Tak jak Matylda.

Zupełnie nieświadomie.

Comiesięczna wizyta u przyjemnego pana doktora wypadła równie

przyjemnie jak zazwyczaj. Matylda dowiedziała się, że jej Kruszyńka rośnie zdrowo, przeświećlać jej nie ma na razie potrzeby, a wyniki są bardzo dobre. Chyba się młoda mamusia zdrowo odżywia i pilnuje. Taaak, młoda mamusia pasie się na tortach wszelkiego rodzaju, pani z pobliskiej cukierni musi mieć używanie. Z drugiej strony Matylda musiała przyznać sama przed sobą, najzupełniej szczerze, że faktycznie się pilnuje. Żadnego spreparowanego świństwa, obiady sporządzane zawsze własnoręcznie, ewentualnie przez nabzdyczoną Karolinę, ale równie zdrowe, pożywne i w ogóle.

Matylda wyszła z przychodni i wystawiła twarz do wrześniego słońca. Wieczory już bywały zimne, ale w dzień przygrzewało jak w lipcu. Czuła się dobrze. Wyglądała dobrze. Dzieciątko w jej brzuchu wprawdzie jeszcze malutkie, ale w tak komfortowych warunkach, jakich nigdy w życiu już mieć nie będzie. Wszystko się układa.

Tak jak powinno.

No prawie.

Westchnęła, a przed oczami mignęła jej twarz Pawła. Uśmiechnięta, pogodna, przyjazna. A jednocześnie już obca. Czym prędzej odpędziła tę wizję. Nie, postanowiła sobie Matylda, nic nie będzie nam zakłócać spokoju. Jest jak jest. Ma być bez tatusia, więc będzie, mam nadzieję, że mi to kiedyś wybaczysz, Kruszyńko.

Bo ostatnio Matylda zaczęła myśleć o braku nie tylko męża, ale i o braku tatusia. Zaczęła patrzeć pod kątem córki. Jak się będzie wychowywać bez ojca? Dać sobie radę w sensie czysto technicznym to jedno, ale zafundować dziecinie wybrakowaną rodzinę to drugie.

Odpowiedzialność. Duuuuż. Matylda próbowała wyobrazić sobie swoje życie bez ojca. Próbowała raz, drugi, dziesiąty i nijak jej to nie wychodziło. Za każdym razem widziała wyrwę, wielką, nie do zapełnienia.

Ale jeśli spojrzeć na to z drugiej strony... Ona miała ojca, więc ciężko sobie wyobrazić funkcjonowanie rodziny bez tego ciepłego człowieka, udał im się, ale Kruszyńska przecież nie będzie miała czego sobie wyobrazić... nie będzie miała do czego, czy raczej do kogo tęsknić...

A jeżeli w Pawle nagle obudzą się ojcowskie uczucia? Matylda przystanęła i zamarła z dłonią na klamce samochodu. Jeżeli nagle zażąda praw rodzicielskich? Cotygodniowych wizyt, albo połowy tygodnia u jednego rodzica, połowy u drugiego? To wtedy powie mu, że to nie jego dziecko. Zacisnęła zęby, gotowa bronić swojej córeczki przed życiem w rozbitej rodzinie jak lwica, wszelkimi możliwymi sposobami, używając wszelkich możliwych ciosów, nawet tych, którymi najbardziej się brzydziła: poniżej pasa.

Usiadła w samochodzie, automatycznie uchyliła okno i spojrzała przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Nagle dotarło do Matyldy z całą jasnością, że oto właśnie nadszedł czas, pojawiła się na tym świecie osoba, dla której jest w stanie kruszyć mury, którą jest w stanie ochraniać każdą cząstką siebie. Dla której jest gotowa zrobić wszystko, nie wyłączając zmiany wyznawanych do tej pory niezłomnych zasad.

– Normalne – wzruszyła ramionami kilkadziesiąt minut później Magda. – Ja tak miałam dwa razy. Do tej pory mi zostało, wiesz, z tymi murami to nie przesadzaj, ale tak jest. Zrobisz dla niej albo dla niego...

– Dla niej – wtrąciła Matylda tonem niedopuszczającym sprzeciwu. Jechały właśnie z Magdą do pani Basi wybrać ozdoby do świeżo wynajętego lokalu.

– Niech będzie, że dla niej. Człowiek nawet nie wie, jaki potencjał w nim tkwi, dopóki nie zajdzie potrzeba ujawnienia tegoż. Zobaczysz. –

Magda zerknęła na nią, odrywając na chwilę wzrok od drogi. – A powiedz mi, co zrobisz, jak będzie chłopczyk?

– Jak to co zrobię? Kochać będę. A dlaczego pytasz?

– No cały czas, tak wiesz, dziewczynka, dziewczynka, córeczka, żebyś się nie zdziwiła.

– Madziul, a ty wiedziałaś, co będzie?

– Wiedziałam, jak mi pan doktor przejechał po brzuchu, prześwietlił gdzie trzeba, to wiedziałam.

– Dobra, inaczej, nie czułaś, że to będzie Maciuś, chłopiec, a później, że Ewunia się urodzi, Ewunia dziewczynunia?

– A wiesz, że chyba nie...

– No widzisz, a ja chyba czuję, śni mi się... nie rzyj.

– Się uśmiecham. Subtelna różnica. Jesteśmy! – Magda zaciągnęła ręczny hamulec i spojrzała na dom ciotki. Architektoniczne dzieło sztuki z późnych lat pięćdziesiątych, piękne oplecione winoroślą. – Matyllda.

– No.

– Powiedz, nie żałujesz?

– Czego znowu?

– Że cię w to wariactwo wciągnęłam, to po pierwsze, a po drugie wiesz... to trochę odbiega od tego, co robiłaś wcześniej, jakby nie patrzeć masz troszkę wyższe kwalifikacje...

– Ludzie, trzymajcie mnie. Jakie znaczenie mają kwalifikacje? Jakie znaczenie ma to, co robię? Najważniejsze, żebym robiła to dobrze! Poza tym twoja ciotka jako jedyna obdarzyła mnie zaufaniem, dała szansę. To dla mnie dużo, bardzo dużo. Poza tym mam możliwość wypróbowania swoich sił na zupełnie nowym polu, takie wyzwanie, wiesz. No i – Matyllda poklepała się delikatnie po brzuchu – Kruszyńka będzie miała w co się

ubrać. Dziękuję ci Magda. Życie nam uratowałaś – dodała poważnie.

– Aj tam, od razu uratowałaś – Magda próbowała zatuszować wzruszenie i zadowolenie. – Chodź, bo huk roboty nas czeka. Dam głowę, że dzisiaj i tak nie skończymy.

Miała rację. Pani Basia otworzyła im drzwi z uśmiechem na ustach i nosem umazanym na szaro. Błękitny dres pokrywały tu i ówdzie różnokolorowe plamy, a w dłoniach gospodyni domu dzierżyła pokaźnych rozmiarów poroże. Ot tak, zamiast kubka z kawą, na przykład.

– Chodźcie, wodę wstawiłam i zaczęłam właściwie bez was, bo już się nie mogłam doczekać. Madziu, ty kawę, a ty Matyldo... o ups, przepraszam – zreflektowała się, rzucając poroże na podłogę przestronnego przedpokoju – a właściwie nie przepraszam. Skoro mamy razem pracować, to wołałabym uniknąć oficjalnej formy, co ty na to? Basia.

– Matylda.

– No włączcie, rzucajcie, co tam macie do zrzucenia, najpierw do kuchni. Tobie Matyldo zafunduję mieszankę owocową, moją ulubioną z wanilią i cynamonem.

Huk roboty to najdelikatniejsze określenie tego, co trzeba było przejrzeć, o czym wysłuchać historii i dla czego znaleźć zastosowanie w ich biurze. Matylda wyciągnęła się w łóżku, prostując wszystkie kosteczki. One zaś zgodnie zachrzęściły, jakby z zadowoleniem. Okazało się, że niezmordowana Basia ma w całym domu zaledwie dwa pomieszczenia nadające się do tak banalnej czynności jak mieszkanie.

Reszta była zagracona dokumentnie wszelkiego rodzaju pamiątkami z różnych zakątków ziemi. Widać, słyszać i czuć tam było egzotykę z każdego, najmniejszego nawet kąta. Chodziły z Magdą od jednej do drugiej rzeczy z wypiekami na twarzy, słuchały historii egipskich kotów, mieczy,

figurek, gobelinów, kawałków drewna. Oprócz tego, że każdy drobiazg miał swoją historię, z jego zdobyciem wiązało się też jakieś ciekawe wydarzenie. Basia miała w swoim domu prawdziwy skarbiec, raj dla kolekcjonerów i mimo tego, że każdy przedmiot miał dla niej wartość sentymentalną, bo przenosił ją w przeszłość, widziane miejsca, przypominał poznanych ludzi, nie zdawała sobie sprawy z jego rzeczywistej wartości.

Matylda przewróciła się na drugi bok, po czym włożyła dłonie pod poduszkę. Zdumiewająca kobieta, zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim w ciszę wdarł się podniesiony głos siostry.

– Stoję tu już jakiś czas, a ty w ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię. Halo, Mati jesteś?

– Nie mów do mnie Mati, proszę cię, Karolina, nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz – sarknęła w poduszkę.

– Nareszcie raczyłaś się zjawić, noc już ciemna za oknem, a ty dopiero wracasz do domu. Nic cię nie interesuje, co się na przykład ze mną dzieje, czy mam co jeść, czy nikt mi nie zrobił krzywdy... – Karolina najwyraźniej miała zamiar dopiero rozwinąć swoją wyliczankę, na co wskazywały rozczapierzone palce obu dłoni, wyciągnięte w kierunku starszej siostry, ale Matylda nie zdzierżyła. Podniosła się z łóżka energicznie, chociaż całe jej ciało jęknęło w cichym proteście i ruszyła do kuchni.

– Nawet nie masz zamiaru ze mną rozmawiać – dobiegło do niej z tyłu wraz z donośnym tupaniem. Och, dzisiaj spokoju nie będzie, młoda najwyraźniej ma ochotę się wyżalić. Niech więc mówi. – Matylda! Ty wzruszasz ramionami? Jak mam to rozumieć?

– Normalnie. Gdzie mleko?

– W lodówce, a gdzie ma być.

– Nie ma w lodówce – Matylda dla świętego spokoju jeszcze raz przeczesła wzrokiem półki.

– O cholera, zapomniałam rozpakować zakupów – Karolina rzuciła się do przedpokoju, a po chwili wróciła, trzymając w obu rękach płócienne torby.

– Daj mleko.

– Czekaj, mleko nie najważniejsze.

– Najważniejsze, daj, kakao niewyjedzone?

– No wiesz...

– Nic nie wiem, ale lubiłaś podjadać z bitą śmietaną, a że lubisz dalej, to pytam.

– Niewyjedzone.

Dopiero gdy temperatura mleka osiągnęła pożądaną wysokość, co mikrofali zajmowało zawsze niespełna półtorej minuty, odpowiednia ilość granulatu rozpuściła się w mleku, a sam napój trafił wreszcie do żołądka Matyldy, ta zmiłowała się nad siostrą.

– Coś się stało?

– Nic się nie stało. Dużo się stało – furknęła młoda, ważąc w dłoniach mięso. – Dobre jeszcze?

– To zależy, o której byłaś na zakupach.

– Po południu.

– Się zobaczy, pakuj na razie do lodówki i opowiadaj.

– A co tu jest do opowiadania. Nic. Sąsiad woli chyba się uczyć, zamiast spędzać czas ze mną, znaczy w moim towarzystwie na, powiedzmy, przyjemnych spacerach.

– Znaczy olał cię?

– Nie siorb.

– Będę. Olał?

– Co to w ogóle znaczy: olał? Nie zadzwonił wczoraj, dzisiaj też się nie odezwał, nie zajrzał do nas, no powiedz, co ja mam sobie myśleć?

– Nic nie masz myśleć, masz poczekać i broń Boże, powtarzam, broń cię panie Boże, żebyś leciała do niego. A widzę, że łązi ci to po głowie, zapomnij.

– A cz... oj dobra, wiem. Tylko powiedz mi, sioster, dlaczego oni tacy jacyś skomplikowani strasznie? – Karolina westchnęła ciężko i popatrzyła na Matyldę swoimi szczerymi oczami.

– Podobno to my jesteśmy skomplikowane, a oni prości, wiesz? W każdym razie, my stąd a oni stamtąd, a może znikąd właściwie. Sama nie wiem. Jedno jest pewne, z dwóch różnych miejsc pochodzimy i dlatego tak się to dziwnie układa. Ale gwoli pocieszenia dodam tylko, że w twojej sytuacji układa się całkiem normalnie i nie masz czego panikować moja droga.

– Jak to nie mam, dlaczego on się nie odzywa?

– Młoda, ja wiem, że jak już coś złapiesz, to chciałabyś mieć to cały czas przy sobie i na kompletną wyłączność, ale tak nie da rady. Wyobraź sobie, że gość ma jakieś zajęcia, ma swoje życie, do którego wkroczyłaś całkiem niedawno, więc nie dziw mu się, że...

– Ale zadzwonić albo chociaż smsa wysłać by mógł, tak czy nie?

– Mógłby, ale wcale nie musi.

– Aj tam, nie podobam mu się i tyle – Karolina westchnęła z głębi serca i zapatrzyła się z rozpaczą w okno. U niej wszystko sięgało skraju. Matylda z kolei westchnęła sobie do końcówki kakao.

– Nie będę cię przekonywać, bo to jakby nie ma sensu.

– Nic nie ma sensu – kolejne westchnienie i jeszcze dalszy rzut oka w

mroczną przestrzeń. Matko, dlaczego ona nie poszła do szkoły teatralnej, zadała sobie po raz tysięczny pytanie Matylda.

– A oprócz tego, coś się wydarzyło? Coś, co wymagałoby natychmiastowej siostrzanej interwencji?

– A to mało według ciebie? – w Matyldę wbiło się spojrzenie pełne rozpacz, po chwili jednak spojrzenie złagodniało.

– Mama przyjeżdża.

– O, kiedy? – w domyśle – po co?

– W ten weekend. I nareszcie powiem jej, co tu się wyprawia, że nie wracasz nocami do domu, że cię w ogóle nie interesuję, że jestem zdana sama na siebie...

– Sama? – Matylda zabębniła palcami w stół z rodzącym się, niekoniecznie przyjemnym, przecuciem. Jak się okazało słusznym, bo siostra przechyliła się w jej kierunku, uśmiechnęła najpaskudniejszym z uśmiechów i powiadomiła.

– Nie, nie sama. Z Patrykiem. Jemu też powiem, wszystko powiem. Jak o sobie dbasz, a raczej, że nie dbasz w ogóle. A prosił mnie, prosił, żebym cię pilnowała.

– Prosił?

– Tak, a tymczasem czuję się podle, bo niestety zawiodłam **go...**

– Milcz – ucięła krótko Matylda – idę spać. A ty na jutro niczego sobie nie planuj, zabieram cię ze sobą.

– Gdzie i po co?

– Jak to po co? Żebyś miała szansę mnie popilnować, parę kartonów przenieść, no i w ogóle. Dobranoc, pobudka o siódmej. Najpóźniej.

Karolina po raz kolejny pomstowała na siebie. Na swój niewyparzony jęzor i na stoicki spokój Matyldy. Cholera, znowu postawi na swoim. Znowu

z kamiennym spokojem wysłuchała siostrzanych argumentów i znowu wyciągnęła z tych argumentów wszystko, co najkorzystniejsze dla niej. Dla Matyldy.

Och. Sarknęła i nastawiła budzik. Nie było sensu się sprzeciwiać. Poza tym... niech no ten piękny sąsiad zobaczy, że ona też ma jakieś zajęcia i nie będzie na każde skinienie jego paluszka. Co to, to nie. Uklepała energicznie poduszkę i wskoczyła do łóżka. Jakoś nie przyszło jej przez myśl, że sąsiad mógł mieć w kwestii skinień zupełnie inne poglądy.

* * *

W pensjonacie powoli nadchodził wieczór, pani Zofia zebrała pranie z balkonu i wpatrując się w zachodzące na czerwono słońce, zaczęła planować kolejny dzień. Odmachała miłemu Robertowi, który właśnie przemierzał podwórko zaopatrzone w wędkę i okazałych rozmiarów torbę.

Ten to ma zacięcie, pani Zofia pokiwała głową, przewieszając sobie przez ramię kolejne prześcieradło. Przyjeżdża zawsze sam. Zawsze na okres przynajmniej tygodnia. Wiezorami pędzi na te swoje rybki, rano odeśpi chwilę, a potem biegnie na grzyby. Później wspólnie z gospodynią rozkładali zbiory na gazetach, sortowali te do zasuszenia, do sosu, do marynowania. Pani Zofia udostępniała mu pensjonatową kuchnię w zamian za dodatek do obiadu, a czasami i cały obiad, ale i tak wczasowicz zawsze wyjeżdżał obciążony torbami z prowiantem.

Gości traktowała niczym krewnych. Może dlatego, że lubiła ludzi, łatwiej przychodziło jej żyć się z tymi, którzy przyjeżdżali tu regularnie od kilku lat. Mieli swoje przyzwyczajenia, wchodzili w tutejszy rytm życia bezboleśnie, a po pewnym czasie, już oswojeni, zaczęli funkcjonować na prawach członków.

Ech, rodzina. Jutro się zobaczy, jak prawdziwa rodzina daje sobie radę

i czy aby na pewno daje.

– Te po jedzeniu też wzięłeś? – zagadnęła męża tuż po kolacji, gdy każde zasiadło do stołu ze swoim pojemniczkiem lekarstw.

– Wziąłem... albo i nie wzięłem. Nie pamiętam – mąż podrapał się w głowę i spojrzał bezradnie na panią Zofię – to co, wziąć?

– Nie. Nie można. Napisane masz w ulotce jak wół: w przypadku pominięcia dawki nie brać podwójnie. Znaczy, lepiej nie bierz. Ech – westchnęła, rozkładając na stole najnowsze czasopisma. Raz w tygodniu wybierała z kolorowych gazet co ciekawsze przepisy, analizowała stopień trudności, koszty. Te, które spełniały wszystkie wymagania, były skrzętnie wycinane i dokładane do ogromnego segregatora.

– Czemu wzdychasz Zosiu, boli cię coś? Może miętę zaparzę? – pan Włodzimierz wpatrzył się w żonę zatroskanym wzrokiem.

– Martwię się.

– To się nie martw. Dadzą sobie radę.

– Aj, łatwo ci powiedzieć. Zaparz miętę, jeszcze ciepły ten chleb był, taką kluseczkę mi zrobił w żołądku. Martwię się i tyle, a ty mówisz, że dadzą sobie radę. Może i dadzą, ale jak? A nie lepiej by im było tutaj? No powiedz sam – okulary żony zjechały na sam czubek nosa, a ona wymachiwała energicznie kartką z bajeczną roladą kokosową. – Praca spokojna, dużo jej to prawda, ale spokojna, nikt nad głową nie sterczy, nikt nie dyktuje warunków, spokój, cisza, natura, no i Patryk pod nosem. Ja tam wierzę, że oni się jeszcze zejda.

– Powiedz mi, Zosiu, dlaczego tobie tak na tym zależy. Matylda sobie sama poradzi, na mój gust nie musi chwytać pierwszego lepszego z brzegu mężczyzny...

– Patryk nie jest pierwszy lepszy – zaperzyła się – to porządny

człowiek, zadba o nią. A ja wiem, że ona jest w stanie sobie poradzić, ale kto jej miętę zaparzy, kto poduszkę podłoży pod plecy, no powiedz. Kto przytuli, wstanie do dziecka w nocy. Nie mówię, że zawsze, ale chociaż parę razy. No i pensjonatem by się zajęła, ja jeszcze trochę i nie dam sobie rady. O, widzisz – klepnęła się w krągłe kolano z całą mocą – zapomniałam o pająkach.

– A co z pająkami?

– No widzisz, no widzisz.

– Co widzę, Zosiu?

– No właśnie nic nie widzisz. Jeszcze trochę, a oplotą dom pajęczyną tak, że nie będzie nic widać. A ty nie widzisz. No i co się śmiejesz, tu nic do śmiechu nie ma.

– A bo jakoś strasznie dużo widzenia ci wyszło.

– Ech, nieważne. Wszystko na mojej głowie. Jak zwykle.

– Zosiu...?

– No co, a może nie?

– Zosiu, przecież wiesz, że jej takie życie nie pasuje. Ona wcale nie chce tu wracać, kocha miasto, kocha jego zgiełk, tętno, zabieganych ludzi też tam kocha, dlaczego miałyby tu przyjeżdżać? Po to tylko, żeby się unieszczęśliwić?

– O dziecku powinna pomyśleć. Wyobraź sobie, jak miałyby tu cudownie – pani Zofia rozczapierzyła pulchną dłoń i zaczęła wyliczać – świeże powietrze, własne podwórko, naokoło mnóstwo zieleni, dziadkowie na miejscu, byłoby się komu zająć w razie czego, a tam? Co ono tam będzie miało?

– Moje wnuczę w sensie? Ha, do tej pory jakoś nie mogę się przyzwyczaić do myślenia o sobie jako o dziadku. A może, a może, Zosiu,

będzie miało po prostu szczęśliwą mamę?

– Ech, taka to właśnie rozmowa z tobą... a może i masz rację, zobaczymy – wstała z błyskiem w oku. – Zajmiesz się jutro wszystkim, dobrze? A ja sprawdzę, jak sobie nasze dziewczynki dają radę.

Pani Zofia miała cichuteńką nadzieję, że rady sobie jednak nie dają. Że za sprawą jakiegoś zrządzenia losu, cudownego oczywiście, Matylda powróci na łono rodziny wsparta na silnym ramieniu Patryka. O ile ją miała, to nadzieja ta ulotniła się wraz z dochodzącym spod drzwi mieszkania córek zapachem. Zapach owionął ją silniej, gdy otworzyły się drzwi, a w nich stanęła Matylda, jakby nieznacznie okrąglejsza, rumiana, ze śmiechem w oczach i na ustach. Pani Zofia zauważyła, że Patryka zdecydowanie zatchnęło, na twarzy odmalował mu się dziki zachwyty, taki z gatunku niezupełnie racjonalnych i nie do zmycia. Jak nie przymierzając, ten grzyb w górnej łazience, ten na ścianie. Wykwitał parę dni po nałożeniu wszelkiego rodzaju preparatów, osiągał swoje standardowe rozmiary pięć na dwadzieścia centymetrów i tkwił bezczelnie, mając w głębokim poważaniu wszelkie starania właścicieli ściany. Fuj, wybacz Patryku, ofuknęła samą siebie w duchu, gdzież tak człowieka do grzyba porównywać...

– Pyszne, co to za sos, gadaj mi natychmiast, córko, albo najlepiej pisz od razu przepis, musztardę czuję na pewno, z miodem? – Pani Zofia zachwycała się delikatnym smakiem połówiczek wieprzowych.

– Z miodem, z sezamem i różnymi innymi rzeczami – zaśmiała się Matylda dokładając Patrykowi czwartą albo i piątą porcję, jakoś straciła rachubę. A on dalej nic, tylko patrzył na nią i nic nie mówił. O matko, co za mężczyzna, proszę, a wystarczyło, żeby Matylda o coś poprosiła, już, już pędził. Nie zdążyła nawet dokończyć zdania, a już to miała na kolanach. Jej samej może by to odpowiadało, ha, o ile wygodniej? Ale Włodzimierz

swego czasu schytrzył się na tyle, że udawał niezrozumienie, a że jej nie chciało się tłumaczyć, robiła sama. A ten tutaj, ech. Tyle, że Matylda nie potrzebuje tego zupełnie, ona, może kiedyś zmądrzeje, daj Boże, zawsze uważała, że musi wszystko sama. Że wszystko musi poznać, wszystkiego się nauczyć. Dobrze było w domu, zwłaszcza poczciwy Włodzio korzystał, bo Matylda potrafiła i kran naprawić, kabelki po – przykręcać. Kiedyś nawet grzebała w matczynym radiu no i dogrzebała się usterki. Z książką na kolanach albo wyżebraną u kolegów wiedzą, łapała się za wszystko i niczemu nigdy nie przepuściła. Dopóki nie zadziało znowu jak trzeba. Ech, no przecież teraz się nie zmieni, a nawet gdyby... może Włodek ma rację, może byłaby nieszczęśliwa.

Przyjrzała się córce, opowiadającej o tej niesamowitej kobiecie, która sama przemierzyła świat wzdłuż i wszerz, przyglądała się entuzjizmowi Matyldy, kiedy naświetlała im plany biura turystycznego.

– A ty myślisz córeczko, że to dobry czas na otwieranie takiego interesu? – zainteresowała się znad kawałka ciasta z malinami.

– W jakim sensie, mamo, że kryzys, czy jak?

– Kryzys jak kryzys, chociaż to pewnie też ma znaczenie, ale pora taka jakaś już posezonowa... nie wiem.

– Mamo, sezon jest cały rok, ludzie wyjeżdżają nie tylko latem, wierz mi.

– No wierzę ci, wierzę, kochana, tylko jakoś sobie tego nie wyobrażam.

– A zezwolenie już macie? – Patryk wpatrywał się w Matyldę od dłuższego czasu, nie odzywając się wcale, więc poczuł się w obowiązku powiedzenia czegokolwiek. Chociaż wcale go to biuro nie interesowało. Wręcz przeciwnie, wyglądało na to, że zatrzyma Matyldę dłużej w stolicy.

– Mamy, mamy zezwolenie, mamy wpisy, mamy właściwie wszystko załatwione, całą papierologię. Okazało się, że Basia przystąpiła do realizacji planu już bardzo dawno temu – zaśmiała się Matylda.

– To znaczy, że co? Tłumacz córko, bo zaczyna mnie ta Basia interesować.

– I słusznie, spodobałaby ci się, mamó misiowa.

– Och, na jakiś czas był spokój – westchnęła pani Zofia, wznosząc oczy do nieba – ale z drugiej strony zdaje się, że dochodzisz, Matusiu ty mój, do siebie, prawda?

– Prawda – Matylda impulsywnie przechyliła się nad stołem i cmoknęła matkę w policzek. Przy okazji udało jej się przejechać zupełnie przypadkiem, biustem po dłoniach Patryka. Ale *to* zauważyła tylko pani Zofia, bo *to* że się zerwał, ściągając za sobą obrus z prawie wszystkim nakryciami, to zauważyli wszyscy.

– Przepraszam panie na chwilę – i wyleciał oparzony.

– Oj, mam nadzieję, że nic mu nie zaszkodziło, co? – Karolina jako sprawczyni połowy z podanych potraw poczuła się do odpowiedzialności.

– Nie, hehe, spokojnie, co innego mu szkodzi, ale... – pani Zofia pytające spojrzenia córek zbyła krótkim machnięciem ręki – nieważne. Opowiadaj, co to znaczy, że zaczęła już wcześniej.

– No wiesz, okazuje się, że ona gromadziła kontakty od lat. Właściwie od swojej pierwszej podróży, mamó, tego jest cała fura. Pensjonaty, hotele, domy prywatne, tysiące telefonów, adresów, przewodników, no mówię ci, chwilami mam wrażenie, że ona z połową populacji naszego globu jest na ty, a z drugą per pan, pani.

– Dobrze, fantastyczna, wszystko sobie zorganizowała, wszystko zaplanowała, tylko wiesz, córeczko, ja tak sceptycznie podchodzę do

otwierania tego typu biznesu...

– Hola, hola, podobnie podchodziłaś do otwarcia pensjonatu, o ile dobrze pamiętam.

– Aj, tam, wtedy to był taki ośli upór, rozumiesz, strach przed nieznanym, ale tutaj... zastanawiałaś się, ile biur podróży ostatnimi czasy zamyka swoje podwoje, patrz jak mi się ładnie powiedziało – ucieszyła się pani Zofia.

– Bardzo ładnie.

– No więc?

– Ale co więc. Mamo, to nie będzie takie sobie tradycyjne biuro turystyczne.

– O, no właśnie o to mi chodzi.

– Tu się nie martw, mamy z Basią taką koncepcję, że... no, że mucha nie siada, że się tak wyrażę.

– Rozumiem, o szczegółach dowiem się w najbliższej przyszłości?

– Jak najbardziej – uśmiechnęła się Matylda, omijając wracającego Patryka szerokim łukiem. – Komu jeszcze coś do picia?

A czemu ona go tak omija? Poza tym jednym przypadkiem, bo to ewidentnie przypadek był, stara się utrzymać dystans przynajmniej paru metrów. Ciekawe, ciekawe. Poczciwej pani Zofii nie przyszło bowiem do głowy najprostsze z najprostszych wyjaśnień, że otóż jej córka fizycznie, najzwyczajniej i jak najbardziej czysto fizycznie w świecie, potrzebuje mężczyzny.

Bardzo go potrzebuje.

A jeżeli w jej pobliżu przebywa taki właściwie stuprocentowy facet, ale zdecydowanie nie do wzięcia, jedyne co pozostaje, to omijać go z daleka.

Tak, żeby zaoszczędzić sobie cierpień.

Reszta września minęła na projektowaniu, segregowaniu papierów, zakładaniu katalogów i ustawianiu wszystkiego w nowym biurze.

Tworzyły z Basią genialny duet. Tam gdzie Basia wyobraźnia i rozszalałe zapędy twórcze zdecydowanie przekraczały granice przyzwoitości, Matylda wykazywała się swoim wrodzonym rozsądkiem i sprowadzała współpracowniczkę delikatnie na ziemię. Tam z kolei, gdzie zanadto uwierało nieodchodzące ani na milimetr od ujętych standardów myślenie Matyldy, Basia z cierpliwością i zaangażowaniem poszerzała horyzonty swojej nowej pracownicy.

Założenie było proste!

Biuro ma być inne. Wystrój nie może w niczym przypominać oklejonych plakatami z Lazurowym Wybrzeżem pomieszczeń. Projekty wycieczek mają być nowatorskie.

Inne.

Świeże.

Basia wykonała część pracy w ubiegłych latach, sporządzała notatki z każdego zakątka ziemi, a każdą myśl zapisywała skrętnie na wszelkiego rodzaju karteluszki. Teraz musiały to zebrać do kupy, poukładać i nadać kształt konkretnych propozycji.

– Basiu nie możemy wałnąć wszystkiego jak leci, to, że nam tu naprodukowali tych gipsowych postumentów to nie wszystko.

– Nie mów postumentów, bo mnie się jakoś źle kojarzy.

– Basia wyciągała z tekturowego pudła swoje skarby. A robiła to z ogromną czułością i chęcią, żeby wszystko już powystawiać i żeby wreszcie inni mogli je podziwiać.

– A jak mam mówić? Poczekaj, posłuchaj mnie – Matylda odciągnęła

ją siłą od malutkiej figurki kota.

– No słucham.

– Nie można tu zrobić wystawy, to znaczy nie. Można właściwie, tylko że to musi mieć ręce i nogi. Najpierw trzeba mieć jakąś ogólną koncepcję.

– Oj, Matyllda, nie wszystko musi mieć jakieś tam koncepcje. Idźmy na żywiół.

– Nie pójdziemy na żywiół.

– O, a to dlaczego?

– Dlatego, że najpierw trzeba nadać temu wnętrzu jakiś ogólny zarys.

– To znaczy?

– To znaczy, że skoro ma być niestandardowo, to musimy pomyśleć, czy ma być egzotycznie czy tradycyjnie. Zostaw te figurki, chodź na kawę. Weź też swoje notatki. – Gdy już się usadowiły w pobliskiej kafejce, Matyllda kontynuowała: – Mamy jeszcze fundusze?

– Mamy.

– Dużo?

– Dużo, nie przejmuj się, tylko powiedz, co kombinujesz.

– A właścicielka lokalu nie będzie miała nic przeciwko drobnemu remontowi?

– Przeciwno gipsowym słupkom nie miała, to przeciw poważniejszym zmianom chyba też nie powinna mieć. Wygląda na otwartą osobę.

– Nie wiem, może to twój zbawienny wpływ, ale ja nigdy sama z siebie takich pomysłów nie miałam – Matyllda wzięła szkicownik i zaczęła coś nieudolnie mazać. – Gdyby na przykład na suficie podwiesić jakąś strzechę, jakąś słomę, czy inne naturalne cholerstwo, te gipsowe stojaczki czymś poprzykrywać, niech też będzie naturalnie...

– Aaaaaa, już wiem – Basia wyrwała jej notes i zaczęła mruczeć – tobie chodzi o to, żeby nadać wygląd chaty, nie chaty...

– No, coś w tym stylu, tylko teraz pytanie, jak walniemy strzechę... Basiu, a czy czasami strzecha to nie na zewnątrz tylko?

– Chyba tak, nieważne, wiem o co ci chodzi. Jak walniemy strzechę, to egipskie figurki i chińskie miecze będą tam pasować jak pięść do nosa.

– No właśnie. Z kolei jak się zrobi wewnątrz piramidy, to siwaki z Podlasia i pisanki z Lipska można będzie włożyć z powrotem do kartonu. I na strych.

– O nie, nie, myśl Matyllda, myśl – Basia przygryzała końcówkę długopisu.

– Ja nic innego nie robię, tylko od dobrych paru dni myślę.

– A reklamę załatwiłaś? Odzywałaś się do tego kolegi z poprzedniej pracy? – Basia na chwilę oderwała wzrok od zamazanej kartki.

– Jeszcze nie.

– Matyllda... jeżeli nie chcesz, to daj sobie spokój, ja przecież mogę we własnym zakresie...

– Nie, to nie o to chodzi – Matyllda wpatrzyła się w krople jesiennego deszczu spokojnie sobie płynące po szybie – to nie o to chodzi, przecież sama proponowałam.

– Nie wnikać?

– Chyba nie ma w co wnikać. To tak, jakbym musiała na chwilę wrócić w miejsce, w którym żyłam na pół gwizdka, za sprawą... nie wiem, chyba siebie samej. Ty w ogóle rozumiesz coś z tego, co ja gadam?

– No kochana, ja raczej inteligentna jestem – Basia zaśmiała się głośno, po chwili zaś spowaźniała. – Tylko pamiętaj, że wracasz w to miejsce o wiele bogatsza i o niebo mądrzejsza. Nie śmieć się.

– Taaak, no i dodaj jeszcze o wiele mniej odważna.

– Nie masz racji.

– Jak to nie mam? To powiedz mi, dlaczego tyle czasu to odwlekam, odkładam coś, co powinnam zrobić już dawno, nigdy mi się to wcześniej nie zdarzało, moja droga.

– Człowiek instynktownie unika nieprzyjemności, wiesz, stara się omijać je szerokim łukiem. Z różnych powodów, jednym robią źle na psyche, innym dodają wieku, jeszcze innym garbią plecy i wciskają jakieś paskudne choroby w ręce czy nogi. Generalnie, kończyny. Dlatego ludzie starają się je omijać. A ty... – wskazała palcem na brzuch Matyldy – ty, moja droga walczysz teraz za was dwie. Patrz przyjęło mi się myślenie o dzieciątku w rodzaju żeńskim, tak więc instynktownie unikasz tego, co mogłoby jej zaszkodzić. Chronisz ją.

– Tak zupełnie podświadomie, myślisz?

– Myślę, najpewniej jak się da. Więc decyduj, jeżeli ja mam się tym zająć, to już, nie ma problemu...

– Nie, Basiu, zobowiązałam się, a poza tym trzeba chwycić byka za rogi – weszła jej w słowo Matylda – a Kruszynie się wytłumaczy. Ostatnio dużo jej tłumaczę.

– Hihi, pomaga?

– Komu, mnie? Mnie na pewno – zaśmiała się Matylda.

– Jej też... Matyldaaaa! A jakby zrobić koncepcję łączoną?! Lecimy do biura!

– No normalnie wyświatlaczowi nie wierzę! Matylda, to ty?!

– Hm, cześć Marcinie.

– Ot, takie zwykłe *cześć Marcinie*, nie odzywasz się, słuch wszelki po tobie zaginał, co prawda Weronika przynosi jakieś tam wieści, ale jakoś jej

nie dowierzam. Co tam, gadaj.

– Oj, gadaj, gadaj, masz wolne trzy godziny? – odetchnęła z ulgą, słysząc znajomy śmiech.

– Ile chcesz.

– Zawsze układny, akuratywny i uprzejmy.

– Szkoda, że na jakiś czas o tym zapomniałaś – wytknął jej z żalem w głosie. – Bombardowałem telefonami, zostawiałem wiadomości, maile wysyłałem, a ty nic, zero odpowiedzi.

– Masz rację, Świnia jestem.

– Świnia, nie Świnia, odciąć się chciałaś, co? – domyślił się.

– Jakbyś zgadł. Teraz też przybierałam się do tego telefonu już czas jakiś.

– Fusia.

– Zaraz tam fusia, to jak, masz dla mnie chwilę? Bo tak przez telefon, to niekoniecznie bym chciała.

– Dzisiaj? – chwila zastanowienia i szelest przewracanych kartek. – Kole siedemnastej będę do twojej dyspozycji, pasuje?

– Pasuje. Dzięki Marcin.

– To ja dziękuję, że się odezwałaś.

Na widok Marcina siedzącego w rogu sali przyjemnej restauracyjki nie dostała żadnych nieprzyjemnych skurczy żołądka. Ot, przypomniało się to i owo, niekoniecznie sympatycznie, ale ogólnie była zadowolona, że go widzi. On najwyraźniej też, bo rzucił się od razu do ściskania i obcałowywania.

– Wiesz, jak wyglądasz? – odsunął się wreszcie na odległość ramienia.

– No, powiedz mi, wyglądam jak matka Polka w stanie wczesnego

rozpasienia.

– Głupiaś. Nigdy tak nie wyglądałaś, ja tam nie umiem prawić kobietom komplementów, ale wyglądasz po prostu kwitnąco.

Jakoś tak szczerze mu to wyszło. Faktycznie, Matyldzie tych parę kilogramów załagodziło rysy, włosom do tej pory utrzymanym w twardej dyscyplinie, tak żeby nie dorastały dalej niż za ucho, pozwoliła spokojnie rosnąć z jednej strony, drugą wycieniowała za namową Magdy bardzo króciutko. Dodała parę jaśniejszych pasemek, dzięki czemu oczy zyskały blasku, ale jej samej jakoś brakowało obiektywizmu i patrząc w lustro, widziała po prostu inną kobietę, ale czy bardziej atrakcyjną...? A ten tu facet, patrzył na nią z wyraźną przyjemnością, przyglądał się wręcz z zachwytem w oczach. Matylda boleśnie, po raz kolejny uświadomiła sobie, jak bardzo chciałyby ten zachwyt zobaczyć w innych oczach, jak bardzo brakuje jej... nie, nie jakiegoś tam faceta. Tylko tego jednego, konkretnego. Ooooch.

Po rzuceniu jeszcze paru zdawkowych uwag, Marcin powtórzył pytanie z rozmowy telefonicznej:

– Dlaczego się nie odzywałaś?

– No przecież sam na to wpadłeś.

– Niby rozumiem, ale nie rozumiem.

– A czego? – Matylda uśmiechnęła się. – Budynek to jedno, ale ludzi z tego budynku też raczej wolałam omijać szerokim łukiem. Wiesz, za dużo krzywdy, za dużo niesprawiedliwości, chamstwa.

– Hola, hola, czy ja mam zostawić ten pyszny makaron, bo mnie tu obrażają?

– Marcin, przecież nie ciebie.

– No jak nie mnie? – przyjrzał jej się uważnie. – Mówisz o ludziach,

stawiasz mnie obok Weroniki, Zuzanny i reszty. Stawiasz nas wszystkich w jednym rzędku. To nie fair.

– Może i masz rację, wybacz, ale jakoś tak należysz do mniejszości, a to większość stanowi o ogólnym wizerunku...

– To niech nie stanowi, przynajmniej w twoich oczach, ok? A za stawianie mnie w pobliżu Weroniki, powinienem się obrazić śmiertelnie i do końca życia.

– Przepraszam, wybacz, nigdy więcej, ok? Swoją drogą co tak cię wzięło? To, że rzuciła szefowi ploteczkę o mojej ciąży, tak sobie pochlebię trochę...

– Jaką ploteczkę? – Marcin zastygł z widelcem w połowie drogi do ust, po czym odłożył go z powrotem do talerza pełnego spaghetti. – Matyllda, to ty o niczym nie wiesz?

– O czym? – zainteresowała się, przeczuwając nieprzyjemności.

– To nie było rzucenie ploteczki. Nic z tych rzeczy, ona przecież się z nim umówiła specjalnie, zaplanowała to z premedytacją, chodziła później po całej firmie i opowiadała, na jakie kity dał się złapać. Podobno to, że byłaś w ciąży, nie stanowiło problemu, ona coś o twojej rodzinie nagadała, o mamie, że ciążę źle przechodziła, że leżała, że to dziedziczne, takie rzeczy kochana, oj Matyllda, zzieleniałaś...

– Możliwe – wysyczała przez zęby, jednocześnie licząc do dziesięciu, później do dwudziestu, wreszcie pomyślała o córeczce, której taki stres nie za dobrze zrobi. Gdyby w tej chwili zobaczyła to babsko, to wstrętne, pełne podłości i jadu babsztyłońsko, to by je przerobiła na miazgę. Zrobiłaby z niej siekane kotleciki, pytanie tylko komu potem dać je do pożarcia. No przecież nawet zwierząt szkoda, strułyby się na pewno. Ha, szefowi mogłaby podrzucić. Za pracę, za Pawła, ten jej głos dobiegający ze

śluchawki, taki rozespany, błogi, jak po spędzeniu... Matylda poczuła, że zaczyna znowu wrzeć, więc siłą woli powstrzymała rozbujającą wyobraźnię. Poza tym Marcin coś mówił. – Zamyśliłam się, możesz powtórzyć?

– No nic właściwie, mówię, że wcale ci się nie dziwię. Twojej złości, znaczy, a jeżeli jeszcze to wszystko, co mówiła o tym

– Marcin pstryknął palcami w kierunku Matyldy – o...

– No o kim?

– O twoim...

– Pawle...?

– O, no właśnie, nagadała, jaki to z niego niby donżuan, Matylda, czy ty aby na pewno chcesz, żebym dalej mówił, bo teraz jesteś podejrzenie czerwona...?

– Mów, temperatura do wrzenia mi się zbliża, chociaż to już przeszłość, więc zaraz pewnie opadnie – siląc się na spokój wzięła filiżankę do ręki i stwierdziła z zadowoleniem, że dłoń ani drgnie.

– No wiesz, podobno wtrzywała mu się do mieszkania, któraś z dziewczyn mówiła, że uwiesiła się jego ramienia, że właściwie nie odstępowała na krok, dopóki nie spiła go potężnie, a jak już doszli do mieszkania, okazało się, że on ma nie dość siły, żeby w jakikolwiek sposób protestować i...

– I uległ jej wdziękom, biedaczyna – wtrąciła ironicznie Matylda. Chciała dać Marciniowi do zrozumienia, że już nie może tego słuchać, żeby skończył temat, żeby nareszcie mogli porozmawiać, o tym, co ją w tej chwili, prócz dziecka, pochłaniało najbardziej. – Jedz, bo ci wystygnie.

– A gdzie tam uległ, nie dał rady jej pogonić, rozumiesz, a ona później to wszystko relacjonowała, ja nie wiem, czy ta kobieta nie ma poczucia smaku? Nie, ona niczego nie ma. Naśmiewała się, że niby taki facet,

stuprocentowy, a nie dał rady... no wiesz, tego...

– Daruj sobie, Marcin – nie wytrzymała w końcu – daruj sobie, nie jest to temat, który mnie teraz jakoś specjalnie interesuje, słuchaj, ja właściwie do ciebie mam taki sobie interes.

– Słucham cię, cholera, teraz z kolei ja, zdaje się, byłem nietaktowny.

– Się zdarza, ale nie biorę sobie tego do serca, nie przejmuj się.

– Matyllda, jestem do twojej dyspozycji, a tak w ogóle, to powinnaś wiedzieć, że ona teraz w firmie życia nie ma. Lojalka z tobą jest, jedyna osoba, która z nią jeszcze rozmawia, to Zuzanna, no i szef, ale on też jakby niechętnie. No, ale mów, zamieniam się w słuch.

Wieczorem Matyllda odgrzewała sobie mleko i zastanawiała się głęboko nad rozmową z dawnym kolegą. Zadeklarował swoją pomoc, na projekty mogły liczyć za free, za namiary też. W ramach dawnej współpracy. I chwala mu za to. Teraz zaś Matyldę nurtowały inne pytania: na ile był szczery, co właściwie chciał powiedzieć, co tam do cholery się między nimi działo. Miała oczywiście na myśli Weronikę i Pawła, no i jeżeli to wszystko prawda, to dlaczego ta kobieta tak strasznie się na nią uwzięła. Na dobrą sprawę uparła się, żeby zrujnować Matyldzie życie. Dlaczego?

Kakao powoli się rozpuszczało w kubeczku, a ona zaczęła wszystko analizować od początku.

Wbrew sobie, a jednocześnie w zgodzie z własnym sumieniem. Jak to było... Matyllda usiadła z kubkiem w dłoniach i zapatrzyła się w latarniane światła...

Jakoś im się zgadało. Właściwie nie od samego początku, trochę musiało potrwać. Najważniejszym czynnikiem sprzyjającym zgadaniu były oddzielne działy. Nie byłyby w stanie znieść swojej konkurencji. Podczas gdy Matyllda latała na różne szkolenia, zdobywała kolejne papierki

świadczące o dodatkowych umiejętnościach, Weronika wykuwała przepisy kodeksu pracy i wszystkie te związane z ubezpieczeniem społecznym. Ze wszystkim była na bieżąco i o nowych ustawach wiedziała zawsze pierwsza. Nie było w dziale personalnym osoby lepiej od niej poinformowanej.

Nie tylko w kwestiach prawnych zresztą.

Drobna, energiczna postać była zawsze tam, gdzie rodziła się nowa plotka czy sensacja. Owszem, zdarzało się, że to Weronika była jej autorką, najczęściej jednak stanowiła źródło najbardziej wiarygodne z możliwych. Niektórzy twierdzili, że zanim się zatrudniła w firmie, musiała oblecieć większość pomieszczeń i pozakładać podsłuch. Innej możliwości nie widzieli. No bo jak to? Tajemnice ściśle tajne rozchodziły się lotem błyskawicy, ledwie zostały ubrane w słowa, za pośrednictwem tego małego chochlika z personalnego.

Tymczasem Weronika umiała słuchać, kojarzyć fakty, a i znajomość ludzkiej psychiki nie była jej obca. A ludźmi przewidywalnymi Weronika najzwyczajniej w świecie gardziła. No, może nie gardziła, ale jakoś nie stanowili dla niej żadnego wyzwania, obcowanie z nimi było... nużące.

Tymczasem Matylda stanowiła od początku zagadkę. Otoczona murem prawie nie do przebycia, z profesjonalnym uśmiechem oddawała się tylko i wyłącznie pracy. Od rana do późnego popołudnia. Sporadyczne spotkania przy kawie miały pod znakiem pogody, aktualnych wydarzeń politycznych i artystycznych. Weronika najwyraźniej postawiła sobie za cel nadrzędny zrobienie dziureczki w nieprzebytym murze, wywiercenie na tyle dużej, żeby można było zajrzeć do środka.

Próbowała wszystkiego. Bezskutecznie. Wszystkie fortele stosowane z powodzeniem na innych, tutaj okazywały się kompletną klapą i niewypałem. Matylda nie dawała się wciągnąć we wzajemne wynurzenia. Dopiero...

zaraz... kiedy to było właściwie... aha, Weronika przyszła do niej szczerze siąpiąca nosem. I ta szczerłość zrobiła malutką wyrwę w Matyldowym ochronnym murze.

Weronika wymyślała niestworzone historie ze swoją skromną osobą w roli głównej. Osobą wielce poszkodowaną, oszukaną, skopaną psychicznie. Po czym, przyjmując słowa pocieszenia, przyglądała się uważnie uniesionym wysoko brwiom Matyldy, rejestrowała niecierpliwe zerknięcia na zegarek i... ani razu nie usłyszała słowa o niej. Kamienna księżniczka pozostawała kamienna, marmurowa, granitowa i cholera wie jeszcze jaka, w każdym razie nie do strzaskania.

Do czasu jednak.

Pewnego pięknego, ha, zależy dla kogo, dnia, jeden z wcześniej snutych scenariuszy się sprawdził. Obudziwszy się w szerokim łóżku Weronika stwierdziła najpierw brak aktualnego narzeczonego. Miała ich już paru, ale Darek to był akurat *ten*. Na pewno. Następnie w przedpokoju stwierdziła z kolei obecność swoich dwóch toreb, zapakowanych po brzegi. Tu już tknęło ją coś nieprzyjemnie. A w kuchni, wraz z zapachem świeżo zaparzonej kawy, trzy słowa uderzyły ją jak obuchem.

– Musimy się rozstać.

– Jak to? – zdołała wykrztusić.

– No, normalnie. Nie pasujemy do siebie, Nika, poza tym...

– zatoczył ręką wymowne koło.

– Poza tym ktoś trzeci się pojawił. Czy raczej pojawiła

– sapnął, wystukując już numer korporacji taksówkarskiej. – No, zróbmy to jak cywilizowani ludzie.

– Odpieprz się – rzuciła pierścionek i tak jak stała, w króciutkim szlafroczku wypadła z mieszkania, chwytając po drodze swój dobytek.

Matylda natknęła się na nią przypadkiem, z wnętrza przy wzdychaniu dobiegał cichy szloch na przemian z wściekłym pomstowaniem.

– Ślip, gekon pieprzony, ślip, ja ci dam, ktoś trzeci, ślip, co, jej też wręczysz od razu pierścionek...

– Weronika...? – Matylda w siedzącej na podłodze kupce nieszczęścia dopatrzyła się znajomych kształtów.

– Odejdź – zadysponowała kupka i wróciła do ślipania.

– Co masz do jaszczurek?

– Personalnie nic. Do samic, nic nie mam. A do jaszczurów to chyba mam.

– A co masz? – Matylda ukucnęła obok, zasłaniając Weronikę przed okiem wytaczającego się z windy tłumu.

– Chamy są i tyle. Odejdź. Albo chusteczkę daj. Bo ja już swoje wysmarkałam.

– No chamy, zgadza się. Ale co, dzisiaj się o tym dowiedziałaś? – wyciągnęła w stronę nieszczęsnicy paczkę chusteczek, po czym skrzywiła nieznacznie na donośny odgłos dmuchania. Cały korytarz pewnie też się skrzywił.

– No jakby nie, wcześniej wiedziałam, ale tak tylko wiesz, teoretycznie.

– A dzisiaj praktycznie?

– Noooo, ślip.

Przeanalizowały wtedy zwyczaje godowe jaszczurek, jak to samce wdzięczą się do samic, ale nie do swoich. A gdzie tam.

Ich własna, zdobyta już samica stoi i przygląda się bezradnie, jak kochany traci energię na dzikie wygibasy, których adresatem jest nie kto inny, jak przystojna jaszczurzyca, która się zabłąkała przez przypadek na

obce terytorium. Od słowa do słowa doszły do tego, że Darek, niczym taki gekon, znalazł nową, bardziej atrakcyjną jaszczurkę. A Weronika wcale nie ma zamiaru stać z boku i spokojnie się temu przyglądać.

No dobra, nawet jej to nie było dane.

Szczerłość za szczerłość. Tak zadziało. Weronika porzuciwszy obsesję na punkcie dziurki w murze kamiennej księżniczki, nie zauważyła nawet, kiedy mur sam się rozsunał i kiedy zdążyły się zaprzyjaźnić. Ot, po prostu jednego dnia wysmarkała Matyldzie całą paczkę chusteczek i pomoczyła dość znacznie i zdecydowanie na słono jedną z nieskazitelných marynarek. Drugiego już, odziane w sportowe stroje, ryczały we dwie. Ze śmiechu, na firmowych zajęciach z aerobiku. Dopóki patrzyły na prowadzącą, ewentualnie prosto w podłogę, było w porządku. Ale wystarczył rzut oka jednej na drugą, na rozpaczliwe i bynajmniej nie przepisowe wymachy nóg umęczonych całym dniem pracy i zaczynały parskać ze śmiechu. Nie bacząc na gromiące spojrzenia instruktorki.

Tak to chyba było. Na szczerłość mnie wzięła i tyle, ale co dalej, w czym ja jej właściwie przeszkadzałam? Pusty kubek nie odpowiedział, za to w odpowiedzi na ciche pytanie trzasnęły drzwi.

– Nie żłop o tej porze mleka, bo się odkłada. Czołem – Karolina wpadła jak burza prościutko do lodówki.

– I kto to mówi?

– Ja to mówię, ja, dobre jeszcze te parówki? – powąchała opakowanie.

– Dobre, wczoraj otwarte.

– A ketchup jest?

– Jest.

– A serek żółty jest?

– Jest. Litości, Karolina, przecież stoisz przed otwartą lodówką, nie

widzisz.

– Ha, widzę, pewnie, że widzę, ja cię kuszę właśnie. Zjedz ze mną kolację. Zapiekane parówki z serem, do tego świeży chlebek, no zjedz.

– Nie. Spasłam się już, nie patrzę, co jem, poza tym jakoś mnie do tych parówek nie ciągnie i wiesz co?

– No nie wiem co.

– Będę miłosierna.

– No niesłychane.

– Ano słychane. Nie powiem ci mianowicie, że te paróweczki odłożą ci się po bokach w piękne wały. Nie powiem ci tego.

– A nawet gdybyś mówiła – Karolina wystawiła jej język w całej okazałości – to mam to centralnie tam właśnie, gdzie mi te wały przyrosną.

– A co, Piotruś się zrehabilitował?

– Tak jakby. Spodobała mu się zabawa w biuro turystyczne, noszenie kartonów i w ogóle służenie mi za podnózek, a moje wały jak najbardziej mu leżą.

– Gdzie leżą? – zainteresowała się Matylda.

– Oj, tak się mówi, leżą w sensie podobają, w ogóle kuma – ta nie jesteś, wiesz, ale mnie to dzisiajaaaj nie zraaaaaażaaaaa, w nosieeeee głębooooo to maaaaaaaam – rozdarła się na melodię kotka, co to wlaź na płótek, i zaczęła kroić ser w grube plastry.

– Nie żryj tego mówię ci.

– A właśnie, że zeżrę. Chcę to zeżrę. Sioster...?

– No słucham cię.

– A tak a propos kartonów, nie żebym chciała psuć cokolwiek, nie żeby mi przeszkadzały.

– Te dwa pudła w twoim pokoju, niech zgadnę.

– No zgadłaś. Co z nimi?

– A co ma być. Wyjdą, może w najbliższej przyszłości. Chwytam byka za rogi coraz pewniej, może i za tego się chwycę.

Mowa była o pudłach, w które Matylda spakowała wspólne życie z Pawłem, parę jego drobiazgów, płyt, zdjęć, kubków i innych rzeczy, takich co to lepiej niech zejdą z oczu, będzie łatwiej.

Teraz Karolina o nich przypominała.

Hm.

Tak jakby trzeba było o tym przypominać.

Zapach jeszcze nie wywietrzał z koszulek.

Matylda o tym dobrze wiedziała.

Napisała temat. Skasowała. Napisała następny, znowu skasowała. Podrapała się w głowę, poprawiła poduszkę pod plecami i znowu wystukała. Po czym znowu użyła magicznego klawisza backspace. Uf.

Matylda szurnęła krzesłem i pobiegła do kuchni po... po cokolwiek. Akurat piękne jabłko leżało na stole, więc sobie wzięła, długo trzymała pod kranem, a po powrocie do pokoju położyła obok laptopa. Zapukała palcami w blat biurka, sapnęła jeszcze raz i znowu wzięła się do pisania.

Tak będzie najprościej. Nie usłyszy jego głosu. Nie poczuje zapachu. Nie zobaczy go. To przede wszystkim.

Temat: Twoje rzeczy

Od: Matylda

Do: Paweł

„Witaj.

Mam pytanie... jakoś tak szybko się rozstaliśmy, w dość burzliwych okolicznościach, a przecież parę rzeczy zostało niewyjaśnionych... nie, źle, obiecałam sobie właśnie na początku tego maila, że nie będę kasować, więc

nie będę. Będę prostować, ale kasować nie. Cholera, trudno się pisze.

Zapomniałeś zabrać ode mnie, z mojego mieszkania, paru drobiazgów, wiem, że niektóre znaczą dla ciebie dużo, przynajmniej kiedyś znaczyły, więc spakowałam je w kartony i czekają. Daj znać, co mam z nimi zrobić, czy mają czekać, czy się pofatygujesz, po prostu daj znać.

Pozdrawiam

M. ”

Poszło. Uf. Niech zabiera te graty, niech znika na amen.

– Prawda Kruszyńko? Teraz sobie obejrzymy jakiś film. Dobry film, co ty na to? Hm, najgorsze, że nic w tej telewizji nie ma, poczekaj, a co to właściwie za gość w skórzanej kurtce? Fajny jakiś, nie uważasz, czekaj, czekaj, co on powiedział? Masakra powiedział? Patrz kochana, to ja się zastanawiam skąd u wszystkich epidemia tej całej masakry, a tu mamy sprawcę. Sympatyczny facet...

Obejrzały sobie zgodnie kolejny odcinek kolejnej serii losów prawie czterdziestoletniego rockmana. I chociaż Matylda niekoniecznie się orientowała w akcji, film jej się spodobał. Reklamy można by było tylko wyeliminować, zanotować, na gwiazdkę poproszę ciągutkowce tvnowe. Dwa, niech Mikołaj w postaci Karoliny się nie wysila na kolejne tubki kremów, których Matylda nigdy nie użyje, niech chociaż raz sprawi coś, z czego może obie skorzystać. Długimi zimowymi wieczorami. Nawiasem mówiąc, zima już tuż tuż.

A propos, późno już, a młodej nie ma. Matylda zerknęła na wyświetlacz. O proszę, jaka ona obowiązkowa się zrobiła „jestem u Piotrka, bede później, cmok”.

– Wyłączymy jeszcze laptopa, dziecino, i idziemy spać. Oj, coraz ciężiej mi z tobą, a do marca przecież jeszcze kupa czasu. Odpisał – Matylda

jeszcze niby mimochodem odpaliła pocztę.

Temat: RE: Twoje rzeczy

Od: Paweł

Do: Matylda

„Witaj...

Matyldo... Petroniusz podpowiada mi, chociaż co on tam wie, to ryba przecież... ale jakoś tak mu pięknie z oczu patrzy, więc podpowiada mi, że chyba jestem idiotą i mam być w stosunku z Tobą szczerzy... ”

O nie, nie, ale ja nie mam ochoty w tej chwili na twoją szczerłość i Matylda z rozmachem zamknęła laptopa. Spać, nie teraz, spać, wystarczy na dzisiaj. W zupełności.

– O ciocia przyszła, ciocia! Zagrasz ze mną w sowę mądrą głowę? Zagrasz? Ciociu! – Ewa uczepliła się z całej siły nóg Matyldy i nie zamierzała puścić, dopóki nie uzyska obietnicy.

– Zagram, zagram, ale najpierw przez chwilę porozmawiam z mamą, dobrze?

– To ja poukładam wszystko, tak?

– Ewcik? – szepnęła Matylda, przeszukując torebkę.

– No?

– Nie mówi się *no*, tylko słucham, co ty tam jej znowu dajesz? – zagrzmiała Magda z kuchni.

– Ale ta twoja mama ma uszy!

– Duże?

– Nie wiem, czy duże, ale na pewno dobrze słyszające.

– Tak ciociu – przytaknęła poważnie dziewczynka – mama Słyszcy wszystko.

– I wszędzie, i wszędzie. Powiedz, co dajesz mojemu dziecku.

– Truciznę, głupia. Przyniosłam jej zwykle, najzwyczajniejsze francuskie ciasteczka. Bez czekolady. Mało tego, wyobraź sobie, że one są i bez jajek, i bez mleka, wiesz? – Matylda wydobyła wreszcie z torby nieco sfatygowane poduszeczki.

– To z czego, przepraszam, są?

– A nie wiem. Pani z cukierni też nie za bardzo wiedziała. Ale mówiła, że dobre. No i miała rację, próbowałam, tak z pół torebeczki spróbowałam. Pycha.

– Brawo.

– A dziękuję, co to nie ma komu z dzieckiem pograć? – zainteresowała się Matylda, sadowiając się na stołku.

– Nawet nic nie mów. Wczoraj próbowała tatusia zagonić, ale to mniej więcej tak, jak ze sprzątaniami – sarknęła Magda.

– To znaczy?

– To znaczy, że tam trzeba poukładać najpierw kartoniki z obrazkami, kolorami, rozumiesz, sześć kolorów, każdy na inną kupkę.

– No mało skomplikowane, na razie chwytam.

– No i tatuś miał pomóc jej rozkładać. Brał perfidnie czerwone kartoniki i wrzucał jeszcze perfidniej na fioletową kupkę. Przy którejś z rzędu poprawce Ewa stwierdziła, że nie ma sensu, tata po prostu nie umie w to grać i tyle.

– Wymigał się znaczy?

– Tak jakby.

– A co ma do tego sprzątanie?

– Hm, no mnie kiedyś w podobny sposób przekonał, że nie umie sprzątać. Mleczkiem do kamienia i rdzy przeleciał po panelach podłogowych.

– Jasne – Matylda nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Ty się nie śmiejesz. Nie ma z czego.

– Dlatego tak wzdychasz?

– No, bo to sprytne bestie są, te facety, wiesz? A wzdycham, bo doła mam. Dla mnie oczywiście już niczego nie przyniosłaś, prawda? To, że mnie trzeba podnieść poziom węglowodanów, to nikogo nie obchodzi, bo już dzieckiem nie jestem, bu.

– Masz i... jak to było? Nie jocz – Matylda wyciągnęła z torby kolejną paczuszkę, tym razem z czterema ptysiami. – A skąd ten dół.

– Pycha. Dół bo – Magda rozstawiła palce wolnej ręki, w drugiej trzymała nadgryzionego potężnie ptysia – młody poszedł do szkoły i jakoś sobie w niej nie radzi. Po drugie, młoda choruje, więc w domu, a ja z nią. Jestem popychadłem kuchennym, kobietą niepracującą i niewiele wartą. O, chyba wszystko. Daj drugiego.

– Uuuuu, to faktycznie dół. Trzeba cię z tego doła wyciągnąć.

– A niby jaki masz na to sposób?

– Myślę właśnie. Może kino? – rzuciła Matylda ostrożnie.

– Tak, kino, najlepiej jakaś komedia romantyczna, na której najpierw poryczę się ze śmiechu, później z rozpacz i tak mi ta rozpacz zostanie – osłabiła jej zapędy Magda.

– To nie wiem... Magda? A powiedz mi właściwie, dlaczego nie chciałaś otwierać tego biura razem z Basią? No i dlaczego dopiero teraz mi przyszło to pytanie do głowy...?

– Ja mam pracę. Poza tym co się głupio pytasz, nie chciałam i już. Tobie bardziej była ta praca potrzebna, tak czy nie?

– Madziul...

– Czego?

– Ty złota kobieta jesteś.

– To trzeba mi sprawić jakiś pomniczek, tak? No i dlaczego tylko cztery te ptysie się pytam? Co ja jestem, dziecko małe, co się opędzi maluczkimi czterema ptysiami?

– A wiesz o czym ostatnio rozmawialiśmy z Basią? – Matyllda ciągnęła niezrażona.

– Skąd niby mam wiedzieć, ha?

– Doszliśmy zgodnie do wniosku, że we dwie nie damy rady, choćby nie wiadomo, co by się działo. Musi być trzecia osoba. Dobrze by było, żeby ta osoba była zaangażowana w pracę mniej więcej tak jak my – Matyllda rysowała esy floresy na stole wskazującym palcem i obserwowała reakcję Magdy, a ta jakby się wyprostowała, a oczy zaczęły jej błyszczeć.

– Poważnie? Przydam wam się?

– I co się głupio pytasz? Idę pograć z dzieckiem, jak to było? Czerwone na fioletowe? Hihi, żart, nie zrobię jej tego. A jak wróci Darek, dasz się wyciągnąć na małe zakupy? Chciałam pooglądać śpioszki, jakieś kaftaniki, może łóżeczka... tylko nie wiem, czy to nie za wcześnie jeszcze...

– Nie za wcześnie. Pewnie, że nie za wcześnie – oczy Magdy śmiały się już całkiem szczerze.

Po drodze zgarnęły jeszcze protestującą Basię. Protestującą, bo po pierwsze, ona musi pracować! Po drugie jej rodzone dziecko ma już własne potomstwo, więc ona nie widzi potrzeby szwendania się po zatłoczonych sklepach i oglądania śpioszków, kaftaników i innych łóżeczek. No chyba, że dla wnuków. Podumała, posapała, zrobiła krótki bilans i wreszcie zdecydowała, że krótka przerwa dobrze jej zrobi.

Matyllda nie miała pojęcia, ile rzeczy musi sobie i dziecinie kupić.

Nie miała też pojęcia, że widok tych wszystkich rzeczy, o których

musiała pomyśleć, przyprawi ją o zawrót głowy i panikę. Gdyby w porę ją nie przytrzymały i siłą nie zaciągnęły w głąb sklepu, uciekłyby z dymem ulatującym spod pięt.

Na pewno.

Jednak i Basia i Magda wykazały się błyskawicznym refleksem i na widok wyrazu twarzy Matyldy zareagowały natychmiast, bardzo zdecydowanie.

– Co to jest? – złapała w dłonie tajemniczo wyglądające urządzenie.

– Jonizator – Magda przyjrzała się artykułowi.

– Co?

– Jonizator, takie sprytne coś, co czyści ci powietrze z kurzu, tak żeby dziecięciu żadne bakterie ani inne roztocza się po pokoju nie walały.

– Aha. A to?

– Monitor oddechu.

– Chryste.

– Na razie na to nie patrz, Matyldo, skup się na podstawowych rzeczach.

– Kiedy oni tu piszą, że to wszystko powinno się znaleźć w podstawowym wyposażeniu.

– To nie patrz na to, co piszą, tylko nas słuchaj. Chodź – Magda pociągnęła ją w kierunku wystawy z łóżeczkami. Tutaj już Matylda miała jako takie pojęcie, co do czego służy. Komody kąpielowe, przewijaki, leżaczki, bujaczki, cuda na kiju. – Ty wiesz, Ewa niby niedawno przysłała na świat, aleja takiego wyboru nie miałam, czekaj, czekaj, a nie chcesz jej łóżeczka? Matylda, do ciebie mówię.

Mogła sobie mówić, bo Matylda chwilowo się wyłączyła na widok pary wybierającej wózek. Ona stała, uśmiechając się błogo z jedną ręką na

brzuchu, drugą wskazywała coś na półce, on wpatrywał się w nią jak w obrazek i widać było, że jest gotowy spełnić każde jej życzenie. Nie wiadomo, kiedy w oczach Matyldy pojawiły się najpierw dwie łezki, potem potoczyły się następne, aż wreszcie wytrysnęła cała ich fontanna.

– Głupia, mogę dać sobie rękę uciąć, że to był twój genialny pomysł – sapnęła cicho Basia, wypychając Matyldę ze sklepu.

– Akurat tak się składa, że jej – odszepnęła Magda. – Nie wyzywaj mnie, proszę, bo nie zasłużyłam.

– Och, trzeba było chwilę pomyśleć, takie zakupy, albo przynajmniej większość z nich można załatwić przez Internet, tak?

– No i tak się załatwi – sapnęła Magda – na drugi raz pomyślę. Spokojna głowa.

– Jestem tu. Macie chusteczkę? Basiu, przecież wszędzie są pary... – z oczu znowu popłynął obfity strumień.

– Matylda, uspokój się, dasz sobie radę.

– Wiem, że dam – wysunęła się zdecydowanie z objęć – wiem, że dam. Ale czasami pękam. Z jakiegoś głupiego żalu. Koniec, wybaczcie scenę. Swoją drogą sprzedawczyni, ta przy kasie, też miała taką minę, jakby chciała biec i interweniować. Basia ma rację, wybieram net.

Marcin spisał się na medal. Ulotki i foldery opracowywali razem z Matyldą, ślęczeli wieczorami, wstawiali zawartość opracowaną przez Basię, dopieszczali dopóty, dopóki i jedno, i drugie nie było w pełni usatysfakcjonowane.

– No i jak ja ci się odwdzięczę, człowieku? – sapnęła Matylda znad laptopa, przecierając oczy pod okularami.

– Się nie odwdzięczysz, nie ma takiej opcji – Marcin się przeciągnął, aż zatrzeszczało – chyba, że... o, ta tutaj, całkiem przyjemna oferta, jakąś

drobną zniżkę na sylwestra poproszę.

– Ha, pogadam z szefową, znaczy co, wszystko chyba, nie?

– Zgadza się, szpilki w to już nie wetkniesz, zresztą nie ma takiej potrzeby. Tu masz media, tu reszta. Dobra Matylda, ja się upłyniam, jakbyś jeszcze czegoś potrzebowała, daj znać – cmoknął ją w czubek głowy i obiecując obecność na otwarciu, faktycznie się upłynił.

Matylda przejechała palcem po klawiaturze, przyjrzała się odebranym wiadomościom, zwłaszcza jednej, wreszcie zamknęła laptopa.

Nie będzie czytała wynurzeń, tłumaczeń, powiało jałowością i niesmacznie jej się zrobiło. Co on chce wyjaśniać? Chce wyjaśniać, jakim cudem Weronika znalazła się w jego łóżku? Że do niczego nie doszło, a jeżeli doszło, to zdecydowanie wbrew jego woli? A z kolei ona, Matylda ma zacząć wyjaśnienia odnośnie pobytu Patryka? Po co? Czas na wyjaśnianie sobie czegokolwiek minął.

Był wtedy na łące. Gdyby udało się wyłączyć emocje, może doszliby do porozumienia, a tak nawarstwiło się tyle spraw, których ona wyjaśniać już chyba nie chciała. Miała czyste sumienie. Mimo pewnych ciągotek w kierunku męskiego Patryka, ale to chyba normalne, kobiece.

Nie, nie ma sensu.

Westchnęła sobie, położyła dłoń na brzuchu, a drugą, ze złością otarła łzy spływające prosto do uszu.

* * *

– Kochani – zaczęła uroczyście Basia – dziękujemy wam wszystkim za przybycie. A przede wszystkim za pomoc, gdyby nie ona, nie dałybyśmy rady.

– Dałybyście, dały – Piotrek poczuł się w obowiązku sprostować.

– Może i byśmy dały, ale nasze wspólne dzieciątko – tutaj mrugnęła

okiem do Matyldy – nie przyszloby na świat tak szybko, no i nie wyglądałoby tak imponująco.

Zebrani posłusznie obrzucili wzrokiem ściany. Wnętrze niepozornego budynku, właściwie dwa jego pomieszczenia, urządzone były rzeczywiście z rozmachem i fantazją. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami połączyły koncepcje, w pierwszym, większym pomieszczeniu, ulokowały całą egzotykę, drugie urządziły na wskroś tradycyjnie. Przy segregowaniu rzeczy była cała masa zamieszania, bo często nie mogły dojść same ze sobą do ładu, gdzie dany przedmiot będzie lepiej pasował – czy do sali, w której jedną ze ścian stanowiła imitacja piramidy, w tej roli gipsowa ścianka wykonana własnoręcznie przez Piotrka, a pomalowana maślanymi łapami Karoliny, czy do tradycyjnego pomieszczenia, w którym dominowało drewno, słoma i siwaki z Podlasia. Wreszcie, z pomocą wielu konsultantów, nawet Ewciak miał swoje zdanie i, mało tego, bardzo się ono liczyło, doszły do obecnego wyglądu.

Faktycznie imponującego. Człowiek po wejściu tutaj najpierw czuł się lekko zdezorientowany, bo wbrew temu, co głosił szyld na zewnątrz, odczuwało się niejasne wrażenie, że to jakaś wystawa. Później zafascynowany, a przeglądając zdjęcia i dotykając figurek, delikatnych tkanin, zyskiwał pewność, że chce pozwolić się wysłać w jedno z tych miejsc. Chce sobie przywieźć takie a nie inne wspomnienia.

O to im chodziło.

– A tak się właśnie przedstawia – Marcin wzniosł kieliszek z szampanem w kierunku trzech kobiet. A stanowiły one bajeczny obrazek, stały ze szczęśliwym wyrazem na trzech licach, przy czym uśmiechały się zgodnie, mając przed oczami pewnie tabuny turystów odjeżdżających sprzed biura. – Gratulacje moje panie. Życzę sukcesu, a patrząc na waszą

determinację, sądę, że jest murowany. Co do klientów, tak sobie właśnie myślę... czy będziecie miały w swojej ofercie wyjazdy integracyjne?

– Jak to czy będziecie miały? – oburzyła się Matylda. – Nie pamiętasz? My już mamy!

– A to się świetnie składa, bo może od czasu do czasu zorganizowałybyście wypad firmie? – spojrzał niepewnie na Matyldę. – Nie będziesz miała nic przeciwko?

– Oszalałeś? Nasz klient nasz pan! Nawet Weronikę wywiozę w warunki cudowne i mioduśne, niech zna moje dobre serce.

– O i tutaj wiesz – Magda wtrąciła się zdecydowanie – ja bym wolała, żeby trzymać tę babę z daleka, niech lepiej nie wie, czym się teraz zajmujesz, poniekąd też dla jej własnego bezpieczeństwa. Gdyby przez przypadek na mnie trafiła... no, mówiąc krótko, nie ręcę za siebie.

– Ja też! – dodała Basia z mocą, podwijając rękawy na swych chudziutkich rękach.

– No...

– No co Marcinie?

– No to mamy pasztet – Marcin podrapał się w głowę i uśmiechnął przepraszająco.

– Powiedziałeś? – domyśliły się.

– Powiedziałem. Nie patrzcie tak na mnie, myślałem, że może niech żałuje, niech zobaczy, że tobie się powodzi, że dajesz sobie radę. I to śpiewająco.

– Zachwalałeś mnie przed nią? – upewniła się Matylda.

– Noooo, powiedziałem, że teraz wyglądasz tak pięknie jak nigdy, zzieleniała trochę, powiedziałem, że nic nie straciłaś ze swojego animuszu i energii do pracy. Dużo powiedziałem. Niepotrzebnie?

– Niepotrzebnie, ale teraz to i tak... jak to się mówi, pozamiatane? – Basia podsumowała zwięźle i położyła rękę na ramieniu Matyldy. – Nie przejmuj się, moja droga, będziemy tutaj dwie, albo trzy, damy jej radę, a może właściwie robimy dużo zamieszania o nic? Może darowała sobie, może doszła do wniosku, że wszystko, co najgorsze, już ci zrobiła i znalazła sobie inną ofiarę... a wiecie co? Tak teraz to mówię, słucham sama siebie i przyszło mi do głowy... może ona powinna się z tej zawiści leczyć? Bo to wręcz chorobliwe jest.

Jak pokazał jednak następny poranek Weronika niczego sobie nie darowała.

Jedną z pierwszych osób, jakie ukazały się w drzwiach świeżo otwartego biura, kierowanych czystą ciekawością i chęcią zabicia czasu, okazała się właśnie drobna postać w eleganckim, czarnym płaszczku sięgającym kolan. Postać stanęła w wejściu, obrzuciła krytycznym spojrzeniem wewnątrz i zlokalizowała obiekt swojego ataku.

Obiekt siedział wygodnie rozparty przy biurku, miał obrzydliwie pięknie ufryzowane włosy, odziany był w rozkloszowaną bluzeczkę, z dużym dekoltem odsłaniającym nienaganną szyję i całkiem okazałym biustem. W Weronice zawrzało, miał rację ten cholerny Marcin. Myślała, ba, była święcie przekonana, że kolega z pracy plecie, co mu tylko ślina na język przyniesie, aby tylko wyprowadzić Weronikę z równowagi. Z zupełnie niezrozumiałych powodów, przecież starała się być zawsze w stosunku do niego w porządku, pomijając fakt, że wolała zawsze być czymś więcej niż tylko koleżanką z pracy. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby codziennie rano budzić się u boku tego faceta, niechby nawet śniadanie jej robił. A co tam, raz na jakiś czas mogłaby zjeść nawet śniadanie. A jeszcze podane do łóżka... Proszę bardzo. Tymczasem od paru dni nic innego nie robił, tylko jej

obrzydzał i tak zobrzydzoną do granic obrzydzenia Matyldę. Zachwycał się nią, wynosił na piedestał wręcz, podawał za przykład. Weronika stwierdziła, że dłużej tego nie zniesie i musi, po prostu musi, zweryfikować prawdę. To niemożliwe, żeby babiszon w ciąży, a jeszcze do tego samotny babiszon, pozbawiony widoków na przyszłość, roztyty, był stawiany jej za przykład.

O zgrozo. Marcin w swojej spostrzegawczości pomiął kilka istotnych szczegółów. Istotnych i korzystnych, niestety na rzecz Matyldy. Nie wspomniał o kształtnym biuście, o włosach bardziej błyszczących i gęstych niż wcześniej, no i o zgrabnej mimo wszystko sylwetce. Gdyby Weronika nie została dostrzeżona, dałaby wsteczny i uciekła jak niepyszna, ale Matylda zamachała do niej serdecznie i uśmiechnęła się, produkując te swoje sławetne dołki w policzkach. Teraz jakby bardziej widoczne.

Więc Weronice nie pozostało nic innego, jak zaprzeć się w sobie i udawać przyjemnie zaskoczoną.

– No witaj, Matiii... – podeszła swoim kołyszącym krokiem i cmoknęła powietrze obok policzka Matyldy – niech cię uściskam, miło cię zobaczyć.

– Witaj – Matylda znowu się uśmiechnęła.

– Marcin wspominał, że zaczęłaś pracę w jakimś biurze turystycznym, ale, haha, nie mówił, że to biuro to trochę jak... czekaj, jak to się nazywa, skansen, tak? Takie stare i niepotrzebne rzeczy tam się trzyma, z dawnych czasów. No to u was raczej taki skansen właśnie, nie?

– Zamierzenie było, żeby zrobić to troszeczkę inaczej, wiesz, chcieliśmy, żeby powstało wnętrze odbiegające od przyjętych standardów – gdzie się podziała Basia? Po kawę to zdaje się niedaleko, chwilę powinno zająć, a jej już nie było z pół godziny.

– Haha, no to wam się udało. Czuję się jak w muzeum. Ale dotykać

tego można, nie? Matko, to prawdziwe? – Weronika podeszła do chińskiego miecza ozdobionego smokiem. – To nie może tutaj wisieć, przecież to niebezpieczne! Co wy chcecie tych przyszłych turystów w ten sposób zachęcać do wyjazdów? Haha.

– Haha – akurat w twoim przypadku byłoby wskazane, pomyślała Matylda, później mieczyk otrzeć o jedwabną chustę i po sprawie, a zwłoki bachnąć gdzieś na ulicę, wzdrygnęła się na samą myśl i plastyczną wizję, jaka wykwitła jej przed oczami.

– A ty jak się czujesz? – Weronika usiadła niepewnie na jednym z krzeseł i rozglądała się po pomieszczeniu.

– Dobrze się czuję, w miarę dobrze.

– A Patryk, tak zdaje się było na imię temu twojemu towarzyszowi z targów, ja cie, Matylda, czy ja ci mówiłam, że on jest zabójczo przystojny, taki przystojny, że no, że...

– Masakra...? – podsunęła usłudźnie Matylda.

– No. To co u niego?

– A nie wiem, kwiatki pewnie sadzi, gdzieś tam na Podlasiu.

– No co ty? – Weronika zogniskowała spojrzenie na postaci siedzącej naprzeciwko. – Dlaczego? To on nie mieszka z tobą? O widzisz, to błędne wnioski chyba wyciągnęłam, bo widzisz – uśmiechnęła się przeprasząco – mnie się wydawało, że u was z Pawłem to koniec i... no wiesz, zdarzyło się, że raz się spotkaliśmy.

– Pamiętam, zdaje się odebrałaś telefon po pamiętnej nocy, dzwoniłam wtedy przecież – przypomniała jej Matylda, zaciskając szczęki i uśmiechając się cały czas. Przy okazji zaczęła się zastanawiać, czy ten uśmiech nie zostanie jej do końca życia.

– A jakiej tam pamiętnej – lekceważące machnięcie ręką – nie dziwię

ci się, to straszna porażka, masakra po prostu, mówię ci.

– Taaaak, chyba wiem, co masz na myśli – Matylda z ulgą zrobiła zbolaną minę i wzięła kubek. – Może kawy ci zrobić?

– A nie, dzięki za kawę, ja tylko na chwilę. Wiesz, co mam na myśli?

– No oczywiście. Jak myślisz, gdyby spełniał wszystkie moje wymagania, gdyby był takim facetem jak powinien – wybacz Paweł, robisz za wabika, pomyślała szybko – chyba bylibyśmy nadal razem, prawda?

– Noooo, wcale ci się nie dziwię. Bo dla mnie to, rozumiesz, kompletna klapa. Przychodzi kobieta, piękna kobieta, no powiedz sama, czy mnie czegoś brakuje? – Weronika wyprostowała się i uniosła głowę.

– Niczego ci, moja droga, nie brakuje – wbrew sobie Matylda poczuła, że ta rozmowa zaczyna ją bawić.

– No właśnie, wzgardzić takim kąskiem, haha, wyjść jakby nigdy nic? Ja rozumiem, poprzedniego wieczoru może i nie dał rady, bo się strąbił na maksa. Ale rano? Mając taką kobietę w łóżku... mam nadzieję, że nie razi cię to, co mówię – w duchu jednak Weronika miała głęboką nadzieję, że razi, rani i co tylko się da, więc ciągnęła – nie, to dobrze, no więc mając taką kobietę w łóżku, zebrać się i polecieć czym prędzej na lotnisko? Zostawić ją bez... tak bez... no sama wiesz?

– Wiem, wiem, rozumiem – gdzie jest Basia?

– A z drugiej strony to nieźle go załatwiłaś – klepanie po ręku. – On przez ciebie się tak strąbił. Cały wieczór gadał o jakimś skorpionie. Czy wy sobie kupiliście takie nietypowe zwierzątko? Bo że o Patryka zazdrosny, to rozumiem, ale o tego skorpiona, to przecież idiotyczne.

– Idiotyczne, masz rację.

– Coś tam, że skorpion mu wlaź w paradę, że ty wolisz tego skorupiaka, to skorupiaki są, nie?

- Kraby to chyba skorupiaki...
 - A to nie to samo? – zdziwiła się, unosząc swoje pięknie zarysowane i cieniutkie brwi Weronika.
 - A wyobraź sobie, że raczej nie.
 - Mniejsza o robactwo, haha, Matylda, czy ty wolisz tego skorpiona od Pawła?
 - Eeee, nie – odpowiedziała zupełnie szczerze Matylda.
 - No to ja już nie wiem, o co mu chodziło, ale wyglądał na zdruzgotanego, wierz mi, wiem, co mówię.
 - A ty chciałaś go pocieszyć, prawda? – delikatny sarkazm zadźwięczał w głosie Matyldy, ale nie został zauważony.
 - No pewnie, znasz mnie.
 - A on pocieszyć się nie dał, ech, faktycznie niepoważny.
 - Niepoważny, to mało powiedziane.
 - Masz rację... o Basiu, to moja pracodawczyni – Matylda Wskazała na wchodzącą postać.
 - Dzień dobry. Jestem przyjaciółką z poprzedniej pracy, Weronika Matyjko – pospieszyła z wyciągniętą prawicą.
- Basię przytknęło, wskutek czego podała tylko dłoń i chwilowo zaniemówiła.
- Przyszłam odwiedzić Mati, spotykamy się tak często, jak tylko się da, prawda Mati? Uważam, że piękne to biuro, trochę przypomina, Mati, co przypomina, mówiłam ci...
 - Skansen – podsunęła Matylda, krztusząc się w duchu śmiechem.
 - O właśnie, skansen przypomina.
 - W skansenie, łaskawa pani, raczej się nie zobaczy takich eksponatów jak te tutaj – Basia odzyskała głos.

– Och, ach, łaskawa pani, fajną masz tę współpracowniczkę Mati, taką dobrze wysłowioną, haha. Ale, ale, my tu gadu, gadu, a...

– A ty się pewnie do pracy spieszysz.

– Nie, nie o to mi chodzi, ty myślisz, że ja tu tak przyszedłam, tylko na pogaduchy, klientem waszym będę. Pierwszym pewnie, haha. Sylwester mnie interesuje. Taki zwykły, gdzieś w górach, naszych najlepiej, tak na cztery, pięć dni maksymalnie. Dość mam tych imprez tutaj, jedna przed drugą się stroją, która lepsze ciuchy, droższe, bardziej efektowne. Dość mam, mówię wam.

– Hm – Basia odstawiła zakupy na zaplecze i podrapała się w brodę – mamy wprowadzić taką sylwestrową ofertę, ale...

– Ale? – Weronika zastrzygła uszami.

– Tak między nami mówiąc, to będzie pierwszy wyjazd, prawda? – Basia zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu.

– No chyba tak, niedawno otworzyłyście.

– No właśnie, pani Weroniko, z racji długoletniej przyjaźni – tutaj Basia nie zwracała uwagi na sarknięcie od strony biurka i kontynuowała – ze względu na długoletnią przyjaźń z Matyldą, muszę pani odradzić.

– Oooo, a to dlaczego?

– Dlatego, że jak wspomniałam, nie mamy żadnej wycieczki jeszcze na swoim koncie, nie wiadomo, czy do sylwestra uda się coś zorganizować, czy nie. Wie pani, taki wyjazd stałby pod znakiem zapytania.

– A to dlaczego? – powtórzyła Weronika.

– A jeżeli się nie zbierze odpowiednia liczba osób? To wyjazd zostanie od – wo – ła – ny.

– ... Wo – ła – ny... aaaa, to nie, tak nie może być. I co, może przed samym sylwestrem dostanę taką informację, co?

– No niewykluczone.

– No właśnie, wykluczone – zaperzyła się Weronika.

– Dlatego też mogę tylko pani polecić, oczywiście jako długoletniej przyjaciółce... Matylda, napij się proszę tej herbaty i dolej sobie malin, nie czas teraz na chorowanie, a zaczynasz coraz częściej kaszleć, tak więc mogę pani polecić pewne sprawdzone biuro turystyczne, które już od lat organizuje takie wyjazdy – tutaj Basia pogrzebała chwilę w swoim kapowniku. – O proszę, tutaj jest wizytówka. Telefon, dokładny plan dojazdu, gdyby pani chciała się tam osobiście pofatygować.

– Och, dziękuję, no naprawdę, bardzo dziękuję, pełny profesjonalizm. Pełny. Ale jak już ktoś wróci cały i zdrowy z jednego z waszych wyjazdów, to chyba mnie też wyślecie.

– Oczywiście, wyślemy, wyślemy jak najbardziej – najlepiej w kosmos, dodała w duchu Basia, odprowadzając pierwszego klienta, nie – klienta do drzwi. A zamknąwszy je szczelnie za czarnym płaszczkiem, oparła się o nie ciężko i spojrzała z podziwem na Matyldę.

– Dziecko ty moje najdroższe...

– No co?

– Dziecko ty moje najdroższe, cierpliwe, złote i w ogóle.

– Basiu, do rzeczy.

– Ile czasu wytrzymałaś w tamtej pracy? Z tą kobietą?

– Nie miałam jej na co dzień.

– Nie tłumacz się, tylko odpowiadaj. Ile czasu, pytam.

– Parę lat, Basiu, to nieważne. Ważne, dlaczego ją pogoniłaś? Pierwszego klienta, pierwszą zainteresowaną osobę. Dlaczego?

– Ważne, moja droga. Człowiek przebywający w towarzystwie takich właśnie innych ludzi, nie żebym sobie pochlebiała, ale może dostać świra, a

u ciebie żadnych objawów świrowatości nie obserwuję – Basia przyjrzała się jej z nowym zainteresowaniem.

– Murek sobie zrobiłam – Matylda wzruszyła ramionami – nie dopuszczałam za blisko do siebie, dużo się od tego murka odbijało, poza tym wiesz co?

– No nie wiem.

– Właściwie dopiero od niedawna zaczęłam dostrzegać ludzi jako takich, zaczęłam widzieć coś więcej niż pracę i postawiony daleko przed sobą cel. Zaczęłam zauważać, że po drodze do tego celu, to nie tylko przeszkody stoją...

– Tak ludzi postrzegałaś? – Basia zaśmiała się niedowierzająco.

– Się nie śmiej. Tak właśnie. Czysta konkurencja, przeszkody. Żalotne, nie?

– Czy ja wiem, czy żalotne, trochę takie krótkowzroczne, mimo celu, który podobno daleko i który podobno dość wyraźnie widziałaś.

– Ano właśnie.

– A pani z pobliskiego sklepu, z cukierni, ta, która zawsze ci wybiera najlepsze ptysie? To też w kategoriach konkurencji?

– A tej pani w ogóle nie widziałam – przyznała Matylda ze wstydem.

– Wiesz co? Tak po cichutku ci powiem, że może to i paskudne, ale w sumie dobrze, że dopiero teraz zaczęłaś zauważać ludzi – widząc wzniesione pytająco brwi Matyldy, Basia kontynuowała – bo jeżeli w twojej poprzedniej firmie wszyscy tacy jak ta pani, co to przed chwilą wyszła, masakra zresztą – Basia zupełnie nieświadomie użyła ulubionego określenia Weroniki

– Panie Boże przebacz, to zdecydowanie lepiej. Lepiej dla ciebie.

– Nie wiem, nieważne, ważne, że się zmieniło. O! A teraz się tłumacz.

– Z czego, przepraszam.

– Jak to z czego? Z tego, że ją wykopałaś za drzwi.

– Pomyśl chwilę, nawet gdybyśmy ją wysłały, nawet gdyby wyjazd był udany, to i tak znalazłaby powód, dla którego mogłaby nas przed całym światem obsmarować. A nam teraz niepotrzebna antyreklama. Zgadza się? Poza tym – dodała uśmiechając się chytrze – dałam jej namiary na niekoniecznie kompetentnych ludzi. Haha. Dzień dobry.

– Dzień dobry – zahuczało od wejścia. – Mario, na Boga, gdzie ty mnie przyprowadziłaś, do muzeum?

Matylda z Basią wymieniły zatroskane spojrzenia. Czyżby faktycznie przesadziły?

– Do biura cię przyprowadziłam – wyszeptała pulchna kobietka, rozglądając się ciekawie – ładnie tu, tak inaczej.

– Ładnie, całe moje pieniądze nie pójdą na żadną wycieczkę, tylko na wystrój tego biura od siedmiu boleści.

– Stefanie... – pani spojrzała na Matyldę przepraszająco.

– Co Stefanie, co Stefanie? Ceny pewnie wygórowane, a z jakiej racji? Bo panie tutaj zdecydowały się otworzyć takie sobie, podrzędne muzeum. A to prawdziwe chociaż? O wygląda na autentyk, jeszcze lepiej, koszty idą jeszcze bardziej w górę. No ciekawy jestem, jakie panie tu mają oferty.

– Ekspozycja, jak pan słusznie zauważył, składa się z samych oryginałów – Matylda ruszyła do akcji – i pochodzi ze zbiorów właścicielki, prywatnej kolekcji zbiorów.

– Tak, a prywatna kolekcja to za co zebrana? No, za co? – spojrzał chytrze na Matyldę – z naszych pieniędzy. Biednych emerytów, co to skubią całe życie, żeby wyjechać, poznać kawałek świata, inny niż ten oglądany za oknem, zbierają grosz do grosza, ciułają, na co? Na elegancki wystrój biura.

Tak to wygląda moja pani.

– A tutaj czuję się w obowiązku wyprowadzić pana z błędu.

– Proszę, proszę, słucham, co ma mi pani do powiedzenia. Czym mi pani mydlić będzie oczy – pan Stefan wziął się pod boki.

– Ależ szanowny panie, gdzież bym śmiała mydlić komukolwiek oczy

– Matylda przybrała jeden ze swoich najprzyjemniejszych wyrazów twarzy, dodała do tego uśmiech, wyprodukowała dwa niewinne dołeczki w policzkach – a jeszcze tak sympatycznemu człowiekowi. Proszę, tutaj proszę sobie usiąść, wygodnie będzie, za chwilę podam katalogi i aktualne oferty, wracając zaś do kolekcji, hm, długa historia...

Starsi państwo trochę wbrew sobie, zwłaszcza mężczyzna, rozsiedli się wygodnie we wskazanych fotelach i przyglądając się ładnej kobiecie nieco skruszeli. – Otóż właścicielka, no proszę państwa, to niesamowita osoba – *niesamowita osoba* stała sobie na zapleczu i dusiła się ze śmiechu, ciekawa jednak, jak Matylda sobie poradzi. – Wyobraźcie sobie, że to wszystko zgromadziła w przeciągu kilku lat podróżowania po świecie. Może coś do picia zaproponuję?

– Kawy – zadysponował pan Stefan, jakby łagodniej.

– Proszę uprzejmie, a dla pani?

– Ja dziękuję chociaż może herbatki takiej słabszej, się napiję.

– Oczywiście, na chwilę państwa przeproszę, tutaj leżą katalogi, proszę sobie przejrzeć, za sekundę wracam i jestem do państwa dyspozycji.

Jakiś czas później Matylda stwierdziła, że mimo iż nigdy nie pracowała z ludźmi, nie oferowała im żadnych usług, no nie bezpośrednio, chyba to zajęcie lubi. Tych parę osób, które się pojawiły w biurze, była w stanie rzetelnie poinformować o wszystkim, porozmawiać chwilę na luźne tematy i prawdę powiedziawszy, spodobało jej się to.

– Wiesz, Basiu, chyba dowiaduję się kolejnej nowej rzeczy o sobie – poinformowała pracodawczynię, gdy już po południu, uruchamiały alarm przy drzwiach.

– A wiesz, co ja ci powiem, tak z moich osobistych, przeprowadzonych ukradkiem, wybacz, obserwacji?

– No nie wiem, pewnie coś odkrywczego bardzo.

– A żebyś wiedziała. Nadajesz się do tego, ludzi trzeba lubić, a ty ich lubisz, mimo tego, że ich wcześniej nie widziałaś, lubisz, znasz, wiesz, jak podejść.

– Ha, niech zgadnę, mówisz o panu Stefanie?

– Tak jakby.

– Oj Basiu, przecież na pierwszy rzut oka było widać, że on tylko na wierzchu taki najeżony, a w środku całkiem miły facet.

– To ty widziałaś. Dla większości ludzi ten pan Stefan jest obrzydliwym zgreдем i ani myślą podchodzić do niego inaczej, ani myślą zadawać sobie trud zastanawiania się, co tam ma pod spodem, jakim faktycznie jest człowiekiem.

– Basiu, nie wiem, czy gdybym nie musiała mu sprzedać wycieczki, innymi słowy, gdyby od niego nie zależał mój zarobek, to pokusiłabym się o zagłądanie pod pancerzyk.

– Nie musiałaś. Mogłaś podać katalogi i cześć pieśni.

– Dałaś mi do myślenia.

– I dobrze. Do jutra. Kruszyny dwie.

– Pa.

* * *

Jak to ona powiedziała? Facet do niczego? Jak to do niczego? Przez iks lat sprawdzał się całkiem nieźle, związek funkcjonował jak należy, właściwie złego słowa nie mogła na Pawła powiedzieć, jeśli liczyć czas do momentu poinformowania go o przewidywanym ojcostwie. Może o to chodzi? Może na dobrą sprawę chodziło o to, żeby sprawdzić go w sytuacji krytycznej? Bo jakby nie było, sytuacja była wtedy dla niego krytyczna. Idiotko, teraz pewnie też jest. Co ty możesz na ten temat wiedzieć.

Matylda z zadowoleniem skonstatowała, że siostra jeszcze nie wróciła. Znajomy znak, ona przekręcała klucz w zamku dwa razy, Karolina raz. I dobrze, przez chwilę będzie mogła pomyśleć.

Zapaliła światło w przedpokoju i przyjrzała się sobie, odwieszając kurtkę. No fakt, więcej kilogramów, ale chyba mi z tym dobrze, stanęła bokiem do lustra i przycisnęła delikatnie bluzkę do brzucha. Mamy końcówkę października, a ciebie, Kruszyńko, ledwie widać, pomyślała z czułością i tak jak zawsze zaczęła sobie wyobrażać większy brzuch. To jak się będzie z nim czuła, nowy, zupełnie inny ciężar. Na myśl o ciąży poczuła ciarki na plecach i dreszcz zniecierpliwienia. Kiedy wreszcie?

Matylda w wolnych chwilach surfowała po blogach młodych matek, które wspominały okres ciąży i nie mogła się doczekać pierwszych wyczuwalnych sygnałów od tej małej istotki. Jakie to może być uczucie? Dla Matyldy graniczyło ono z cudem. Właściwie to był jej mały, powoli rosnący cud. A co będzie, gdy da jej namacalny znak, że żyje, słyszy, że jest jej wygodnie albo nie? Zerknęła w swój okrągły kalendarzyk, sprawdzała powoli płynące tygodnie i ze smutkiem stwierdzała, że to jeszcze nie czas, że jeszcze musi poczekać na odzew, na odpowiedź.

Stanęła jej przed oczami para wybierająca wózek. Matylda nie przyznała się ani Basi, ani Magdzie. Z niewiadomych właściwie przyczyn,

może dlatego, że posądziłyby ją o masochizm? Wróciła tam, do tego sklepu. Kobieta ze stoiska widocznie ją zapamiętała, bo obrzuciła takim pełnym litości spojrzeniem. A Matylda nie chciała litości, wróciła tam, żeby się utwierdzić w przekonaniu. Chyba dlatego, chociaż nie analizowała siebie pod tym względem. Jedynym, do czego nabyła stuprocentowej pewności, było to, że nie widzi obok siebie nikogo oprócz Pawła.

Nie wyobrażała sobie, że to Patryk stoi i wbija w nią spojrzenie swoich pięknych ciemnych oczu. Co z tego, że pięknych, skoro wzbudzających w niej zupełnie niewyjaśnione poczucie odrazy? A pomijając już ją samą, co z dzieckiem, czy w dziecko też będzie wbijał ten swój spanielowy wzrok? Chcesz kwiatka, masz. Chcesz gwiazdkę z nieba, proszę bardzo, tatuś zdejmie. Nie chcesz jeść, czekaj, tatuś przyniesie czekoladkę, może czekoladkę zjesz? Nie, to miał być Paweł. Jeżeli nie on, to nikt. I jak to mówi Basia, cześć pieśni.

W kuchni wszędobylski bałagan, ech, Karolina! Można ją wieszać, torturować, a i tak nic z tego, wszystko robiła według własnego widzimisie. Chciało jej się sprzątać – zrobiła kuchnię na błysk. Nie chciało – przy wejściu trzeba było uważać i najlepiej zakładać kalosze, bo na podłodze można było znaleźć i wdepnąć we wszystko. Dosłownie.

Matylda wygrzebała z szafki garnek i wstawiła wodę, z zamrażalnika wyjęła paczkę mrożonych truskawek i nastawiła mikrofalówkę na defrost. Niech będzie słodko i w miarę pożywnie. Kluchy z truskawkami, reflektujesz Kruszynko? Co masz nie reflektować, ha, do chwili kiedy będziesz stawała okoniem w kwestii jedzenia, mamy jeszcze trochę czasu.

Przyrządzając posiłek, jedząc, wreszcie sprzątając, cały czas Matyldzie jakoś tak się myślało, nie w planie głównym, tylko raczej w tych bocznych torach myślowych, o mailu od Pawła. Gdyby go wykasowała, po czym

wyrzuciła z kosza, nie byłoby problemu. Znaczący nie, problem by był, ale na pewno mniejszy. Zastanowiłaby się po prostu, co tam w nim było i dlaczego właściwie go usunęła. A tak...?

Wreszcie, gdy umyła już wszystko, co do umycia było, gdy wyczyściła szafki, odbyła długą i orzeźwiająca kąpiel i nie doczekawszy się Karoliny, usiadła przed biurkiem.

Laptop zaiskrzył, wreszcie ukazało się zdjęcie Pałacu Zimowego, zrobione z rzeki. Iskrzył się w słońcu złoceniami, zieleniał na tle błękitnego nieba, jednym słowem wyglądał jak zawsze. Bajkowo.

Kiedyś cię zobaczę.

Znowu.

Temat: RE: Twoje rzeczy

Od: Paweł

Do: Matylda

„Witaj...

Matylda... Petroniusz podpowiada mi, chociaż co on tam wie, to ryba przecież... ale jakoś tak mu pięknie z oczu patrzy, więc podpowiada mi, że chyba jestem idiotą i mam być w stosunku z Tobą szczerzy... co ryba jednak może wiedzieć o stosunkach damsko – męskich? Zwłaszcza o ludzkich stosunkach? Sama przyznaj, nic nie może. O rybich zdaje się też niewiele powie taki sobie Petroniusz, bo pływa samotnie w swoim małym akwarium i na inne rybki może popatrzeć sobie w telewizorze. Ale nie oglądam programów przyrodniczych... właściwie żadnych nie oglądam. Zamknąłem sobie świat na głucho i tkwię sobie w nim po uszy... pamiętasz?

Zresztą nieważne.

Pytasz o rzeczy. Chciałbym znowu posłuchać którejś ze swoich płyt, tak całej, z klimatem, wolną chwilą, butelką piwa. Chyba się rozmarzyłem.

Chciałbym w każdym razie. Nie pamiętam, co zostało, pamiętam tylko to, czego mi brakuje, a brakuje mi bardzo, chwilami mniej, chwilami bardziej. Tych chwil, kiedy bardziej jest więcej, mimo tego, że staram się zająć głowę wszystkim innym, ale ona się nie daje, wiesz? Ludzka głowa to dziwny twór.

No i jesień mnie przytłacza, może dlatego, że tutaj, a nie tam. Dziwnie tu jesień wygląda, tak czysto i bez liści prawie na ulicach. Nie miałem pojęcia, że będzie mi tego brakować. O zgrozo, tego też.

Jest inaczej.

Pozdrawiam

P. ”

Przeczytała najpierw raz, bardzo szybko. Odetchnęła z ulgą, że nie roi się w tym liście od gęstych tłumaczeń. Później przeczytała drugi raz i uśmiechnęła się na wspomnienie o jesieni. Lubili jesień. Przeczesywali zawsze park i brodzili po kostki w niezgarniętych liściach, a później nieodmiennie dziwił ich lepki brud na butach i spodniach. Matylda w swoim czerwonym szaliku, Paweł w nieodłącznej czapce z małym daszkiem...

Przeczytała jeszcze raz i się zdenerwowała. No bo jakże to? Píše do niej, jakby nic się nie stało. O rybce jakiejś, o jesieni, a o tym, że przecież tyle między nimi innych... aj, szkoda gadać.

A Paweł niech sobie gada do rybki. Ona nie zamierza mu odpisywać.

Temat: RE: Twoje rzeczy

Od: Matylda

Do: Paweł

„Pozdrowienia dla Petroniusza. Ciebie pozdrowię na koniec... Rzeczy czekają i będą czekać, wprowadzie Karolina sarka, że zajmują jej całą przestrzeń życiową, ale na dobrą sprawę narzeka tylko tak, aby narzekać, bo

to właściwie ona zajmuje teraz przestrzeń Piotrka. Pamiętasz uprzejmego syna sąsiadów? Wyrosło chłopię okrutnie i jest w wieku poborowym, więc go sobie Karolina przejęła. Całkowicie i zupełnie w posiadanie.

Co do jesieni, ups, niedobrze, że nie ma liści... mnie tradycyjnie brudzą buty codziennie w drodze do pracy. Raz nawet spadł sobie śnieg, ale tak jakoś nieśmiało... nie chciało mu się dłużej leżeć, więc stopniał po paru godzinach. I dobrze, jeszcze za wcześnie na zimę. Kasztany powyskakiwały z łupinek i ostatnio zaczynam porównywać je do ludzi... to tak a propos tego, co dziwne. Dziwne, że niektórzy ze swoich łupinek uparcie nie chcą wyskoczyć i straszą kolcami, nie pokazując środka... ot, takie wieczorne dumania nad wystygłym makaronem z truskawkami...

Pozdrawiam

M. ”

Czy to równie bezosobowe czy bardziej? Czy prywatne, czy osobiste, czy wysyłać... Kliknęła szybko wyślij, poklepała Kruszynekę na dobranoc i walnęła się do łóżka.

Z uśmiechem, tak dla odmiany.

* * *

Ostatecznie jednak pani Zofia nie przyjechała w odwiedziny, zbliżał się pierwszy listopada, dziewczyny postanowiły odwiedzić groby bliskich i przy okazji nacieszyć się jesienią, na Podlasiu wyjątkowo piękną.

– Matyllda! Opanuj się, żresz już trzeci! – burknęła z oburzeniem i widocznym niesmakiem Karolina. Nieco też w tym było zazdrości, bo znowu była na diecie.

– Trzeci? Niemożliwe, a ciągle jestem głodna – Matyllda obrzuciła spojrzeniem małe pudełeczko ryżu z wsadem waniliowym. Jak dla niej, to tego ryżu mogło być mniej, wsadu za to dużo więcej. Albo sam wsad

właściwie. – Malutkie jakież to wszystko produkują.

– Rozmiary są normalne, ty masz potrzeby ponad normę i tyle.

– Karolina, daj jej spokój, w tej chwili. Mam ci przypomnieć, ile kiedyś wciągnęłaś tabliczek czekolady? Tej niemieckiej, którą ciotka przywiozła? – pani Zofia przyniosła sobie herbatę i dosiadła się do córek. Obie wyglądały pięknie, obie też były zadowolone, uśmiechnięte i najwyraźniej jakoś sobie tam we dwie dawały radę, no, w każdym razie nie potłukły się jeszcze, a za to pani Zofia była niebiosom bardzo wdzięczna. Co wieczór też dawała wyraz swojej wdzięczności, wznosząc dziękczynne modły do Najświętszej Pani. To ona miała jej córki w swojej pieczy. Na pewno.

– Hehe, karton zeżarła, caluteńki – Matylda wytknęła siostrze z satysfakcją – a mnie wytyka trzy małe jogurciki.

– Tak, trzy, jak do nich zasiądziesz, to też potrafisz obalić cały karton. Wyrobiły sobie, mamuś, kartę na to swoje biuro, że niby kawa, cukry i inne wody będzie taniej, ale Matylda przy okazji korzysta i nie tylko te jogurty do domu znosi, wafelki, ciasteczka w takich wielkich kilogramowych albo i dwukilogramowych paczkach. A to wszystko znika po prostu błyskawicznie.

– Strasznie się, młoda pyskata zrobiłaś. Mamo, jak udawało ci się trzymać ją w ryzach, musisz mi powiedzieć, w jaki dokładnie sposób, ała, mamo, ona mnie kopie. Mnie, ciężarną kobietę!

– Spokój, dziewczynki – powiedziała pani Zofia, mimowolnie obrzucając Matyldę baczny spojrzeniem.

– Co tak patrzysz, mamo, przytyłam mocno?

– Nie, właśnie nie. Jak na mój gust to jeszcze trochę mogłabyś przybrać tu i ówdzie, ale myślę, że to przyjdzie z czasem.

– No to co?

– Co? A wiesz, tak sobie myślę. Jak wam idzie w biurze?

– zagadnęła znienacka.

– Dobrze, można powiedzieć, że dobrze. Mamo, nie minął jeszcze miesiąc, więc nie oczekujemy, że ludzie będą się pchali drzwiami i oknami, ale nie jest źle. Basia ostatnio stanęła do przetargu i nie wiem jakim cudem, ale udało nam się ten przetarg wygrać. Wycieczka dla jednej z firm, starsi państwo chcą sobie jeszcze w tym roku obejrzeć Kazimierz, Sandomierz, zachaczyć o Toruń. Więc chyba się kręci.

– To dobrze – pani Zofia z zamyśleniem potarła pulchny podbródek.

– Mamo?

– Co kochanie?

– Znamy się, o czym tak dumasz? Coś kombinujesz, przecież widzę i nie śmiej się, tylko mów.

– Oj córeczko, tak sobie myślę, a gdybyście tak wplotły nasz pensjonat do swojej oferty, co?

– Hm, hm, czekaj, ale na jakiej zasadzie właściwie, gdyby... czekaj zadzwonię do Basi, zrobimy telekonferencję.

Po czym trzy kobiety usiadły sobie naokoło telefonu Matyldy i wyłuszczyły sprawę Basi.

– Słuchajcie, to jest pomysł.

– Ale jaki Basiu? Zrobić ulotki pensjonatu, na zasadzie

– proszę państwa zapraszamy do wypoczynku w samym środku zielonych płuc Polski? – dociekała Matylda.

– Można i tak, ale można też szerzej. Pomyśl Matylda, co my mamy na Podlasiu. Można by organizować wycieczki tematyczne, kilkudniowe, a ludzi po prostu kwaterować tam u was. Obmyślimy jakieś regionalne menu, jakieś bliny, sękacze, jakieś kartacze, kiszkę ziemniaczaną... Pani Zofio,

mogę się tak do Pani zwracać?

– Będzie mi miło, pani Basiu – pani Zofia pochyliła się z uśmiechem nad telefonem.

– Czy pani potrafi zrobić takie rzeczy?

– Oczywiście, raz czy dwa brałam się nawet za pierekaczewnik i kołduny i z efektu wszyscy byli zadowoleni, znaczy pochłonęli bez protestów i domagając się dokładek.

– To zdaje się tatarskie już.

– Zgadza się. Ale może być, bo przecież nasze podlaskie.

– Pewnie, że może.

– Hola, hola, Basiu, ale czy takie regionalne menu nie wyniesie trochę za drogo wycieczkowiczów? – zastopowała Matylda.

– Myśl szerzej, co mamy tam u nas? No powiedz. Historycznie co mamy, przyrodniczo...?

– No dużo mamy...

– Dużo mamy, ot i tyle rodowita białostoczanka potrafi powiedzieć – sarknęła Basia i zaczęła wyliczać jednym tchem.

– Jaćwingowie, ich śladami, Tykocin, Suraż, Drohiczyn, Białowieża...

– Trochę się zagalopowałaś...

– Och, dziewczyno, ja wszystko, jak leci, wymieniam... Augustów, dodaj miejsca historyczne pierwsze z brzegu, te na Górze Strękowej...

– Raginis, czekaj, czekaj – załapała Matylda – przecież o obronie Wizny Sabaton napisał...

– Kampania wrześniowa 1939 roku, czterdziestu do jednego

– wyrecytowała Karolina.

– A ty skąd...? No popatrz, popatrz, siostra, ja myślałam, że ty tylko w techniawce siedzisz.

– Źle myślałaś – furknęła Karolina z obrażoną miną – ja jestem osobą o wiele bardziej wszechstronną niż się tobie może...

– Cicho, baby – Basia zagrzmiała ze słuchawki, czym zyskała sobie dużą aprobatę pani Zofii – nie kłócić się, myśleć. Matko kochana, że wam zawsze trzeba najpierw rozruszać tryby, żeby coś drgnęło... Rozumiecie, co mam na myśli?

– Jasne, a jeszcze gdyby tak na koncert chcieli przyjechać, tam właśnie, Basiu, czy ty wiesz, co to by można było zrobić...

– rozmarzyła się Matylda.

– Nie jest do końca powiedziane, że nie przyjadą – mruknęła pani Zofia. – Coś tam się przebąkuje właśnie o wielkiej imprezie, za rok mamy przecież siedemdziesiąte obchody wybuchu wojny, a że tamtejszy wójt podobno ma...

– Mamo!

– No co? Głowę na karku ma, chciałam powiedzieć – wzruszyła ramionami – więc nic nie jest wykluczone. Ze swojej strony mogę wam obiecać, że będę trzymać rękę na pulsie i dowiadywać się, gdzie trzeba. Co do imprez organizowanych w Białowieży, też proszę bardzo, mogę się rozejrzeć, dowiedzieć, pozbierać informacje. Pan Robert ostatnio jak tu u nas łowił rybki, nawet nauczył mnie korzystać z komputera. Nie patrzcie tak na mnie córki, wiem, jak się wysyła maile. Tak. Więc mogę wam wysyłać. Mam zaprzyjaźnione dwie panie w Korycinie, więc serki też by się podało, ja już o jedzeniu, gdybyście nie wiedziały, ogórki z Kruszewa...

– Dobra baby – zagrzmiało z telefonu – o, proszę wybaczyć pani Zosiu.

– Ale ja też baba jestem, a jakże – uśmiechnęła się przeproszona.

– No więc chciałam powiedzieć: wy tam sobie myślcie, zróbcie burzę

mózgów, Matylda notuj wszystko jakoś tak w miarę sensownie i będziemy działać, a teraz serdecznie was muszę przeprosić, umówiłam się i biegnę na Powązki.

– My też, do zobaczenia Basiu! To znaczy my nie na Powązki, tylko tutaj – poprawiła się Matylda.

– Do widzenia. Zobaczenia. Pa.

Trzy kobiety z rodu Bięckich spojrzały po sobie i jednym głosem stwierdziły.

– Dobra, czas chwycić byka za rogi!

– Znaczy, wyjść do ludzi? – upewniła się Matylda.

– Tak. I wyjść naprzeciw ich ostrym językom, co to niczemu nie przepuszczą.

– E tam, mama, przecież u niej jeszcze niewiele widać ten brzuch, na dobrą sprawę, jak się przykryje kurtką, to nikt niczego nie pozna – Karolina obrzuciła siostrę uważnym spojrzeniem.

– Spokojna głowa, kochanie, szóstego zmysłu naszych sąsiadek nie zmyli choćby i tysiąc kurtek. To prawdziwe wiedźmy, nie patrzcie tak na mnie, prawdziwe, wiedzą wszystko o wszystkich, a najgorsze, że nie wiadomo skąd. Muszę popytać – pani Zofia zakrzętnęła się przy zlewie – może mają jakieś kule magiczne, czy inne cuda, takie co to przepowiadają przyszłość.

– Tak, mam, a jeżeli ktoś im podpadnie, robią sobie laleczki wudu i w ten sposób rozwiązują konflikty – sarknęła Matylda.

– A ty wiesz, może i coś w tym jest. U lekarza zawsze tyle tych bab, każda na coś narzeka, ale co jakiś czas na coś innego.

– Mam! Litości.

– Oj żartuję. Ubierać się, ciepło tylko – zadysponowała stanowczo. –

Matylda długie majty, szoruj do szuflady, coś tam się znajdzie.

– Teraz też żartujesz, prawda? – upewniła się starsza córka.

– Nie, tym razem nie żartuję, tą kurteczkę masz kusa, że cały tyłek na wierzchu, masz dbać o siebie i moją wnuczkę. Koniec, kropka.

– Mamo! Twoje majty mi będą sięgać kolan i trzeba by jakieś szelki znaleźć, żeby mi się w ogóle utrzymały na tyłku.

– Ohoho, patrzcie ją, że niby taką szeroką masz mamusię – pani Zofia stanęła w rozkroku, kładąc ręce na rozłożystych biodrach. – Do szuflady marsz. Jak będą spadać, to się przypnie którymś z twoich złotych paseczków, hihi. Poszłaś i już cię nie widzę, a nie pokazuj mi się bez majtek na tyłku. A ty się nie śmiejesz, bo drugi egzemplarz też wynajdę – pogroziła Karolinie.

– Ale ja mam majtki – próbowała jeszcze protestować Matylda – ciepłe nawet.

– Proszę cię, dziecko, nie rozśmieszaj mnie, te terazniejsze niteczki przecinające człowieka na pół to nie majtki, tylko szyderstwo z bielizny. Idź już, bo czas najwyższy się zbierać. Gdzie jest wasz ojciec? – zahuczała w stronę schodów, kończąc tym samym jałowe dyskusje.

* * *

Temat: RE: Twoje rzeczy

Od: Paweł

Do: Matylda

„Temat powinien być trochę inny, na przykład – dlaczego zrobiłem się sentymentalny, ale zaraz potem mogę dodać; jestem też przesądny, niech pozostanie to Re, takie jak na początku, nie chcę zmieniać, żeby nic już więcej się nie zmieniło... Bredzę? Może. Pora zdecydowanie sprzyjająca bredzeniu, czy nie uważasz tak, Matyldo droga?

Sentymentalizm.

Z jego istnienia człowiek nie zdaje sobie sprawy, podobnie zresztą jak z innych rzeczy, które są, uważa się je za normalne, przynależne do czegoś, właściwe, obowiązkowe wręcz. No może z sentymentalizmem trochę inaczej, ale wiem, że rozumiesz... swoją drogą całkiem przyjemna ta wiedza... trochę zboczyłem z wątku. Powinienem wrócić na święto. Nie miałem bladego pojęcia, że tak głęboko we mnie tkwi tradycja, pamiętasz? Któregoś roku zapomnieliśmy, zabrakło czasu, każde z nas siedziało z głową w swoim sprzęcie i dopiero *wiadomości*, dopiero wtedy przypomnieliśmy sobie, co to za dzień. Obiecaliśmy sobie następny rok, a to ten rok, Matylda... Pukały do mnie dzieci z dynią, pomalowane na czerwono i czarno. Nie otworzyłem drzwi. Petroniusz patrzył na mnie z politowaniem. Tak właśnie patrzył, ale jakoś nie mogłem. Za bardzo tkwię w tradycji, tej naszej.

Prawdę powiedziawszy nie znalazłem tu siebie.

Nie znalazłem celu.

Ani drogi do tego celu.

Coraz częściej zastanawiam się nad rzuceniem tego wszystkiego w diabły. Powiedz sama, po co komu ta cała gonitwa, czemu służy? Goniąc, nie mam do kogo otworzyć ust. Naokoło zupełnie obce twarze, przyzwyczajenia.

Wciąż jestem obcy

Wciąż bardziej obcy tu... niby wróg

Tak to chyba szło, ale szło bardzo adekwatnie.

Pozdr P. Przeczytałem i stwierdzam, że dopadła mnie deprecha. Wybacz, ale pójdzie. Aha, Matylda, proszę cię, nie zapominaj o szaliku, dobrze? ”

Temat: RE: Twoje rzeczy Od: Matylda Do: Paweł

„Ulala, faktycznie cię wzięło, mam nadzieję, że dałeś się już wciągnąć w wir pracy i deprecha poszła sobie w... cholere. Taką mam nadzieję. Mnie natomiast przyszło stwierdzić, że coś jednak jest w tym całym gadaniu o przeczuciach, jasnowidztwie i innych takich. Większości sąsiadek wystarczył jeden rzut oka na moją, nie tak znowu strasznie zmienioną, fizjonomię, żeby stwierdzić konkretny tydzień ciąży. Ja nie wiem, jak one to robią, przysięgam. Zastanawialiśmy się z mamą, czy czasami nie korzystają z jakichś magicznych sprzętów i wiedzy odziedziczonej po przodkach. A może to kwestia osobistych predyspozycji? Nie wiem, wiem tylko, że jest to kolejne zjawisko niewytłumaczalne, nadprzyrodzone wręcz. A może i ja mam jakieś zadatki na wiedźmę. Chwilami chciałabym.

Ha, widzisz, ty mówisz o sentymentalizmie, a ja tu o wierze w nadprzyrodzone rzeczy.

Nic się nie zmieniło, pod względem tradycji mam na myśli. Pojechałyśmy najpierw w dzień, później wieczorem, wtedy, kiedy najczęściej zniczy się pali, kiedy zapach i blask kopcących ogników jest największy. Tu nic się nie zmienia i powiem ci, że to dobrze. Dobrze mi ze świadomością, że mogę wrócić w takie miejsca, których stałości jestem pewna. Wśród których niezmiennie, przez całe życie wszystko wygląda tak samo... jakby nigdy nic brodzę już w smudze cienia i widzę, jak zachodzi... jakby nigdy nic przyjaciół paru na cmentarzach, jakby nigdy nic... pamiętasz? Możliwe, że niezbyt adekwatnie mi wyszło, ale szczerze. To najważniejsze.

Pytałeś, czy pracuję. Jakoś tak się złożyło. Z szaloną kobietą, w szalonym i niepowtarzalnym... biurze turystycznym.

Fajno jest, że się tak posłużę powiedzeniem Karoliny. Ostatnio dużo od niej się uczę, nie wiedzieć dlaczego. To ona przecież miała w założeniu

brać ze mnie przykład jako z tej poważniejszej, roztropniejszej i w ogóle. A wyszło co? Kicha wyszła.

Zaczynają już wieszać świąteczne ozdoby, strasznie szybko.

Pozdrawiam

M. ”

Wyślij, oczywiście, i to im szybciej, tym lepiej. Matylda szczelniej zawinęła się w ciepłutki, polarowy szlafrok. To z plastikowych butelek, wiesz? – powiedziała mama, wręczając jej wielki pakunek. Pakunek został czym prędzej rozwinięty, zaaprobowany z dzikim okrzykiem, a w tej chwili sprawdzał się cudownie.

Dlaczego nikomu nie powiedziała o tych mailach? Wszystkie pieczołowicie przesuwała do folderu zatytułowanego tajemniczo: „miłe”, zerknęła teraz na jego zawartość. Dużo tego. No właśnie, dlaczego nic nikomu, ani słowa? Może dlatego, że te wiadomości niczego nie zmieniały? Nie świadczyły o niczym. Matylda miała wrażenie, że Paweł po prostu odzywa się do niej, jako do tej, z którą miał dobry kontakt, rozumiał się niezłe i korzystał z obecności po drugiej stronie kogoś, kto miał ochotę po – stukać o wszystkim i o niczym.

No właśnie. Przecież na dobrą sprawę cała korespondencja dotyczyła rzeczy błahych, codziennych. Chociaż miała drugie, głębsze dno. Takie domyślne, takie o wielu znaczeniach, przyjemne... Matylda chwilami miała wrażenie, że koresponduje z zupełnie obcym człowiekiem, tyle że... no właśnie, tyle, że nie musiała tłumaczyć mu niczego, wiedziała, że zostanie zrozumiana, nie musiała opowiadać o wszystkim od początku, bo ten początek miał miejsce najczęściej we wspólnej przeszłości. Przystąpiła na ten układ. Odpowiedziała na pierwszego maila w ten sam sposób, konwencja została zachowana.

Po co?

To pytanie najczęściej tłukło się w głowie Matyldy. Po co jej to? Nie ma tutaj z kim porozmawiać? W jakim celu on do niej pisze? Dlaczego ona odpisuje? Tysiąc pięćset pytań, na które brakowało racjonalnej odpowiedzi.

Otak, po prostu.

Piszę, bo tak. Mam do kogo, to piszę i nikomu nic do tego. Zgasiła lampkę i poszła spać.

* * *

Matylda leżała jak zaczarowana. Jednostajny dźwięk, mocny i rytmiczny rzucił na nią absolutny i nieodwracalny urok. Nie zdając sobie sprawy, uśmiechała się błogo i gotowa była leżeć u pana doktora jeszcze przez najbliższe parę miesięcy, aby tylko słyszeć bicie tego drugiego serduszka. Pan doktor jednak zaczął odłączać ją już od aparatury i o coś pytał. Pytał już chyba po raz drugi. Niechętnie wróciła do rzeczywistości, tęskniąc już za kojącym dźwiękiem.

– Mógłby pan powtórzyć? Zamyśliłam się.

– Reakcja prawidłowa, pytałem o wyniki, czy ma je pani ze sobą – uśmiechnął się przyjemnie, podając jej rękę, drugą kładąc na brzuchu. Przy okazji zmarszczył brwi. – Proszę jeszcze nie wstawać.

– Coś nie w porządku?

– Hm, proszę mi powiedzieć, czy pani często miewa taki twardy brzuch?

– Nie rozumiem.

– Proszę tu dotknąć.

Matylda posłusznie położyła dłoń na brzuchu. Nic nadzwyczajnego, taki sam jak zawsze. A że twardy? Kruszyńska zaczyna się rozpychać, to i brzuch twardnieje. Wzruszyła ramionami.

– Jeżeli nie widzi pani żadnej różnicy, to nie za dobrze – podrapał się po brodzie z zatroskaniem. – Pani Matyldo, powiem tak. Wszystko jest w normie, zaraz jeszcze przejrzę ostatnie wyniki, ale wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Tyle, że... położyłbym panią do siebie na oddział.

– Jak to?! – Matylda uniosła się na łokciu. – Przecież pan powiedział, że wszystko w porządku?!

– Spokojnie, nie dzieje się nic strasznego, chciałbym po prostu mieć panią na oku, przez jakiś czas monitorować te przedwczesne skurcze. To wszystko. I niech się pani nie denerwuje na zapas, bo nie ma po co. Proszę pomyśleć o tym w ten sposób; będzie pani w szpitalu pod całodobową opieką, którą nad panią roztoczę z największą troskliwością, na jaką mnie stać – uśmiechnął się, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Dziękuję, ale... – zamilkła na widok uniesionej doktorskiej ręki.

– Ale nie ma żadnego *ale*, pani pracuje prawda?

– Tak, ale...

– Codziennie jest pani w pracy, nie może pani położyć się wtedy, kiedy, powiedzmy, poczuje pani te lekkie skurcze, prawda?

– Nie, ale...

– No właśnie, a w tej chwili lepiej, że tak to ujmę, dmuchać na zimne, poleży pani u mnie tydzień, maksymalnie, zobaczymy jak się dziecko sprawuje, pani odpocznie, zregeneruje siły. Proszę nie patrzeć tak żałośnie pani Matyldo, niestety z pewnych rzeczy trzeba zrezygnować na rzecz dziecka. Jego zdrowia.

– Ale mnie nie o to chodzi, panie doktorze. Nie chodzi o rezygnowanie z czegokolwiek, myślałam po prostu, że pasmo niespodzianek się skończyło, że teraz będziemy miały już z górki, a tutaj...

– I będziecie miały, spokojnie, ale dla wszelkiej pewności... – dodał

wypisując skierowanie do szpitala. – Czekam na panią jutro, tu ma pani wszystkie szczegóły, jakby były problemy, jakiegokolwiek... Pani Matyldo! Ja mam na myśli problemy ze znalezieniem oddziału, pielęgniarki, czegokolwiek, problemy czysto techniczne – zawołał widząc rozszerzone przerażeniem oczy pacjentki. – Numer telefonu pani do mnie ma, proszę śmiało korzystać. A na pobyt w szpitalu zaopatrzyć się w jakieś ciekawe książki. Lubi pani czytać?

– Lubię.

– No i bardzo dobrze, na wszelkie lekkie i przyjemne książki zezwalam. Tyle zaleceń z mojej strony. Do jutra.

Siema. Szlag. Cholera. Jasna mać.

Trudno, pozostaje mieć nadzieję, że przyjemny lekarz jest na tyle samo kompetentny. No i że wie, co mówi, bo przecież sprawia wrażenie, że wie.

Trzymaj się, Kruszyńko – szepnęła, sadowiąc się za kierownicą – zrobię wszystko, żebyśmy szczęśliwie dobrnęły do końca.

– Jak to do szpitala? – Karolina zareagowała lekkim szokiem.

– Normalnie. Znaczy nie normalnie, najwyraźniej zaczęło się spieszyć mojej córeczce do wyjścia, a to zdecydowanie za wcześnie, więc trzeba sprawdzić co i jak, przytrzymać ją jeszcze przez jakiś czas, tam gdzie warunki ma najlepsze. – Matylda wolną ręką wskazała brzuch, w drugiej trzymała torbę wyjętą przed chwilą z przedpokojowej szafy i zastanawiała się, co właściwie ma spakować.

– I ty o tym mówisz tak spokojnie?!

– A jak mam mówić? Jedyna rozsądna rzecz, którą mogę w tej chwili zrobić, to nie denerwować się i słuchać przykazań pana doktora, tak czy nie?

– Matii!

– Młoda, nie panikuj, jeśli ktoś tu kogoś powinien uspokajać, to chyba raczej ty mnie, a nie na odwrót, nie uważasz? – Matylda stanęła przed półką z kosmetykami, balsam jeszcze dzisiaj będzie potrzebny, szczoteczkę i pastę też się wrzuci jutro, kremy też. Znaczy łazienka na jutro. Zostawiła tylko kosmetyczkę na szafie i podreptała do siebie do pokoju. Po bieliznę.

– Uważam, ja na wszystko uważam, ale co to będzie, co to będzie – Karolina zaczęła biadolić i działać już delikatnie na nerwy siostrze.

– Nic nie będzie – wycedziła stanowczo – a raczej, dobrze będzie. Uspokój się i idź się może pouczyć.

– Łatwo ci mówić, ale powiedz mi, co ze mną będzie?

– A co ma być? – Matylda spojrzała na siostrę, nie rozumiejąc.

– No jak to? Mam zostać sama?

Tego już Matyldzie było za wiele. Czyli cała ta panika to wcale nie o to, że u niej wystąpiły komplikacje, delikatne, tak wołała o nich myśleć, tylko o to, że pępuszkowi świata nie będzie kto miał gotować, żywić, opiekować się i w ogóle służyć pomocnym siostrzanym ramieniem w razie czego. Matylda szurnęła torbą w kąt i wzięła się pod boki.

– Czy ty siebie w ogóle słyszysz, Karolina? Nie wzruszaj ramionami tylko mi odpowiedz.

– Oj, bo wiesz, ja już się przyzwyczyłam...

– Do czego się przyzwyczyłaś, powiedz mi, do tego, że jestem w domu na zawołanie, do tego, że wszystko ogarniam, w razie potrzeby sprowadzam cię na ziemię i staram się układać to nasze wspólne życie tak, żeby się toczyło bezproblemowo?

– Oj, ty to od razu cały wykład robisz – policzki siostry wyduły się dziecinnie i jeszcze bardziej niż zazwyczaj – ja po prostu...

– Ty po prostu nie widzisz dalej niż czubeczek tego tu nosa

– Matylda dotknęła wspomnianego narządu. – Nie widzisz niczego poza własną korzyścią, własnym dobrem, jednym słowem, czy raczej dwoma: poza sobą! Obudź się wreszcie, nie tylko ty istniejesz na tym świecie, a świat nie kręci się wokół ciebie. Wyobraź sobie, że zaistniała potrzeba, żebyś to ty się wykazała – Matylda wpatrując się w siostrę, zastanawiała się, czy w ogóle coś do niej dociera, czy nie dać sobie spokoju, machnąć ręką i obejść się bez pomocy siostry. Bo, że ta pomoc będzie potrzebna, to pewne, w całym swoim racjonalizmie musiała przyznać sama przed sobą, że może to nie być ostatni wybryk jej zbuntowanego brzucha. Może pierwszy, ale prawdopodobnie nie ostatni. Musiała liczyć się z tym, że po wyjściu ze szpitala trzeba będzie nieco ograniczyć piastowane do tej pory obowiązki, trzeba będzie zacząć się oszczędzać. I co wtedy? Zarosną brudem i pomrą z głodu? Bo co, bo Karolinie najlepiej darować i machnąć na wszystko ręką? Nie, pokręciła do swoich myśli głową. Tylko teraz jak do młodej podejść... prosić ją o każdą, najdrobniejszą rzecz, przecież sama się nie domyśli... Nie kochana, nie prosić, tylko nie prosić. – Na razie jedno jest pewne. Zajmowanie się domem spada na twoją, dorosłą głowę...

– Ja się uczę – nadęła się Karolina, ale jakby mniej.

– A ja pracuję, jestem w ciąży, zajmuję się domem i jednym takim wyrośniętym już zdrowo dzieciaczkiem – odparowała jej Matylda. – Teraz to wszystko się trochę zmieni. Może nieznacznie, może znacznie. Zobaczymy. Na razie daj mi się spakować spokojnie, aha i Karolina... – ton Matyldy złagodniał – damy sobie radę co?

Do naburmuszonej siostry chyba nieco dotarło bądź zmieniła taktykę, co też często się zdarzało, nabierając wszystkich naokoło Matylda jednak nie wnikała.

– Chyba musimy. Zrobić ci herbaty? Bo wiesz, sobie będę robić i

może też...

– Zrób, proszę – Matylda westchnęła i wróciła do pakowania.

– Naśniło mi się – poinformowała zwięźle pani Zofia leżącą już w szpitalnej pościeli Matyldę.

Cholera, mama miała sobie pozostać w nieświadomości, miała się nie denerwować i w ogóle. Ustaliły z Karoliną, że przemilczą fakt hospitalizacji, to tylko tydzień, później jakoś delikatnie się mamę poinformuje, że Matylda powinna się oszczędzać z bliżej nieokreślonych względów. Jedno jest pewne, mamie najlepiej darować szczegółów.

– Córko moja, dlaczego nic nie mówisz?

– No cześć, mamó – Matylda przewróciła się na bok, odwracając się plecami do leżących na sali dwóch kobiet.

– A dlaczego ty tak cicho mówisz?

– Normalnie mówię.

– Cicho, już przecież wiem. W pracy jesteś na pewno?

– Yhm – wcześniej wydawało się, że pójdzie jak z płotka, ale mama najwyraźniej była obdarzona jakimś specjalnym zmysłem.

– To co tam tak cicho?

– Oj mamó, co ty taka dociekliwa jesteś, normalnie jest, ja normalnie mówię. Co słyhać, opowiadaj.

– Już ja tam swoje wiem. Naśniło mi się.

– Co? – spytała uprzejmie, patrząc przez okno.

– Dużo różnych rzeczy, och, zgiń, przepadnij, jak sobie przypomnę, to dreszcz mi po plecach chodzi. Czy u was, kochane moje, wszystko w porządku? I lepiej dla ciebie będzie, jeśli mi powiesz, co jest nie tak.

– Mamó, mamó, opamiętaj się, sen mara...

– Bóg wiara, zgadza się, tylko jak mnie się tak śni, to na pewno złe

rzeczy się wydarzą...

– Pani Bięcka, USG! Pomóc wstać?! – ryknęła Matyldzie do słuchawki pielęgniarka.

– Nie, nie, już biegnę, mamuś, ja już kończę, zadzwonię...

– Biegać to pani będzie, jak już szczęśliwie urodzi, a na razie leżeć kamieniem, kończyć proszę tę rozmowę, pan doktor do jutra nie będzie czekał! – krzyknęła jeszcze na odchodnym.

– Matylda! Co się dzieje, czy ty na wizycie jesteś?!

– Mamo, nie mogę teraz rozmawiać, słyszałaś, pan doktor nie może się mnie doczekać, zadzwonię później. Nie martw się. pa.

Karolina zignorowała pięć połączeń, szóstego już nie mogła, wysunęła się więc chyłkiem z sali wykładowej, rzucając przepraszające spojrzenie starutkiemu profesorowi.

– Proszę mi w tej chwili powiedzieć, co się dzieje! Dlaczego ty nie odbierasz ode mnie telefonów, a Matylda nie może rozmawiać, dlaczego chodzi na USG, przecież wizytę miała dwa dni temu i wszystko było dobrze, albo mi się w tej chwili wytłumaczysz, albo wsiadam w najbliższy pociąg, czy autobus i przyjeżdżam, a wtedy będziecie biedne! – pani Zofia zahuczała do słuchawki tak, że młodsza córka musiała odsunąć telefon od ucha na dobre kilkanaście centymetrów.

– Nic się... – zaczęła Karolina zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

– Więc jadę!

– Mamo, poczekaj – a dlaczego właściwie mama ma się martwić i dopowiadać sobie różne rzeczy? A wiadomo, że jak człowiek sobie coś dopowiada, to zazwyczaj wyobraźnia podsuwa obrazy o wiele gorsze od rzeczywistych. Karolina szybko zrobiła mały bilansik i opowiedziała w paru krótkich zdaniach wydarzenia ostatnich dwóch dni.

– A jak ona się czuje? – w głosie pani Zofii zabrzmiało tyle troski i spokoju, że Karolina się automatycznie rozgrzeszyła.

– Dobrze, rozstawia mnie po kątach po swojemu, każe gotować i zajmować się domem, tak jakby zapomniała, że...

– Karolina!

– No co, oj mam, damy sobie radę. Muszę wracać na wykład, zadzwonię później, pa – stwierdziła, że nie ma najmniejszej ochoty wysłuchiwać kolejnej reprimendy pod swoim adresem.

Pani Zofia zakasawszy rękawy na tłusciutkich rączkach, wzięła się do pakowania. Najpierw słoiki, stanęła przed pełnymi półkami w piwnicy i zaczęła sortować. Bigos, śliwki, sałatki z ogórków, przecież Karolina nie będzie sobie robiła żadnych surówek, a później jak Matylda już wyjdzie ze szpitala, też łatwiej będzie odkręcić słoik, niż bawić się z surowymi warzywami. Tak... podrapała się w podbródek, tylko że świeże warzywa też powinna jeść.

– Nie nawieziesz im jedzenia na najbliższe parę miesięcy przecież – oponował mąż, zaznajomiony z sytuacją.

– Może nie nawiozę, a może nawiozę. Zobaczymy, poza tym mam taki chytry plan, żeby Matyldę tu do nas zabrać.

– Nie zechce.

– Och, dlaczego ty mi w niczym nie pomagasz, zadzwoń do niej, przekonaj. Może cię posłucha.

– Nie posłucha.

– Och!

– Nie *och*, uparta jest po tobie.

Jeszcze chwila, a w rodzinnym domu państwa Bięckich rozpętałyby się burza z piorunami, ale ciche pukanie chwilowo odeгнаło chmury.

– Ooo, Patryś – oblicze pani Zofii rozjaśniło się błyskawicznie, a oczy pod jasną grzywką błysnęły chytrze.

– Dzień dobry, przejeżdżałem akurat... i... tak... sobie...

– Siadaj, siadaj, chłopcze, herbatki ci zrobię – pani Zofia zakrzętała się przy szafkach.

– Może nie będę przeszkadzał, bo widzę, że pani za porządki chyba się wzięła – Patryk zadreptał niepewnie w drzwiach, obrzucając spojrzeniem stół zawalony słoikami.

– A nie, nie za porządki, do dziewczynek się wybieram.

– Z tym wszystkim?

– No dobrze by było, one teraz potrzebują. Matylda w szpitalu, wyobrażasz sobie?

– Jak to? – Patryk zbladł nieznacznie. A poinformowany w czym rzecz, natychmiast się zadeklarował z pomocą. – To ja tylko pozałatwiam tu wszystko i możemy jechać, zawiozę panią, pani Zosiu, nie ma problemu, przy okazji też zobaczę, jak się czuje Matylda i w ogóle.

– Zwłaszcza i w ogóle – pan Włodzimierz siorbnął sobie herbaty, kręcąc głową.

– No, właśnie.

– A nie, Patryczku, ja muszę jeszcze parę rzeczy zrobić, nagotować im czegoś, upiec, pomrozić i może jutro dalibyśmy radę, co?

– Oczywiście, nie ma problemu – Patryk zakręcił się przy drzwiach i pożegnał, umówiwszy dokładną godzinę odjazdu.

– Jak ty to robisz, żono kochana?

– Co jak robię? – zapytała niewinnie.

– Już ty dobrze wiesz, co. Od początku planowałam wciągnąć w to Patryka i tyle – wytknął jej mąż, ustawiając słoiki równiutko jeden obok

drugiego w torbie.

– A ty jak to sobie wyobrażasz? Kto niby ma się nią zająć?

– Matyldą? Sama się sobą zajmie.

– Akurat. Na Karolinę też raczej nie można liczyć. A tu proszę, chętny do pomocy zawsze...

– Ale nie wiadomo, czy chętnie widziany. Ja cię tylko proszę, Zosiu, nie zapędzaj się w swoich chytrych planach. Proszę, bo niezły pasztet z tego może wyjść.

Pani Zofia machnęła ręką niecierpliwie, zastanawiając się, co by tu jeszcze dziewczynom zawieźć.

– Pasztet... może i dobrze mówisz, tylko nie wiem, jak się ze wszystkim wyrobię – zerknęła na zegarek. – Po Mariolę zadzwonię, może ma chwilę.

Pan Włodzimierz westchnął, dał sobie spokój z uświadamianiem żony i po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że przyszło mu się związać z iście makiawelicznym umysłem. No, może bez tego okrucieństwa i obłudy... chociaż...? Obrzucił spojrzeniem przytupującą w takt muzyki krągłą postać, wesołą już, bo z ułożonym od a do z planem działania. I po raz kolejny się zastanowił, czy w przypadku ich małżeństwa też odegrał rolę marionetki... Możliwe, ale żeby mu to przeszkadzało? Skubnął kawałek kielbasy, dostał po rękę jak zwykle i doszedł do wniosku, że taki stan rzeczy raczej mu odpowiada. Nie tyle dostawanie po rękę, ile granie ściśle określonej roli. Według jasno wytyczonego scenariusza.

Bardzo mu odpowiada.

* * *

Karolina też nieco odziedziczyła po matce. I chociaż jej zapędy były w pewien sposób tłamszone albo przez rodzicielkę, albo przez Matyldę, to jednak nie wygasły całkowicie.

Karolina bowiem umyśliła sobie również pewien chytry plan.

I postanowiła trzymać się go równie kurczowo, co jej matka.

Właściwie wpadły na to w tym samym momencie.

Patrząc na niezbyt pasjonujące wykresy, Karolina zaczęła analizować dotychczasowe i wyobrażać sobie przyszłe życie w stolicy. Hm, jedno jest pewne, życie, do tej pory bezstresowe, bez żadnych zobowiązań, przyjemne, takie, jakie nawiasem mówiąc, powinno być studenckie życie, miało się zmienić. I to radykalnie. No i niekoniecznie na lepsze.

Na gorsze dla niej. Karoliny.

Zrobiła mądrą minę, spojrzała głęboko w oczy wykładowcy i pochyliła się nad notatkami. A ona musi zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Tylko jak? Przygryzła długopis.

Matylda może sobie mówić, co chce, może być sobie na wskroś feministką i twierdzić, że żaden facet jej nie jest potrzebny do szczęścia, Karolina wzruszyła ramionami, po czym na powrót przybrała wielce skupioną minę, bo wykładowca uniósł pytająco brwi. Nie wiem, o czym mówisz, człowieku, a ty z kolei nie interesuj się, o czym ja myślę i będzie ok. Ona sobie może tak twierdzić. Ale ktoś jej jest potrzebny. Żadna kobieta nie wchodzi w grę, Basia jest miła, sympatyczna, ale nie można liczyć na to, że będzie się zajmowała leżącą Matyldą i gotowaniem obiadów. No dobra, gotować to ona jeszcze może się nauczyć. Później jak znalazł. Ale sprzątanie, no i w ogóle dbanie o to wszystko... A może Magda? Nie, Magda odpada, ona ma dwójkę swoich dzieci, swój dom na głowie, więc niekoniecznie znajdzie czas. A może...? Przecież się przyjaźnią...? Nie. To

musi być ktoś, kto zamieszka u nich. To musi być facet. Tylko teraz który? Na Patryka ta jej szalona siostra nawet nie chce patrzeć. Głupia... Tu Karolina pozwoliła sobie puścić wodze wyobraźni i zobaczyła krzątającego się po mieszkaniu, odzianego tylko i wyłącznie w fartuszek Skorpiona. Aż mlasnęła, taki apetyczny to był widok.

– Pani Karolino... – dobiegło do niej z dali – pani Karolino, czy wszystko jest jasne?

– Tak, tak – oderwała się od wizji Patryka niańczącego dziecko, przynoszącego śniadanie, odkurzającego, a przy tym wszystkim wyglądającego jak najpyszniejszy z pysznych tortów świata. Po czym skontrolowała wyraz twarzy i pochyliła się nisko na stolikiem.

Ale Patryk odpada.

A ta głupia Matylda mailuje z tym jeszcze głępszym Pawłem. Karolina dobrze o tym wiedziała, bo poczta w siostry laptopie ściągała się automatycznie, bez potrzeby wpisywania hasła, dostęp do niej też nie był niczym ograniczony. A skoro nieograniczony, więc Karolina z czystym sumieniem przeczytała całą korespondencję z Pawłem. Jeszcze żeby tam było coś naprawdę ciekawego, nie, nie, nie spodziewała się erotycznych wynurzeń, ale żeby chociaż zapewniał ją, że kocha, że tęskni, ot takie zwykłe gadanie, co kobietom robi najlepiej. Ale nie, on opisywał codzienne jakieś mało ważne zdarzenia, a Matylda w tym samym tonie mu odpisywała. Tak jakby nie mieli większego problemu.

Właściwie nic nie zostało wyjaśnione. Chyba że dzwonili do siebie, ale nie... tego nigdy nie słyszała. Ech, oboje zachowywali się jak dzieci, co to nie mają o czym gadać, więc plotą zupełnie niezobowiązująco o codziennych pierdołach.

Nagle Karolinę wyprostowało.

Zaraz, zaraz. Przecież Paweł może nie mieć bladego pojęcia, że Matyllda teraz leży w szpitalu.

Chwilunia, laptop został w domu.

Ona nie potrzebuje hasła...

A gdyby tak pomóc przeznaczeniu...?

Zerwała się na równe nogi i wybiegła z sali, szybko zbierając swoje manatki i cudownie udając złe samopoczucie.

– Karolina, to chyba nie do końca w porządku – Piotrek przyglądał się swojej lubej, jak z pasją na twarzy niecierpliwie bębni w blat stołu i nie może się doczekać, aż sprzęt poodpala wszystkie niezbędne do życia programy.

– Co jest niby nie w porządku?

– No, wiesz, odpisujesz za nią, nie wiesz właściwie, czy ona chce go widzieć, czy nie...

– Gdyby nie chciała go widzieć ani mieć z nim do czynienia, nie pisałaby do niego długąśnych maili – Karolina zupełnie po czasie uświadomiła sobie, że właśnie się przyznała do czytania cudzej korespondencji.

– Wiesz co? – powiedział Piotrek ostrożnie. – Chyba zaczynam się ciebie bać.

– Niesłusznie. O już – Karolina nie zwróciła na niego zbytnej uwagi i zaczęła się sprawnie poruszać po nie swojej poczcie.

– Ale ja... powiedz mi, czy ty naprawdę czytałaś ich listy? Ich prywatne listy?!

Karolina westchnęła głęboko i całą siłą woli zmusiła się do szczerego uśmiechu i oderwania od monitora. Wzięła Piotrka za rękę i spojrzała mu w oczy.

– Powiedz mi, czy ty sobie zdajesz sprawę z tego, jaka jest sytuacja? Chodzi mi o moją siostrę, jej ciążę, zakichanego tatusia, który chyba zaczyna w sobie znajdować jakieś szczątkowe ilości odpowiedzialności? Czy ty nie rozumiesz, że ja to wszystko robię dla jej dobra? – zastanowiła się chwilę i doszła do wniosku, że tak, dlatego właśnie czytała to wszystko, właśnie powodowana tylko dobrem Matyldy, nie pustą ciekawością, tylko dobrem siostry, szeroko rozumianym, po czym rozczuliła się sama nad sobą, nad swoją wspaniałomyślnością oraz nad tym, że nikt, ale to zupełnie nikt tego nie docenia.

– Karolina, ty płaczesz? – Piotrek zdębiał. – Nie płacz, kochana, ja wiem, że chciałaś dobrze, tylko, że...

– Tylko, że... – chlipnęła głęboko zraniona Karolina – no właśnie, zawsze jest to „że”, „ale”, zawsze jest tak, że ten, kto chce czynić dobro, jest niedoceniony, szykanowany...

– Nie przesadzaj, kochana, nikt cię nie szykanuje, ja po prostu... – Piotrek zakrzętnął się w poszukiwaniu chusteczek.

– Skończ, proszę – Karolina uniosła prawicę w geście protestu – skończ, bo moje wywody niczego nie zmieniają, a ja – wytarła z furkotem nos – ja postawiłam sobie za cel nadrzędny, uszczęśliwić moją siostrę i tę małą kruszynę, którą nosi w sobie, rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem, tylko nie płacz już, proszę – i faktycznie Piotrkowi nie pozostało nic innego, jak wybaczyć swojej lubej włożenie z buciorami w czyjaś prywatę. No przecież chciała dobrze. Czuł tylko taki delikatny dyskomfort, gdy wpatrywał się w jej profil. Skupiony i nienoszący najmniejszych śladów wcześniejszej rozpaczki. Nie wiedzieć dlaczego, Piotrek poczuł się jak na sznureczku. Ale chwilowo postanowił o tym nie myśleć.

Temat: RE: Twoje rzeczy

Od: Paweł

Do: Matylda

„... Nie umiem powiedzieć słowem

Nie słowem tęsknię*

Ale rękoma zamykającymi przestrzeń..

– Patrzcie go, obudził się chyba śpiący królewicz – Karolina sarknęła, czytając wiersz adresowany do Matyldy.

– Musiałaś otwierać nową wiadomość? – jęknął Piotrek.

– Musiałam. Zresztą, jakie to ma znaczenie... znaczy – zerknęła na niego – na czasie mi zależy, kochanie, pamiętaj, tu o dobro Matyldy chodzi, pamiętaj. Po czym szybko wystukała.

Temat: RE: Twoje rzeczy

Od: Matylda

Do: Paweł

„To ja. Znaczy Karolina. Mam nadzieję, że wybaczysz, że wybaczyście mi oboje to wtargnięcie do poczty Matyldy. Nie mam na ciebie Paweł innych zamiarów, nie mam telefonu ani nowego adresu, tylko ten tutaj. Więc tu stukam.

Matylda jest w szpitalu. Nie wiem też dlaczego, ale poczułam się w obowiązku cię poinformować.”

Podawała jeszcze swoje zamiary i nie pytając Piotra o zdanie, wcisnęła „wyślij”.

*Halina Poświatowska „Nie umiem powiedzieć słowem”

– A teraz napijemy się czegoś i zobaczymy, co mam do zjedzenia –

rzuciła. Tak, trzeba wziąć sprawę w swoje ręce, bo inaczej zakwitnie tutaj jako pomoc domowa i opieka całodobowa w jednym. Zatarła ręce i ruszyła do kuchni. A Piotrek jak cień poturlał się za nią ciągle niepewny co do swoich odczuć, nieodmiennie jednak postacią Karoliny zafascynowany.

* * *

To była kropka nad „i”, taka sobie przysłowiowa, kończąca, czy – w tym przypadku – zaczynająca. Paweł nie wnikał, skontaktował się z Karoliną, dowiedział wszystkiego i gotów był od razu, od ręki rzucać wszystko i lecieć na piechotę do kraju. Najpierw jednak trzeba było poinformować przełożonych, którzy wyrazili zdumienie. Jak to rodzina, jak to żona, przecież Paweł nie ma żony. Ano nie ma, ma za to kobietę, z którą będzie się żenił, a ona, ta kobieta właśnie teraz jest w szpitalu i on musi, no musi po prostu jechać. Na pełne powątpiewania spojrzenia nie zwracał uwagi, właściwie na nic nie zwracał uwagi. Zastanawiał się tylko, jak to wszystko poukładać, żeby tu nie wracać. No, może wrócić na chwilę, podomykać to, co zaczęte, pozbyć się mieszkania, znieawidzonego kąta, pozbyć się wszystkiego i wrócić tam, do Matyldy.

Już wiedział, że chce tylko z nią.

Tylko tam.

Wyobrażał sobie, jak wygląda, jak będzie wyglądało ich dziecko.

Układał, planował, spekulował.

A przy tym wszystkim nie dopuszczał do siebie myśli, że ona może go odtrącić, nie pozwoli na to. Będzie zebrał, będzie się łąsił, wybije konkurencję w pień. Jeżeli takowa w ogóle istnieje, przed oczami przeleciała mu postać Patryka, na wpół nagiego, rozpierającego się z pewnością pana domu w drzwiach mieszkania Matyldy.

Och. Nie, nie pozwoli na to. Zbyt wiele go z Matyldą łączyło, za

bardzo ją kochał. Przez ten czas rozłąki uświadomił to sobie bardzo wyraźnie. Tak wyraźnie, że bardziej chyba nie można.

– Sobie poradzisz, Petroniuszu, nie? – zerknął na rybkę, wrzucając do torby piankę do golenia – sypnę ci trochę więcej tych robaczków, bądź łaskaw nie zeżreć ich wszystkich od razu, dobrze?

Rybka nie łypnęła nawet na niego i wpłynęła do muszli, mając najwyraźniej Pawła głęboko pod swoim pięknym ogonkiem.

– Tego też mam dosyć, mój drogi. Mam dosyć tego, że ma się mnie centralnie w poważaniu. Rozumiesz? Ja człowiek jestem, nieważne, że ty ryba. Ale postępuję z tobą jak należy, karmię, wodę zmieniam, nie powinieneś narzekać, a ty? Jak mi się odwdzięczasz? W ogóle się nie odwdzięczasz, aj – machnął ręką i wrócił do pakowania.

Matylda poczuła się osaczona. Malutka przestrzeń, którą zajmowała na oddziale patologicznym, została bez reszty zajęta przez dwie postacie.

Jedną okrągłutką, rozgadaną, troskliwie poprawiającą poduszki i w ogóle wszystko, co tylko można było poprawić. Drugą wielką, ciemną i niepewną. Przeszującą z nogi na nogę i nie mogącą sobie najwyraźniej znaleźć miejsca w małej salce.

– Pan sobie usiądzie, tu, pod moim łóżkiem jeszcze jeden stołek powinien być – wtrąciła się litościwie jedna z pacjentek, przyglądając z zachwytem Patrykowi. Szczęściara ta Matylda, a mówiła, że sama będzie wychowywać dziecko. Hm, chociaż ona, gdyby miała taki materiał w domu, zamknęłaby w klatce, a wypuszczała tylko ciemną nocą, żeby nikt nie widział.

– Dziękuję bardzo – Patryk uśmiechnął się rozbrajająco i tym uśmiechem roztopił nawet przechodzącą pielęgniarkę.

– Mizernie wyglądasz.

– Nigdy nie było mi dobrze w bieli, pamiętasz, mamó?

– Pamiętam, pamiętam, suknię do ślubu zdecydowanie powinnaś mieć w kolorze ecru... albo się troszkę opalić.

– Czy ja o czymś nie wiem, mamó?

– Oj, no nie teraz, ale kiedyś tam na pewno do ślubu będziesz szła, więc ja już tak na przyszłość. Patryczku, gdzie ta torba do szpitala? – pani Zofia prawie zanurkowała pod łóżko Matyldy. – Ta wiesz, ze słodyczami, żelki ci kupiłam, tylko... nie wiem, gdzie są.

– Mamuś, nie trzeba było. Ja tu mam dobre jedzenie, poza tym Magda z Basią żyć mi nie dają, umówiły się, żeby codziennie przynosić mi obiadki. Hehe, Karolina nawet korzysta, turla się tu do mnie w porze mniej więcej obiadowej i zjada razem ze mną.

– Pasożyt nieszczęsny – sarknęła pani Zofia.

– Aj tam pasożyt, one przynoszą tego straszne ilości, hurtowe, ostatnio i dziewczyny tutaj się poczęstowały – Matylda uśmiechnęła się do Kaśki z sąsiedniego łóżka, wpatrującej się w Patryka jak w obrazek.

– Tak, pierożki z grzybami i z kapustą, pyszneee – przytaknęła sąsiadka, ogniskując spojrzenie przez chwilę na twarzy pani Zofii.

– To dobrze, dobrze, a może w samochodzie została...?

– To ja skoczę, przyniosę – Patryk zerwał się z ulgą. Nie czuł się pewnie w towarzystwie tych brzuchatych kobiet, odzianych tylko w piżamki, podłączonych do jakichś sprzętów, co to nie wiadomo, do czego służyły. No i zapach. Jednak się przecenił, był pewien, że dla Matyldy jest gotów znieść wszystko, ale zapachu szpitala nie dał rady. Od wczesnych szczenięcych lat, kiedy to złamał sobie nogę i mamie nie pozwolono wejść na oddział, pozostawiając go samemu sobie, zapach szpitalny jednoznacznie wywoływał mdłości i nieprzyjemne skojarzenia. Więc ewakuował się po

torbę, zamierzając jeszcze na dole, obok samochodu zapalić sobie jednego albo nawet i dwa papierosy. A one niech sobie porozmawiają. Spokojnie i we dwie. Wycofał się więc ochoczo i wyparowałby z sali błyskawicznie, gdyby nie duży bukiet kwiatów sterczący w drzwiach.

– Co do... – Patryk urwał, wpatrując się w znajomą twarz, błyskawicznie opanował niechęć do szpitala, zredukował odruch wymiotny do minimum, wachając kwiaty i uśmiechnął się z wyższością. – O, witam kolegę.

– Nie jestem twoim kolegą – Paweł oklapł. Wszystkie postanowienia ulotniły się w mgnieniu oka. Skoro ten tutaj przesiaduje, znaczy dla niego chyba już miejsca nie ma. Chyba nawet nie ma sensu wchodzić dalej. Co to, to nie. Nie będzie się zniżał do poziomu tego półmózgowca, Pawłowi każdy, kto muskulaturą odbiegał od normy, kojarzył się tak a nie inaczej. Ot, głupi stereotyp. A może wcale nie głupi? Ten tutaj uśmiechał się parszywie z wyrazem twarzy pana i władcy. Szlag. Paweł już miał cisnąć w niego tym bukietem... drugim już... gdy wzrok mu poleciał w głąb małej salki. Zogniskował się na parze oczu tuż pod oknem. Oczu znajomych, pięknych, głębokich i takich kochanych. Te oczy uśmiechały się do niego ciepło, patrzyły przyzywająco. Czekały na niego.

Nagle te wszystkie miesiące zlały się w jedno. Wydawało się, że minęły szybko i zupełnie na niczym. Albo trwały długo i wypełniały się oczekiwaniem na ten moment. Gdyby Paweł był wyższy, większy i w ogóle, przeszedłby po prostu po Patryku, a tak, wyminął go zdecydowanie i ruszył w kierunku znajomej postaci.

– Przywiozłem ci kwiaty – oznajmił, wyciągając przed siebie bukiet.

– To miło – Matylda uśmiechnęła się, a pani Zofia stwierdziła, że takiego uśmiechu dawno nie widziała u rodzonej córki. Uśmiechu na całej

twarży, tego ślicznego zmarszczenia nosa i zwięzienia oczu w malutkie szparki. Wycofała się więc po cichu. Wycofała się i z oddziału, i ze swojego pierwotnego planu.

* * *

– No i co tak sobie przyszedł i co? – Magda usiadła z rozmachem na szpitalnym łóżku. – Weź te nogi.

– Tam masz stołeczek, jak się nie mieścisz.

– Małpo, mieszczę się, ale wolę bliżej. No i co, gadaj.

– No i nic – Matylda uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Za chwilę mnie coś trafi, jasny szlag najpewniej. Nie chcesz gadać, nie gadaj – machnęła ręką i zaczęła wyciągać z torby słoiki. – Tu masz pomidorową, taką z pomidorów, chociaż nie wiem, ile one warte o tej porze roku, a tu klopsiki. Jedz, bo jeszcze ciepłe. Jechałam na sygnale.

– Madziula, ja tu naprawdę dostaję jedzenie.

– A co to za jedzenie, ty mi powiedz, to żenada jest, a nie jedzenie, pamiętam przecież. Jedz i nie gadaj.

– Ale...

– Nie denerwuj mnie, proszę cię, jedz szybko, bo za chwilę wpadnie Karolina i wszystko ci zżre.

– O przepraszam, ja nic nie zżeram, ja zjadam okruszki ze stołu Matyldy, nic więcej – jak na zawołanie wkroczyła Karolina – ale pachnie cudnie. Boże nic dzisiaj nie jadłam, cały czas w biegu, masz, Matylda, batonika przyniosłam.

Po czym Karolina wtarabaniła się na łóżko z drugiej strony i wyjęła z dłoni Magdy słoik z zupą. Bezbłędnie odnalazła w szafce siostry łyżkę i pochłonęła połowę zawartości w przeciągu sekundy. Magda z Matyldą wymieniły spojrzenia i zaśmiały się zgodnie.

- Z czego *hi*, przepraszam? – zainteresowała się Karolina.
 - A tak sobie i do siebie się śmiejemy.
 - No, a jak tam Pawełek?
 - Ty mnie, sioster, nie denerwuj nawet – Matylda uniosła się na łokciu. – Kto cię w ogóle dopuścił do mojego laptopa?
 - Sama się dopuściłam – wzruszyła ramionami – zresztą mówiłaś, że mogę korzystać.
 - Ale nie z mojej poczty, tak? Nie bezczelnie czytać maile. Moje maile i jeszcze odpisywać na nie, tak?
 - Oj tam...
 - Nie *oj tam*. Nie *oj tam*. Takich rzeczy się nie robi i koniec
 - Matylda opadła na poduszki.
 - Co ja słyszę, znaczy Paweł się do ciebie odzywał, tak? – Magda próbowała poukładać sobie wszystko.
 - No odzywał, odzywał, a ta mała mała wszystko sobie przeczytała, poinformowała, o czym trzeba i o czym nie trzeba i tyle.
 - A długo się odzywał?
 - Tak od września, czy października...
 - Codziennie prawie, wiesz – wtrąciła Karolina, wpatrując się łakomym wzrokiem w słoik z klopsikami.
- Matylda wzniosła oczy ku niebu, przesunęła słoik w jej kierunku.
- Widzisz, zołza jedna, wszystko czytała. Nie wiem jeszcze, co ci zrobię, jak stąd wyjdę, ale coś ci zrobię na pewno.
 - Chwila, bo ja czegoś nie rozumiem – Magda powoli traciła cierpliwość – to znaczy, że wy sobie od września, czy tam października mailujecie, wszystko poszło w niepamięć i masz tatusia dla Kruszyny?
 - No i widzisz, tego bym nie powiedziała – Matylda zapatrzyła się w

płatki śniegu wirujące za oknem. – Śnieżyca, co?

– Sryca, dryca, ty mi oczu nie zamydlaj śnieżycą, tylko gadaj jak jest.

– Kiedy ja sama nie wiem, jak jest – wzruszyła ramionami – nie wiem.

Przychodzi, przynosi różne rzeczy, swoją drogą nie wiem, jak on to wszystko sobie poukładał, bo zdaje się, w Berlinie ma masę spraw do załatwienia. Nie wiem, czy ciągle tam pracuje. Nie wiem, czy przyjedzie tutaj na stałe. Nic nie wiem.

– Jasna cholera. Ale widzę, że tobie ta niewiedza jakoś szczególnie nie przeszkadza, co?

– Nie. Zupełnie mi nie przeszkadza. Na razie skupiam się na tym, żeby jak najszybciej stąd wyleźć...

– A ile jeszcze?

– Zależy. Zależy od tego, czy będę grzecznie słuchać doktorskich zaleceń, czy nie będę się przemęczać, aha – przez twarz Matyldy przebiegł cień – i chyba z pracy na razie nici.

– Tym się akurat nie przejmuj. Dajemy sobie radę, wiesz przecież.

– Ale chodzi mi o to, że nie jestem w porządku w stosunku do Basi.

– Matyldaaaaa!

– Dobra już, dobra, nic nie mówię.

I faktycznie. Nie powiedziała, a przynajmniej nic sensownego.

Bo zapadła w błogostan.

Mimo lęku o córeczkę, mimo miejsca, mimo wszystko.

Paweł był, przyjeżdżał, troszczył się. Fakt, nie wyjeżdżał z żadnymi deklaracjami, ale ona sama nie była pewna, czy tego chce. Świeżo w pamięci miała tamto letnie popołudnie, kiedy to bez najmniejszego skrępowania dał upust swojej wściekłości, ujawnił, że myśli tylko o sobie. Nie była pewna, czy jego obecne deklaracje będą miały jakiegokolwiek

pokrycie w rzeczywistości. Czy nie będzie to chwilowy wyrzut sumienia.

Nie, wołała się nie zastanawiać nad pobudkami, które go tutaj przywiodły. Wołała siedzieć z nim i albo milczeć, albo rozmawiać o tysiącach spraw, które nie dotyczyły w najmniejszym stopniu przyszłości.

Tak było dobrze.

Przynajmniej na razie.

* * *

Ponieważ Matylda nie mogła przyjechać na święta do domu, dom przyjechał do niej. Tym razem pani Zofia zbierając cały dobytek, poprosiła o transport Pawła. Za wszelką cenę próbował się zrehabilitować, dlaczego więc mu w tym nie pomóc? Wpatrywała się w młodego człowieka z powodzeniem zmagającego się z kartonami pełnymi jedzenia.

– Nie żebym miał coś przeciwko noszeniu, ale... pani Zosiu, czy my to jedzenie wieziemy jeszcze dla jakiejś bardzo licznej organizacji? Ot tak, z ciekawości pytam – otrzepawszy ręce, stanął obok samochodu.

– Nie, kochaniutki, święta, rozumiesz?

– No rozumiem, a jakże.

– Ma być wszystkiego pod dostatkiem.

– Ale przecież to wszystko się zmarnuje, no może nie wszystko.

– Nic się nie zmarnuje Pawełku, nic. A ty myślisz, że co, głodnych ludzi tam brakuje jakby co?

– No nie, nigdzie nie brakuje.

– Ano widzisz, gdzie ty jesteś, czekamy, marzniemy, co ty tam robisz, Włodziu? – ryknęła w kierunku otwartych drzwi.

– Idę, idę. Nie masz szans chłopcze, więc nie protestuj – pan domu machnął z rezygnacją ręką. – Ja już od lat toczę walkę o te tony jedzenia, ale jeszcze jak widać, nie wygrałem żadnej bitwy.

– Sza, panowie, pakować się, pakować, tam trzeba jeszcze choinkę ubrać, o, chwileczkę – pani Zofia stanęła na baczność i puknęła się w czoło – one tam pewnie nie mają żadnych ozdób.

– Spokojnie – Paweł zatrzymał ją w pół drogi – choinkę ubraliśmy wczoraj wieczorem, faktycznie z bombkami krucho było, ale pojechałem, dokupiłem i drzewko czeka.

Widać było, że pani Zofia toczy wewnętrzny bój, że targa nią cała masa wątpliwości o wygląd tego drzewka, ale wreszcie skapitulowała i wtoczyła się z impetem na tylne siedzenie.

Po przebytej trasie wytoczyła się z samochodu i toczyła aż do wieczora, przeganiając Karolinę z kąta w kąt i zaglądając do Matyldy co chwila z zapytaniem, czy czegoś nie potrzebuje. Paweł obserwował ją z podziwem. Tyle energii, ile miała w sobie ta kobieta, nie widział jeszcze nigdy i u nikogo. W tym wieku. Bo Matylda swego czasu też jechała całymi dniami na pełnych obrotach, zasilając się jakimiś resztkami paliwa.

Pomógł poprzestawiać meble, poinstruował pana Włodzimierza, gdzie ma jakie programy, gdzie przyciszać telewizor, gdzie przygłaśniać, spędził parę chwil z Matyldą, po czym pożegnawszy się ze wszystkimi, poszedł sobie.

A gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, rodzina zebrała się przy łóżku Matyldy i zaczęła jej się przyglądać.

– Nie patrzcie tak na mnie, bo nie wiem, co mam powiedzieć – rozłożyła bezradnie ręce.

– Ty dobrze wiesz, tylko nie chcesz nic powiedzieć – Karolina stanęła z założonymi rękami i swoją nadętą miną, znaną wszystkim zebrany od dawien dawna.

– Bez oskarżeń, młoda. Nie wiem i tyle.

- Przecież ja widzę, co się dzieje.
- Aha, no to może ty mi powiesz. Słucham.
- Dziewczynki... – pani Zofia próbowała się wtrącić, ale niezbyt energicznie, wiedziała, że Karolinie uda się coś powiedzieć, może wydusić.
- No co, dziewczynki... Mamo, on tu przesiaduje prawie bez przerwy, to chyba o czymś świadczy, tak?
- Żadne bez przerwy! – zaproponowała Matylda – Odwiedza mnie, to prawda, często...
- Phi, często, codziennie, po parę godzin. A on pracuje jeszcze w ogóle? Bo prawdę powiedziawszy, nie wiem, jak znajduje na te całodobowe odwiedziny czas.
- Pracuje, wrócił, jeśli o to pytacie. Ale co dalej, nie wiem.
- No jakże to? – tata postanowił się wtrącić do dyskusji, im szybciej do czegoś dojdą, tym szybciej będzie mógł wrócić do swojego ulubionego programu. – Nie oświadczał ci się? Zamieszka tutaj? Wybacz, Matusi, że tak cię ciśniemy, ale ja powiem szczerze, nie wiem, jak mam go traktować. To miły chłopiec, ale występujący tu w roli... no kogo, powiedz sama...
- Kolegi – rzuciła Matylda, wywołując pełne ironii prychnięcie Karoliny.
- Idźcie sobie – pani Zofia wyrzuciła rozemocjonowaną część rodziny bezceremonialnie za drzwi. – Karolina, grzybki proszę oprószyć pieprzem ziołowym, delikatnie. Z obu stron. Włodziu, twój program się zaczął.
- No co, mamo misiowa.
- Wiesz, lubię, jak tak do mnie mówisz. Mimo tych resztek kobiecości, które we mnie protestują przeciw takiemu nazywaniu.
- Mamuniu, przecież jesteś kobieca, na wskroś kobieca.
- Jestem, jestem – z głośnym sapnięciem pani Zofia przysiadła na

łóżku córki.

– No, powiedz mi, co widzisz w swojej magicznej kuli.

– Jakiej znowu kuli, co ty pleciesz?

– Tej, na przykład, która ci powiedziała, że leżę w szpitalu

– Matylda uśmiechnęła się ciepło.

– Ach, tej... No cóż, widzę córeczko ciebie i Pawła razem, a między wami leży mała dziewczynka i uśmiecha się do was, i gaworzy, i jest waszym całym światem – pani Zofia położyła dłoń na leżących na kocu dłoniach Matyldy i zaczęła je gładzić.

– To widzę. Widzę też to, ale to już bez kuli, że moja starsza córka patrzy na świat inaczej, nie krótkowzrocznie jak do niedawna. Widzę, że otworzyło jej się serce – westchnęła – nareszcie... i powiem ci moja droga, że to dobry człowiek. Myliłam się, musisz mi wybaczyć te próby manipulacji. Patryka też muszę prosić o wybaczenie.

– Mamo...?

– No?

– To nie próby, to czysta manipulacja, niemniej jednak wybaczam.

– Proszę, jaka łaskawa. Powtórzę raz jeszcze, pamiętaj, Paweł to dobry człowiek. Czuję to... Matylda, co się stało?! – ryknęła na widok pobladłej twarzy córki i jej nieobecnego spojrzenia.

– Mamo... – szepnęła Matylda – mamo, ona chyba się z tobą zgadza.

Ręka powędrowała na brzuch, zaczęła grzać to miejsce, z którego rozległo się cichutkie i delikatne pukanie. Tak jakby dzieciątko chciało życzyć im wszystkiego, co najlepsze w te piękne święta. Matylda wstrzymała oddech i wsłuchiwała się w malutką cząstkę siebie, która z każdą chwilą zyskiwała na samodzielności. Zaczynała dawać wyraźne sygnały, że jest, że ma się dobrze i że robi się coraz silniejsza.

Z dwóch par oczu potoczyły się łzy. Łzy szczęścia nad malutkim, a jednocześnie ogromnym, cudem istnienia.

Od rana w małym mieszkaniu Matyldy panował kocioł. Mama faktycznie się uparła, żeby zrobić wszystkie tradycyjne potrawy z każdego regionu Polski. Przynajmniej domownicy odnosili takie wrażenie, obserwując jak dwoi się i troi przy doprawianiu kolejnych dań. Można sobie było protestować, można było przemawiać do rozsądku, tłumaczyć, a nawet uciekać się do podstępów. Mama wszystko kwitowała jednym zdaniem:

– Nie będę dała rady robić, to nie zrobię, a skoro mam jeszcze siły, to dlaczego niby mam siedzieć z założonymi rękami? Może ktoś mi wytłumaczy?

Nikt oczywiście nie znajdował sensownej odpowiedzi, więc milczeli. Milczeli i poddawali się tyranii.

Matylda przeciągnęła się z głębokim poczuciem winy. Jakoś nie po myśli jej było, że wszyscy tu skaczą wkoło niej jak na sznureczkach. Mama przechodzi samą siebie w przygotowaniu tych całych świąt, a ona leży. Leży, jak nie przymierzając królowa. Sapnęła ze złością. Parokrotne próby przekonania rodziny, że wskazane jest, aby od czasu do czasu wstała, rozprostowała kości, a może przy okazji w czymś pomogła, spełzły na niczym. Zawsze znalazł się ktoś, kto odprowadził ją bez ceregieli z powrotem do łóżka. Przycisnął książką, obietnicą przyniesienia herbaty albo czegoś słodkiego.

Co to, to nie. Matylda odkryła powoli koc i usiadła. Może przecież zadekować się na kanapie w dużym pokoju, może wziąć sobie na kolana miskę z jarzynami i przeciskać je chociażby przez prasę. No, to raczej nie wymaga wysiłku.

Narzuciła na siebie szlafrok, po czym odrzuciła go ze wstrętem. Idą

święta, a ona będzie łązić w szlafroku? Ruszyła na palcach do szafy w pełni świadoma, że każdy najdrobniejszy nawet dźwięk przygoni tutaj całą rodzinę. Szafa nie skrzypi, jeśli lekko podniesie się jej drzwi. Dała się kiedyś namówić Pawłowi na kupno tego zabytku i teraz pokutowała. Mebel, chociaż wyglądał pięknie i mieścił w sobie niezliczone ilości ubrań, skrzypiał przeraźliwie.

Otworzywszy szafę, stwierdziła z paniką, że nie ma zupełnie co na siebie włożyć.

– No i przykro mi, moja droga, ale nie jest to niestety puste stwierdzenie. Tak jak zazwyczaj – szepnęła, przewracając bluzkę za bluzką, przykładając do siebie. – Niech mi jeszcze raz ktoś powie, że prawie wcale nie przytyłam, to podzielę tymi wszystkimi ciuchami. Uch.

Zakopała się aż po samo dno, skąd udało się wreszcie wydobyć obszerną spódnice, całkiem znośną. I kwiecistą bluzkę.

Zupełnie nieznośną.

To ubranie kiedyś wcisnęła jej mama. Matylda nie pamiętała już dokładnie za co, dlaczego... Jak zwykle, gdy chodzi o przypomnienie sobie czegoś z okresu sprzed, miała przed oczami pustkę. Wybiórczą, rzecz jasna. Doskonale pamiętała wszystko, co wiązało się z pracą. O ironio! Pamiętała najdrobniejsze szczegóły życia biurowego. Pamiętała nawet, w co dokładnie była ubrana Weronika, kiedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Pamiętała, w jakich krawatach zwykł chadzać szef w piątki. Zapach kawy, szczególnie zapach biurowca.

Wszystko.

Ale niechby ktoś kazał jej sobie przypomnieć poprzednie święta. Ups.

Matylda trzymała w wyciągniętych rękach to kwietne чудо i zastanawiała się, czy jednak nie lepszy byłby szlafrok. Albo może odrąbać

jakoś ten koronkowy kołnierzyk? Nagły łomot spadającego na podłogę garnka przywrócił ją do rzeczywistości.

W nosie tam, najwyżej będzie wściekle łypać na każdego znad tej koronki.

Cichutko prześlizgnęła się do łazienki, wykapała, a odziawszy się od stóp do głów, starała się nawet nie patrzeć w lustro.

– Aaaaa, do łóżka – zakomenderowała pani Zofia na widok starszej córki.

– Aaaa, idę.

– Widzę przecież, że nie idziesz. Łóżko masz tam – wskazała sypialnię – tu masz telewizor. Powiedz, co ci przynieść, Karolina zaraz poleci.

– Poduszki ze dwie, pod plecy. Mamo, nie patrz tak na mnie, chcesz żebym oszalała? Przecież ja nie mogę tam siedzieć sama, kiedy wy tutaj biegacie jak opętani. Warzywa na sałatkę już ugotowane? Gdzie?

– Czekaj, czekaj, zaraz ci przyniosę, ot, uparła się koza jedna, no – pani Zofia zlustrowała jeszcze kanapę, stwierdziła, że córce będzie tam w miarę wygodnie i poszła po miskę z warzywami.

– Hehe, a jak ty się pięknie wystroiłaś.

– Milcz, siostró, poszukaj lepiej czegoś sensownego w swojej szafie, bo okazuje się, że moja garderoba do niczego się nie nadaje. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

– Że co? Że niby ja jestem...

– Jesteś, jesteś – sapnęła Matylda znad koronkowego kołnierzyka i ulokowała się na kanapie.

Jeżeli Matylda planowała wyglądać nieco bardziej reprezentacyjnie przed przyjściem Pawła, to niestety jej plany obróciły się w niwecz, bo gdy

tylko przecisnęła parę ziemniaków przez sitko, rozległo się pukanie. A jej nie trzeba było mówić, że to nikt inny tylko Paweł.

Ona to po prostu czuła.

I zastał ją rozbebraną na kanapie, otoczoną kilogramami warzyw, z roztarganą grzywką i w babcinej bluzce. Pięknie no, pięknie po prostu. Paweł jednak jakby nie widział tej całej mało romantycznej otoczki, podszedł jakby nigdy nic, cmoknął ją w czoło i zupełnie przypadkiem poprawił poduszkę za plecami Matyldy.

– Cześć piękne.

– Cześć. Puka do mnie – poinformowała go od razu.

– Kto puka?

– Córeczka. Wczoraj pierwszy raz – Matylda wskazała na brzuch i uśmiechnęła się na widok zaskoczonej twarzy pochylonej nad sobą.

– Jak to? Rusza się... czujesz ją już? A ja też poczuje...? – spojrzał niepewnie.

– Nie wiem – wzruszyła ramionami – ale to takie dziwne uczucie...

Rodzina zmyła się dyskretnie do kuchni i ulokowała prawie piętrowo za zamkniętymi drzwiami. Pani Zofia rzuciła tylko tęsknym okiem w kierunku miski stojącej zupełnie niepotrzebnie na kolanach Matyldy, ale machnęła ręką i wzorem reszty przytknęła ucho do drzwi, odmawiając w duchu modlitwę o szybkie i łaskawe zakończenie. Coś jej mówiło, że jest na to dobra pora. Dobry moment.

I dobrze jej mówiło, bo Paweł zaczął nagle strasznie szybko wyrzucać z siebie całe potoki słów. Połowy rodzina nie słyszała mimo usilnych starań, a nawet brania w obroty tak sprawdzonych środków jak szklanki. Ale sens się wyłaniał jeden – Pawełek przejrzał na oczy i kajał się właśnie okrutnie przed wybranką swojego serca, na jakiś czas porzuconą bezwzględnie samej

sobie.

– Nie powinienem... tylko o sobie... zrozumiałem... to dziecko... nie mogłem przestać myśleć... nawet zakupy... z myślą o tobie... nieświadomie... ty jedna... Kocham was – rzucił nagle bardzo głośno – Kocham was obie, Matyllda, albo oboje, nie ma dla mnie znaczenia, czy to chłopczyk czy dziewczynka, to nasze dziecko, żaden Skorpion...

Tu Karolina parsknęła głośno, ale mama w porę zainterweniowała i zdzieliła ją ścierką przez głowę, tata zaś rzucił leżącą najbliżej ręki deską o podłogę, wzruszając ramionami i układając usta na kształt czegoś w stylu – hałas ma być. Pani Zofia zgodnie szurnęła kubkiem, po czym natychmiast wróciła na stanowisko.

– Jeżeli to kwestia wyboru między nami, nie będę cię przekonywał, zawiodłaś się na mnie, a on wygląda jak skała i zdaje się zawsze być niezawodny, co ja robię, wychwalam właśnie potencjalnego przeciwnika...

– Uspokój się, Paweł.

– Nie, nie mogę się uspokoić. To w ogóle cud, że się do mnie odezwałaś, wyciągnęłaś rękę, nie wiedziałem, Matyllda, ja nie miałem pojęcia, jak mnie przyjmiesz, czy będziesz chciała się do mnie odzywać, czy będziesz chciała mnie widzieć, później cała ta historia z Weroni...

– Ćśśś. Daj spokój, mówię ci... oooo, znowu, daj rękę, szybko, tutaj... czujesz...?

Tutaj rodzina już nie wytrzymała i musiała leciutko, chociaż odrobinę uchylić drzwi. Matyllda trzymała rękę Pawła na swoim brzuchu, a wyraz jego twarzy okazał się bezcennym widokiem. Oczekiwanie, niedowierzanie, wreszcie lekki zawód.

– Nie – przyznał ze smutkiem.

– Może jeszcze za wcześnie, ale niewątpliwie Kruszyna też daje ci

znać, żebyś dał sobie na wstrzymanie – wzruszyła ramionami Matylda.

– Nie, ja nie mogę. Ja muszę to wszystko zacząć od początku, a najlepiej by było, żebyśmy spróbowali jeszcze raz, da się tak, Mat?

– Hm... – Matylda spojrzała na swój pokaźnych już rozmiarów brzusek, zerknęła na kuchenne, uchylone drzwi i trzy pary oczu błyszczące w malutkiej szparce i zaczęła – da się, myślę, że się da.

– To znaczy, że dasz mi jeszcze jedną szansę... nam dasz, Matylda?

– Już dałam. Już dawno dałam – uśmiechnęła się, przyciągając go do siebie.

Ziemniaczki poturlały się po podłodze, a zza drzwi dobiegło głośne, chóralne „taaaaaak”.

* * *

– Wiesz co? Takiej radosnej to cię chyba jeszcze nie widziałam. Normalnie cieszysz się, jak prosię w deszcz – skwitowała Magda, przewracając w biurze papiery.

Pan doktor od razu drugiego dnia stycznia zażyczył sobie oglądać Matyldę i jej brzuch, a prześwieciliwszy, posłuchawszy i zerknąwszy na najświeższe wyniki, uśmiechnął się z aprobatą. Pozwolił pracować, ale z umiarem. Hm, w ogóle na wszystko pozwolił.

Oczywiście z umiarem.

Matylda uśmiechnęła się jeszcze szerzej do figurki pulchnego Buddy, a na wspomnienie sylwestra i ostatniej wizyty Pawła przeszedł ją tak słodki dreszczyk, że aż dostała gęsiej skórki. Pomyśleć, że to, co poczuła w stosunku do Patryka, wzięła za fizyczny pociąg. Ha, jak się wczoraj okazało, nie miała najzwyklejszego pojęcia co to pociąg fizyczny. A może to ciąża takie rzeczy z ludźmi wyczynia? Z kobietami znaczy. Bo przecież niejedną noc spędziła już z Pawłem, ale nigdy nie było tak... tak...

- Matylda, ja mówię do ciebie – Magda zajrzała jej w twarz
- hm, zdaje się, wiem, co ci się po głowie kołacze. Nie śmiej się, bo cholery dostanę. Aż tak?
- Chyba. Nie wiem.
- Chyba jednak tak. I co, padł na kolana, a ty go przyjąłeś z otwartymi ramionami, tak?
- Niekoniecznie tak to wyglądało. Właściwie to po części oboje padliśmy i oboje otwarliśmy ramiona.
- Ale co, zostanie tutaj?
- Tak, pozałatwiał już wszystko, oddelegował tam już przeszkolonego następcę, a sam zostaje. Na tym samym stanowisku, właściwie bez zbędnych tłumaczeń. Z tego, co zrozumiałam, odwalił tam lwią część roboty, więc nikt się nie czepia i nie ma pretensji.
- I co, mieszkacie razem? Jak ja nienawidzę ciągnąć za język.
- To nie ciągnij – Matylda podniosła się ciężko. – Matko, jeszcze trochę, a nie dam rady wstać o własnych siłach. Mieszka, wszystko jest niby tak jak dawniej, a jednak inaczej. Trochę się boję to mówić, Madziul, ale... – zapatrzyła się w białe okno – chyba jestem szczęśliwa.
- Nie bój się, widać, to dobrze – Magda podeszła i przytuliła się do jej pleców. – Ale jesteś mięciutka, hihhi.
- Jak misio. Nareszcie wyglądam jak reszta rodziny, mama nie może się nacieszyć i ma szczerą nadzieję, że tak mi zostanie.
- A ty oczywiście zrobisz wszystko, żeby jednak nie zostało, nie?
- Wiesz co? W nosie mam – Matylda roześmiała się i nagle zeszywniała.

Tej postaci z nikim nie można było pomylić. A postać pręta z prędkością światła prosto w ich kierunku. Przez sekundę

Matylda miała nieodparte wrażenie, że nie marnując czasu na szukanie drzwi, wpadnie prosto przez okno. Bo tam akurat dojrzała przedmiot swojej gorącej nienawiści.

– Szczyt wszystkiego! Ja was podam do sądu, do jakiejś instytucji was podam, nie wiem jeszcze gdzie, ale z tego biura nie zostanie kamień... na kamieniu, nic nie zostanie! – Weronika wpadła, przez drzwi na szczęście, i rzuciwszy nienawistne spojrzenie Matyldzie, zrzuciła ręką stojącą najbliżej figurkę.

– Dlaczego ta pani krzyczy? – Magda spojrzała pytająco na Matyldę, podniosła rzeźbę i odstawiła na miejsce.

– Ta pani?! Ta pani?! Ta pani została bezczelnie oszukana? Gdzie jest baba, która mi wciskała kity? Te o zaufanym biurze? Gdzie ona jest?! Ja jej... ja ją...

– Witaj Weroniko, wszystkiego dobrego w Nowym Roku, jeśli pytasz o Basię...

– Ja nie wiem, o kogo pytam, znaczy wiem, o tę babę, co tu wtedy z tobą była, wszystkiego dobrego, wiesz co, Matylda? Tylko ciebie stać na takie chamstwo.

– Ja bardzo przepraszam – Magda zaczynała tracić już cierpliwość – czy pani jest klientką naszego biura, bo jakoś sobie nie przypominam...

– Biura? To nie jest żadne biuro! – darła się Weronika. – To jest siedlisko żmij, z tą tu – wskazała spokojnie stojącą z założonymi na brzuchu rękami Matyldę – na czele! Ja żadną klientką tu nigdy nie będę!

– To jaki jest, przepraszam, powód pani tak namacalnej obecności tutaj?

Tu chwilowo Weronikę zatchnęło, a Matylda miała czas, żeby jej się dokładniej przyjrzeć, twarz koleżanki mieniła się barwami czerwieni i brązu,

z białymi gdzieniegdzie plamkami. Z wściekłości, ani chybi.

– Wysłały mnie na sylwestra... psia ich mać... tfu, jak sobie przypomnę, to od razu mi się nóż w kieszeni otwiera – obie z Magdą rzuciły dla wszelkiej pewności okiem na malutkie kieszonki zimowego płaszcza i odetchnęły z ulgą. Żaden poważnie zagrażający życiu by się tam nie zmieścił. Weronika rozstawiła palce i zaczęła wymieniać. – Pokoje były nieogrzewane, do łazienki nie można było wejść, bo wszędzie wisiał grzyb. Ja porobię badania, jakiś gronkowiec na pewno się przyplątał! Miał być romantyczny wyjazd we dwoje, a nam zaserwowali pokoje sześćciosobowe! Sześćciosobowe! – głos Weroniki podskoczył o dwie oktawy. – A bal?! Na takim balu nigdy więcej nie będę! Zimno jak w psiarni, głośnik zepsuty, jedzeniem się zatrulałam. Wszyscy się zatruli! Dwa dni pod kroplówką! Dwa dni! A autokar co? Nie zaczekał, wracałam na własny koszt. Solarium? Całą twarz mi zniszczyli! Lampa mi pękła... – w tym momencie Weronika też pękła i zalała się gorzkimi łzami. W sumie nie wiadomo, z żalu, czy wściekłości.

Matylda z Magdą spojrzały po sobie i jedna ruszyła do klapniętej Weroniki, druga poszła na zaplecze zaparzać melisę.

– Hm, no to fatalnie.

– Żebyś wiedziała, żebyś wiedziała, że fatalnie – zabzdyczała z chusteczki. – Nigdy w życiu nie zapomnę tego wyjazdu. Nigdy. Dlaczego mi to zrobiłaś, Matyldo? – Weronika spojrzała nagle zupełnie przytomnie i ze szczerym zdumieniem.

– Co? Przecież ja ci niczego nie zrobiłam, opanuj się, Wer.

– Jak to nie? A kto mi odradzał własne biuro? Dlaczego, powiedz mi.

– Uspokój się, mówię przecież, że niczego nie zrobiłam. Ani nie namawiałam na inne biuro, ani nie odradzałam naszego, Basia podała ci

namiary na sprawdzonych, okazuje się, że tym razem jakoś im się nie udało. Najwyraźniej. Ale przecież nikt ci źle nie życzył – powiedziała Matylda niezupełnie szczerze.

– Jak to nie?

– Normalnie. Dlaczego niby miał życzyć?

– No bo wiesz, bo ja... – Weronika patrzyła na koleżankę niepewnie, w końcu walnęła znowu z rykiem – bo tobie się wszystko udaje! Wszystko! Zawsze najlepsza, zawsze akurata, taka jak trzeba, wszystko idzie ci jak po maśle. A ja? Mnie nigdy nikt nie chciał... na dłużej, zawsze wszędzie musiałam podstępem, a i tak nigdy nie miałam gwarancji, że się uda... Dlaczego, ach, dlaczego mnie się w życiu nic nie udaje?

– Udaje, tylko może trochę niedowidzisz, może za dużo chcesz. I nie mów proszę, że mnie wszystko łatwo przychodzi. Bo tak nie jest.

– Nie?

– No... niestety – Matylda nagle poczuła się tak, jakby musiała wyjaśnić strasznie ważną sprawę strasznie krnąbrnemu dziecku. Tylko nie wiedziała, czy ma na to ochotę. Na wyjaśnianie.

– A sprawiasz wrażenie, jakby tak było.

– Mylne wrażenie. Bo kosztuje mnie to tyle pracy co i innych. Ciężkiej, wyteżonej pracy.

– O! To nie wiedziałam.

– No to już wiesz, masz wypij, meliska – Matylda wzięła kubek od Magdy i podała go Weronice.

– A ja tam wiem, co wy mi podajecie – obdarowana spojrzała podejrzliwie.

– Powąchaj, to poczujesz.

– Ale tej babie to nie wiem, czy daruję. Ona to zrobiła specjalnie –

mruknęła jeszcze znad kubka.

– Wer, wiesz na czym polega twój problem? – nie wytrzymała wreszcie Matyllda.

– No, na czym niby?

– Ty musisz, po prostu musisz mieć osobistego wroga. Nieważne kto to, nieważne gdzie, ważne, żeby był. Masz wtedy dla czego żyć. Spiskować, mścić się... Zastanów się, czy twoi wrogowie są rzeczywistymi.

– Jak to?

– Normalnie. Czy są prawdziwymi wrogami, czy tylko tak ci się zdaje. Skup się na przyjaciółach. Warto – nad głową Weroniki Matyllda uśmiechnęła się ciepło do Magdy.

* * *

– Ja nie wiem, czy to dobry pomysł – oponowała Matyllda.

– Że co, nie dasz rady? Jak się źle poczujesz, to cię odniosę do samochodu i grzecznie odstawię na kanapę w dużym pokoju. Obiecuję – Paweł przyłożył rękę do piersi.

– Nie, nie o to chodzi, tylko wiesz... można załatwić to wszystko, nie wychodząc z domu.

– Niby tak. Ale popatrz, w necie nikt ci nie doradzi, nie dotkniesz materiału, nie zobaczysz rzeczywistego koloru...

– Oszalałeś, wiesz? – zaśmiała się, owijając już szyję szalikiem.

– A wy gdzie? – zainteresowała się Karolina. – Późno już. Na długo wychodzicie?

– A co, spodziewasz się gościa? – odparowała pytaniem Matyllda.

– A gdyby nawet, to co? Nie można?

– Można, pozdrów Piotrka. Jedziemy po zakupy dziecięce i jeżeli damy radę, to do jutra może nas nie być. Albo do zamknięcia sklepów.

Zupełnie inaczej wyglądał spacer między półkami, jeżeli obok miało się tatusia. Tatusia dla dziecka znaczy. Bo o ile Paweł rozkładał bezradnie ręce przy wieszakach i półkach z ubrankami, o tyle przy wózkach, nosidełkach i łóżeczkach wykazywał się daleko idącym praktycyzmem. Ustawiał Matyldę przy przewijaku, sprawdzał odległości, mocowania i tysiące rzeczy, na które ona w ogóle nie zwróciłaby uwagi.

– Nie, łóżeczka nie bierzemy – zaproponowała. – Magda ma po Ewie, ładne, zgrabne, takie akuratne. Tylko jakieś szmatki trzeba będzie dokupić...

– Kołdrę masz na myśli?

– No to też, ale mówiłam raczej o takich ochraniaczach, wiesz, naokoło łóżeczka się rozwiesza, co to od wiatru, od tego, żeby sobie dziecię nie zrobiło krzywdy, takie tam.

– Aaaa – Paweł rozejrzył się przytomnie – to tutaj masz, o, takie w żyrafki. Czekać, one mają różne rozmiary, zadzwoń do Magdy, to od razu weźmiemy.

Od razu wzięli też dwa komplety pościeli, wózek, leżaczek, masę ubranek, część w rozmiarze pięćdziesiątym szóstym, ale niewiele. Tutaj Matylda popisała się z kolei znajomością rzeczy. Dzieci bardzo szybko wyrastają i na dobrą sprawę, te potrzebne będą tylko przez parę tygodni. Większe trzeba brać. Więc brali.

Zupełnie bez opamiętania.

Nie patrząc na ceny.

Rozczulając się nad wielkością tych wszystkich rzeczy.

I trzymając się za ręce.

Druga zero pięć.

Waga 3700.

Wysokość 57 centymetrów.

Matylda przez chwilę czuła się przeraźliwie pusta, do momentu dopóki nie ułożono jej w ramionach malutkiego pakunczku.

Przytuliła dziewczynkę czule i najdelikatniej, jak umiała. W odpowiedzi z okrągłej, idealnej twarzyczki spojrzały na nią niebieściutkie oczy.

Niech sobie mówią, że dziecko tuż po urodzeniu nie za bardzo widzi.

Niech sobie mówią, udowadniają to naukowo, jak sobie tylko chcą.

Matylda wiedziała swoje.

Spojrzały na siebie. Tak po prostu, z miłością, ciekawością i niezbitą pewnością, że już są we dwie. Razem.

I tyle.